JANECKI:
LEMPART (KOŃCZY) JAK KIJOWSKI

DOROTA ŁOSIEWICZ KONTRA MACIEJ GDULA
SPÓR O STASIA I NEL

PYZA I WIKŁO:
JAK GOWIN WZIĄŁ OHP
PILNUJEMY TEMATU

DODATEK
POLACY ZA HORYZONTEM:
WŚRÓD INDIAN I ABORYGENÓW

RYBIŃSKA:
CZY MEGHAN I HARRY ZNISZCZĄ RODZINĘ KRÓLEWSKĄ?

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 11 (433) 2021
15–21 marca 2021
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

PREZES NBP W MOCNYM WYWIADZIE:

GDY MINIE PANDEMIA, RUSZYMY JAK BURZA

PROFESOR ADAM GLAPIŃSKI UJAWNIA:

- CZY GOSPODARKA WYTRZYMA
- CZY GOTÓWKI SĄ NIEPRZEBRANE GÓRY
- ILE ZŁOTA JESZCZE DOKUPIMY
- CZY ZBUDUJEMY ELEKTROWNIE ATOMOWE
- CO Z KREDYTAMI FRANKOWYMI
- DLACZEGO POTRZEBUJEMY SILNIEJSZEJ ARMII
- CZY BĘDZIE KANDYDOWAŁ NA KOLEJNĄ KADENCJĘ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!

Polacy w potrzasku
Za pomoc Żydom Polakom groziła śmierć

Fatalna pomyłka
Jak komuniści chcieli kupić broń od… NATO

50 lat temu
Niespokojny rok 1971 – walki robotników

Księżna z robótką w Sejmie
Niezwykła historia Jadwigi z Zamoyskich Sapieżyny

Zamów e-wydanie wSIECI HISTORII i SIECI na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

– do 70% taniej! Tylko 9,99 zł za miesiąc lub **89,99 zł za 12 miesięcy**

– do czytania na komputerze, smartfonie, tablecie

eprasa.pl 1b410a6e1a

Niebezpieczna totalność

11 marca padł dzienny rekord zachorowań na COVID-19. Ponad 21 tys. kolejnych osób zostało zakażonych koronawirusem. Dzień wcześniej w szpitalu na Stadionie Narodowym wolnych było zaledwie sześć łóżek. Co gdyby szpitale tymczasowe nie były gotowe na czas? Jak wyglądałaby walka z trzecią falą, gdyby rząd słuchał krytyki i gróźb opozycji?

Nie było ani jednej chwili podczas zmagań z pandemią, w której opozycja wsparłaby rząd w solidarnych działaniach na rzecz wspólnej walki z problemem dotyczącym wszystkich obywateli. Każda decyzja władz spotykała się z histerycznym atakiem. Bezwzględnej krytyce poddawano decyzje o restrykcjach, o sprowadzaniu do Polski maseczek, o szczepieniach, o budowie szpitali tymczasowych. W czasie gdy rząd analizował trendy pandemiczne i przygotowywał infrastrukturę na zbliżające się niebezpieczeństwo kolejnej fali zachorowań, opozycja wspierana przez tzw. wolne media próbowała za wszelką cenę wykazać, że mamy do czynienia z marnotrawieniem pieniędzy. „Pół miliarda na budowę szpitali, które nie są używane" – utyskiwał poseł PO Michał Szczerba, który wspólnie z Dariuszem Jońskim tropił nieprawidłowości. Bartosz Arłukowicz alarmował, że „Szpital Narodowy nie leczy", jest niepotrzebny, stoi odłogiem. „Powstaje pytanie: dokąd płyną pieniądze? Kto i dlaczego zdecydował, że ten szpital będzie otrzymywał tak ogromne środki finansowe i jednocześnie nie będzie chciał leczyć chorych? Te sprawy w przyszłości wyjaśni komisja śledcza" – groził.

Tym samym głosem mówiły liberalno-lewicowe media. „Szpitale tymczasowe kosztowały miliony, a pożytek z nich niewielki" – przekonywał OKO.press. „Absurdalny bilans szpitala na PGE Narodowym. Koszty: 46,6 mln zł. Liczba pacjentów: 350" – wyliczał portal gazeta.pl miesiąc temu, gdy nadejścia trzeciej fali eksperci dopiero się spodziewali. O „gigantycznych kosztach Szpitala Narodowego" pisał również „Fakt", a Onet podbijał antyrządową piłeczkę, twierdząc, że „szpitale tymczasowe kosztowały ponad 500 mln zł" i „stoją puste". W sianiu atmosfery niegospodarności pomagali także eksperci. Był wśród nich m.in. prof. Krzysztof Simon, który przekonywał, że „budowa szpitali tymczasowych nie ma sensu".

Rząd zderzał się z tą totalną krytyką na codziennych konferencjach prasowych i w debatach sejmowych, ale robił swoje. Szpitale tymczasowe przygotowane zostały na moment, w którym nadejdzie fala zachorowań i zabraknie dla pacjentów miejsc w szpitalach covidowych. I wydaje się, że moment właśnie nadszedł. Zdaniem dr. Sutkowskiego „szczyt wiosennej fali zaczyna być niepokojąco wysoki", bo nie potraktowaliśmy poważnie lockdownu. Szpital Narodowy zwiększa liczbę łóżek. Wszystkie przygotowane dotąd okazały się potrzebne, choć bardzo dobrze, że do tej pory czekały puste. Kto jednak wie, czy szpitale tymczasowe nie zostałyby zapełnione znacznie wcześniej, gdyby rząd uległ opozycji w kwestii luzowania obostrzeń?

Sytuacja jest mocno niebezpieczna. Nie tylko dlatego, że żyjemy w samym środku pandemii, ale dlatego, że nawet w obliczu takiego kryzysu nie możemy liczyć na odpowiedzialność polityczną opozycji ani uczciwość i obiektywizm sympatyzujących z nią mediów. Ślepa totalność zaczyna mieć realne skutki. Bo jak widać nie o bezpieczeństwo zdrowotne tutaj chodzi, nie o usprawnienie działania państwa i wzmocnienie działań pandemicznych. Jedynym celem jest ciągłe osłabianie rządu i przejęcie władzy. Choćby za cenę zdrowia i życia swoich obywateli.

Marzena Nykiel

Autopromocja

SIECI

spis treści

29 *Bunt dziadersów*
Konrad Kołodziejski

42 Sputnik nad Europą
Marek Budzisz

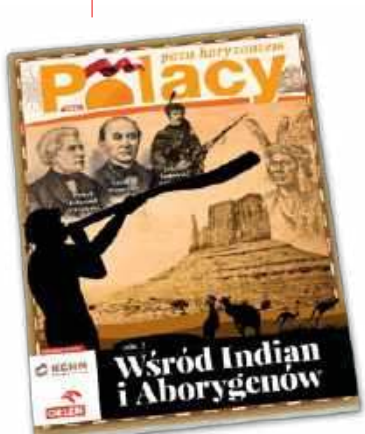

61--69 Polacy poza horyzontem
odc. 2

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ŚWIECKIE ŚWIĘTOŚCI**
Krzysztof Feusette

9 **ZDALNA KATASTROFA**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **TUNEL, PRZEKOP I NATURA**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **ODWAGI, GDULO!**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA ANGELIKI KORSZYŃSKIEJ-GÓRNY**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **TAKŻE KONIE DOPADŁ WIRUS**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **NOWA SPECJALNOŚĆ POLICJI – ŚLUSARZ**
Jerzy Jachowicz

TEMAT TYGODNIA

20 **Z ADAMEM GLAPIŃSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

26 **LEMPART JAK KIJOWSKI**
Stanisław Janecki

29 **BUNT DZIADERSÓW**
Konrad Kołodziejski

32 **AWANTURA NA LEWICY. POSZŁO O SŁOWO „KOBIETA”**
Stanisław Janecki

34 **Z DR. HAB. MACIEJEM GDULĄ**
rozmawia Dorota Łosiewicz

38 **POROZUMIENIE NA SWOIM**
Marek Pyza, Marcin Wikło

42 **SPUTNIK NAD EUROPĄ**
Marek Budzisz

OPINIE

46 **Z KRZYSZTOFEM WYSZKOWSKIM**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

48 **O WARUNKACH BADANIA KATASTROFY SMOLEŃSKIEJ. TRZEBA DAĆ ŚWIADECTWO PRAWDZIE**
Piotr Witakowski

ŚWIAT

50 **HOLLYWOOD I TERAPIA**
Aleksandra Rybińska

53 **POLITYCZNY ZAMACH STANU PREZYDENT MOŁDAWII**
Jan Rokita

56 **KRAJOBRAZ PO BITWIE**
Aleksander Stralcov-Karwacki

58 **HISTORYCZNA PIELGRZYMKA**
Marcin Tulicki

SIECI KULTURY

71 **POKAŻ, NA CO CIĘ STAĆ**
Jolanta Gajda-Zadworna

73 **PRZEWARTOŚCIOWAŁAM SWOJE ŻYCIE**
rozmowa z Anitą Rywalską-Sosnowską

76 **TAŃCZĄCY Z CHOCHOŁAMI**
Wojciech Lada

80 **NIENORMALNOŚĆ NORMALNOŚCI**
Robert Tekieli

81 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

82 **POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

84 **JAK ROZWIJAĆ FIRMĘ W CZASIE PANDEMII**
Bartosz Życiński

KUCHNIA

88 **MOJE SMAKI: AGNIESZKA MIELCZAREK**
Jolanta Gajda-Zadworna

89 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 **JÁNOS ESTERHÁZY: ARYSTOKRATA, PATRIOTA, POLITYK… UCZEŃ CHRYSTUSA**
Jan Pospieszalski

91 **TĘCZOWA DOKTRYNA BREŻNIEWA**
Wojciech Reszczyński

92 **POLSCY WYNALAZCY**
Alina Czerniakowska

93 **KOSZMAR POZYTYWNY: JAKA POLSKA MOGŁA BYĆ I JAKA JEST**
Bernard Margueritte

94 **MEDIALNOŚĆ I NIEMEDIALNOŚĆ**
Aleksander Nalaskowski

95 **PRZELOTNE BURZE**
Wiktor Świetlik

96 **BUKSOWANIE OSTENTACYJNE**
Ryszard Makowski

97 **SONET MARCOWY**
Leszek Długosz

98 **Z JASKINI DO… JASKINI**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 4/0221/F

eprasa.pl 1b410a6e1a

ZASKAKUJE SMAKIEM

NOWY HOT DOG

W OFERCIE

cafe punkt

KIEŁBASKA ZE ŚLIWKĄ

SOS BBQ

bez konserwantów

LOTOS

eprasa.pl 1b410a6e1a

Sygnalista nadaje

Rafał Trzaskowski sięgnął po historyczną metaforę. „Wszystko jest w naszych rękach. Dziś potrzebujemy przeprowadzić operację na skalę lądowania w Normandii i odbić Polskę plującym jadem, zakompleksionym nieudacznikom" – stwierdził. Coś mu się pomieszało. Rzesza i jej europejscy pomocnicy bronili się przed inwazją, Francję zdobywali alianci, w tym Polacy.

Lądowanie w Normandii dopiero w czerwcu, teraz Trzaskowski cierpi. „Jego wciąż niesie wspomnienie o ubiegłorocznej kampanii. Uważa, że uda mu się ją powtórzyć za kilka lat i że tym razem będzie zwycięska" – cytuje polityka PO tygodnik „Wprost". I dalej: „Pracę w ratuszu traktuje jak więzienie. Cieknące rury i ustalanie opłat za śmieci to nie jest żywioł Rafała". Pytanie, czy ktoś taki może przełamać Wał Atlantycki? Wątpliwe.

Może dlatego opozycja wysyła na pierwszą linię Martę Lempart i jej bojowców. „O wolność już nie zawalczymy marszami z balonikami, tylko blokując ronda. (...) Ludzie walczyli o to, by zmienić Polskę. Zaczęło się od aborcji, ale idziemy po wszystko, chodzi nam o wszystko" – wygraża Polsce Lempart. To prawda, gdy tacy jak ona wygrają, nastanie Nowa Tyrania. I także dzisiejsi sojusznicy tej hucpy nie raz i nie dwa gorzko zapłaczą. Ale jak to bywa w takich sytuacjach, będzie już za późno.

Lempart ma taką oto refleksję: „Największym wrogiem kobiet jest i był Kościół. (...) Polską rządzą niekompetentni ludzie, którzy nie zauważyli, że fundamentaliści razem z episkopatem porwali nam państwo". Atakuje też posłanki PiS, które nie wspierają postulatów tzw. Strajku Kobiet, stwierdzając, że „należą do bandyckiej nomenklatury". Kto w tym nie widzi powtórki z języka i strategii najczystszej bolszewii, ten nie uważał na lekcjach historii.

Senator PiS Dorota Tobiszowska zadeklarowała w rozmowie z Radiem Piekary, że w tegorocznym spisie powszechnym zadeklaruje narodowość śląską, a także języki śląski i polski. „Jestem Ślązaczką, ale Polką. Nie jestem absolutnie separatystką, wiem, co to oznacza" – zadeklarowała. I dodała: „Za każdym razem podkreślam przynależność do regionu. Wydaje mi się to oczywiste i to jest wartość dodana – do mojej osoby i każdej, która utożsamia się ze swoim regionem". Region ważny, ale Polska najważniejsza. Warto pamiętać.

Nowa Tyrania nie cofa się przed żadnym kłamstwem. Np. Parlament Europejski przyjął właśnie rezolucję w sprawie ogłoszenia Unii Europejskiej „strefą wolności LGBTIQ", dając wiarę ordynarnym manipulacjom, według których w Polsce są jakieś „strefy wolne od LGBT". Celnie skomentował tę groteskową akcję ***prof. Ryszard Legutko***: „Uspokójcie się ideologicznie. Dajcie ludziom żyć. Nie róbcie rewolucji. Zróbcie Unię strefą wolną dla zdrowego rozsądku". To chyba niemożliwe. Nie cofną się. Stalin jeszcze nie umarł.

Tzw. Strajk Kobiet pragnie zrealizować komunistyczne marzenie o świeckich ceremoniach przejścia. „Można zorganizować niezapomnianą wycieczkę, wspólnie stworzyć nowy wystrój pokoju lub przygotować przyjęcie świętujące wkroczenie w nowy etap. Przy okazji dziecko może dostać prezenty, dzięki czemu nie będzie czuło się poszkodowane w porównaniu do komunijnych rówieśników. Można też zorganizować jeszcze bardziej znaczącą celebrację. W tym wypadku jest to tzw. ceremonia rozkwitu". FDJ byłoby z was dumne, towarzysze.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Ta totalitarna fala ogarnia cały świat. Jest tak silna, że niedługo zostanie nam tylko – jak za twardej komuny – jednostkowy sprzeciw. Taki jak ten, na jaki zdobył się nieznany z imienia i nazwiska aktor, który przerwał nagrywanie audiobooka z książki Artura Domosławskiego „Wygnaniec. 21 scen z życia Zygmunta Baumana", ponieważ musiałby firmować swoim głosem atak na św. Jana Pawła II. Brawo!

Sprzeciw aktora wywołał następujący fragment: „W 1995 r. w Skoczowie Jan Paweł II posuwa się do wygłoszenia niedorzecznej tezy, że w Polsce powraca dyskryminacja katolików i że są oni spychani na margines życia społecznego". Domosławski relacjonuje: „W tym momencie aktor-lektor zrobił Rejtana, non possumus i takie tam. Poszło (...) o ten właśnie akapit, a najbardziej o sformułowanie NIEDORZECZNA TEZA. Aktor powiedział, że tego nie przeczyta". A gdyby tak każdy z nas postanowił, że nie przyłoży ręki do złego?

Telewizja Polska wyraziła niesmak „skrajnie niewiarygodnym przebiegiem plebiscytu" Telekamery 2021. W komunikacie czytamy: „Gala Telekamer, podczas której w większości kategorii wygrał »szorujący po dnie oglądalności« TVN, największy przegrany telewizji linearnej w 2020 r. (według wszystkich badań), TVN masowo zwalniający dziś dziennikarzy i staff – wyglądała na ustawkę i rozpaczliwą walkę dyrektora programowego TVN p. Miszczaka o przetrwanie. Właścicielom TVN-u zostawiamy dylemat, czy dać się nabrać na to, żeby klęskę ich telewizji w realu przypudrować fikcją sukcesu w ustawionym plebiscycie". Proszę pana, to nie jest żaden dylemat – to po prostu – modus operandi pewnych środowisk.

Branżowy magazyn „Press", zajmujący się sferą mediów, ma problem. W tekście „Nie prosto w oczy" czytamy: „Nie umiemy mówić dziennikarzom trzymającym z władzą, co sądzimy o ich postawie". Tekst wyjątkowo toksyczny i sekciarski, ale diagnoza w sumie słuszna: to medialny pluralizm, kruchy i ułomny, jednak istniejący, stoi na drodze III RP do szybkiej i pełnej restauracji. Bo to przecież nie są żadni demokraci. A nawet wręcz przeciwnie.

Politycy opozycji nie powstrzymali się przed szydzeniem z budowy tunelu pod Świną, który ma połączyć położone na wyspie Uznam Świnoujście z resztą Polski. „Pandemia? Trzecia fala? Bankructwa? Niewydolność systemu ochrony zdrowia? Korupcja w CBA? Afera Obajtka? Otóż nie! Premier i wicepremier od spraw bezpieczeństwa będą uroczyście nadawać imię... maszynie do drążenia tunelu..." – kpił lider PO ***Borys Budka***. Ale mało komu jest do śmiechu, bo w tle wciąż to samo pytanie: czy z tak głupiutką opozycją Polska może zachować suwerenność?

Borys Budka pochwalił się także tortem urodzinowym, na którym ustawiono pięć dużych świeczek i trzy małe, co miało zapewne nawiązywać do wulgarnego hasła wymierzonego w PiS. „Taka sytuacja. Zadziwiający układ świeczek, który przygotowali moi współpracownicy" – cieszył się lider PO. I znów to pytanie: czy z tak prostacką i chamską opozycją Polska może przetrwać?

Platforma nie chce budować tuneli ani kanałów, ale swoje pomysły ma. Rafał Trzaskowski ogłosił, że rozpoczyna budowę nowego mostu. „Pieszo-rowerowa przeprawa na Wiśle będzie jedną z najdłuższych tego typu konstrukcji na świecie. To kolejny projekt, dzięki któremu Warszawa staje się miastem dostępnym i przyjaznym. Słowem: idealnym miejscem do życia". Jak na razie to Warszawa staje się miastem brudnym, wysmarowanym wulgarnymi graffiti nawet w ścisłym centrum. Ale za to będzie spacerowa kładka.

Ks. Kazimierz Sowa zmartwił się spadającą religijnością Polaków. Zdaniem duchownego kryzys to wynik „sojuszu tronu z ołtarzem, który odbija się Kościołowi czkawką". Jak zauważył Piotr Semka, to dość bezczelne stwierdzenie, ponieważ wygłasza je „niespełniony kandydat na kapelana prezydenckiego w razie wygranej Tuska i autor tekstów w partyjnym piśmie wewnętrznym Platformy". Słusznie. Rzeczywiście, dziś po politycznym boisku najchętniej biegają księża liberalni i lewicowi. I to oni grają najostrzej.

Socjolog prof. Andrzej Rychard tak wyjaśnił, dlaczego pracujący zdalnie wykładowcy akademiccy zostali zaszczepieni szybciej niż m.in. kasjerki mające kontakt z ludźmi. „Uważam, że jest to rodzaj nagrody za społecznie zajmowaną pozycję, która zresztą – jak mi się wydaje – jest społecznie akceptowalna i zasadniczo nie ma w niej niczego złego. Jakoś nikt np. nie protestuje przeciwko dłuższym urlopom pracowników naukowych" – wyjaśnił. Później wycofał się z tych słów, ale wrażenie, że odwiedził nas ktoś, kto urodził się przed rewolucją francuską, pozostało.

Fot. Fratria, Andrzej Wiktor, Mateusz Zelnik

eprasa.pl 1b410a6e1a

Świeckie świętości

KRZYSZTOF FEUSETTE

Siostry, żony i kochanki, bracia, mężowie i partnerzy, osoby binarne, niebinarne i dwupłciowe, towarzyszki i towarzysze doli i niedoli, ale jeśli nie doli, to znaczy nie dali – tego czegoś na literę „d", wiecie komu i wiecie po co, o datkach mówię, oczywiście, także o grantach, wpłatach i przelewach, bo u nas się nie przelewa, gdyż to nam się przelewa – to będzie źle. Niniejszą drogą zwracamy się ku paniom i panom z czterema literami na sztandarach oraz piątą „q", jak urwał jego nać, że tak powiem. Zwracamy się do całego naszego środowiska, bo oto nadszedł czas próby. Dość poniewierania naszych wartości i ideałów, dość krzyży na Giewontach i kościołów od Zakopanego po Szczecin, mówimy dość, bo mamy dość, ale dość mówienia. Propozycja nasza, za naszą i waszą sprawą niech naszą i waszą sprawę popchnie do przodu. Bo do tyłu nie można. Tym bardziej wyrażamy głębokie uznanie dla tego dzielnego, choć anonimowego mężczyzny (jeśli nie, to z góry sorry, z dołu też), który w ubiegłym tygodniu, podczas uroczystej konferencji prasowej, ogłosił program walki z katolicką ciemnotą. I zachęcał w imieniu Strajku Kobiet Lempartowej (swoją drogą, nic dziwnego, że zastrajkowały, jak ona wiecznie albo w TVN, albo na ulicy) – do zerwania ze starymi tradycjami na rzecz nowych świeckich. Chylimy czoła przed inwencją naszych kapłanów ze świątyń ulicznych bogiń: Wypalaj, Wywalaj, Wypadaj i Wydalaj oraz Ruchu Ośmiu Gwiazdek Internetu. W naszej ocenie już pierwszego dnia po wyborach dawne święta trzeba będzie zakończyć jednym strzałem. Podpisujemy się pod postulatami, iż zamiast chrztu osobom, które odczuwają „naturalną potrzebę celebracji i zaznaczenia jakimś rytuałem, że w rodzinie i społeczności pojawił się ktoś nowy" – jak mówiła Osoba ze Strajku Kobiet – poleca się „urządzić dziecku huczne pierwsze urodziny". Można także „zorganizować tzw. ceremonię nadania imienia, z udziałem celebranta lub celebrantki". W miejsce pierwszej komunii zaś „można zorganizować niezapomnianą wycieczkę, wspólnie stworzyć nowy wystrój pokoju lub przygotować przyjęcie". Ważne, że „przy okazji dziecko może dostać prezenty, dzięki czemu nie będzie czuło się poszkodowane w porównaniu do komunijnych rówieśników".

My, czyli autorzy listu otwartego, jak nasze, powiedzmy, serca – sugerujemy Naczerskiemu Kierownictwu Rewolucji Niekulturalnej, by już od 1 kwietnia bieżącego roku wprowadzić na terenie całego kraju nowy świecki kalendarz świąt publicznych. Powinny to być dni wolne od pracy, aby społeczeństwo nie poczuło się stratne. Zaczynamy Nowym Rokiem, jednak nowym inaczej niż zawsze, po nowemu. To może, ba, to powinien być dzień darmowej wymiany płci dla każdego, kogo na to nie stać, a chciałby spróbować. Święto, w którym państwo mówi obywatelowi „Z Nowym Rokiem – z nowym krokiem!". Potem 14 lutego, walentynki. Należy skończyć z wykorzystywaniem tego dnia symbolu czerwonego serduszka, gdyż od początku świata i o jeden dzień dłużej jest ono przypisane do Wielkiej Orkiestry Jurka Jurasa, a z walentynek Juras nie ma prawie nic, w każdym razie nie tyle, co z naszych melonów. Skończmy też z wysyłaniem tego dnia niby-serduszek osobom o innej płci niż nasza, bo to niegodne. Należy bezzwłocznie zapewnić atrakcje osobom singlowym, poprzez nowe czyste formy: nawalentynki, dowalentynki czy odwalentynki. 8 marca, Dzień Strajkujących Kobiet, orgia zadymy na potrójnych gazach, cała banda całą dobę. 13 dni później, Pierwszy Dzień Wiosny, a więc pochód Wiosny razem z Razem, Razem razem z SLD. A potem, oczywiście, odwrotnie. I na finał tradycyjne, a jednak nowoczesne – topienie Marzeny, która nie chce dłużej być Marianem. Chodzi o przemianę płciowo-duchową, stąd strój Marzeny – białe prześcieradło narzucone na garnek, niczym symbol patriarchatu. Kwiecień – oczywiście, tak zwana Wielkanoc, piszę „tak zwana", bo ani noc, ani wielka, najdłuższe noce są zimą. Natomiast samo malowanie jaj można pozostawić jako formę zadośćuczynienia kobietom za globalne ocieplenie, które bije w nie znacznie mocniej, choćby z powodu kremów z filtrem. Potem 1 maja, Święto Ludzi Pracy bez Pracy, a więc pochody, manify, blokowanie rond i szpitali położniczych. 22 lipca – Święto Odrodzenia Idei, że my, Polacy, do rządzenia Polską, po prostu, się nie nadajemy. Festyny wielojęzyczne, koncerty, może Wyścig Przedpokoju? 1 września, rocznica wojny wywołanej, przypomnijmy, złym słowem Polaka do innego narodu. A więc Dancing w Danzig, radosny pochodzik i tańce. 24 października – rocznica rewolucji październikowej, szansa na przypomnienie młodym, jak wielkie jest podobieństwo zwycięskiego Lenina i zwycięskiej Lempart. Tydzień później Halloween, co tu kryć, jedno z najważniejszych, najpiękniejszych i najbardziej refleksyjnych świąt w kalendarzu świąt świeckich. Nawet Donald Tusk je obchodzi, inna sprawa, czy kogoś to obchodzi i czy przypadkiem nie jest to obciążeniem dla samego święta. Wreszcie 24 grudnia, dawniej Wigilia. Niech to nareszcie będzie wspaniałe, świeckie Święto Urwanych z Choinki. Czyli tych, którzy zerwali się z łańcucha tradycyjnych świąt katolickich. To także wspaniała okazja, by powspominać smutek żołnierzy Wehrmachtu czy pozapalać znicze na grobach radzieckich wyzwolicieli. A na wioskach zamiast opłatka niech łamią się opłotkiem, w ramach corocznej zabawy w Kargula i Pawlaka, tylko na poważnie. Z rewolucyjnym salutem, Wściekła z Wilanowa.

eprasa.pl 1b410a6e1a

WIEŻA BAB

Zdalna katastrofa

Gminy i dyrektorzy narzucają rygorystyczny wręcz plan zajęć uczniów, którego celem nie jest nauka, ale kontrola pracy nauczycieli

Już niemal rok (z krótkimi przerwami) dzieci uczą się zdalnie. Pandemia w wielu przypadkach odebrała dzieciakom relacje społeczne, normalną edukację, często także zdrowie fizyczne i psychiczne.

Z raportu poznańskiej Fundacji Edukacji Zdrowotnej i Psychoterapii pt. „Etat w sieci 2.0. Zdrowie psychiczne polskich nastolatków w nauce zdalnej" wynika, że dzieci spędzają przed monitorami dziewięć godzin dziennie, 62 proc. nastolatków ma problemy ze snem, dzieci mają poczucie izolacji i frustracji. 43 proc. badanych myśli o śmierci, 75 proc. martwi się o przyszłość. Te dane porażają.

List w sprawie zdalnej edukacji do ministra edukacji i nauki wysłali przedstawiciele Stowarzyszenia Rzecznik Praw Rodziców, wsparci przez wielu ekspertów, wytykając liczne absurdy zdalnej nauki. W korespondencji czytamy: „Od roku nasze dzieci uczą się w trybie zdalnym. Postulujemy, aby organizacja zajęć została podporządkowana głównemu celowi systemu oświaty, jakim jest wspieranie dziecka w rozwoju ku pełnej dojrzałości w sferze fizycznej, emocjonalnej, intelektualnej, duchowej i społecznej. Prawo oświatowe stanowi również o konieczności dostosowania treści, metod i organizacji nauczania do możliwości psychofizycznych uczniów. Obecnie jest dokładnie odwrotnie. Dzieci muszą dostosowywać się do narzuconych warunków, niezgodnych z ich potrzebami rozwojowymi, a nawet łamiących ich prawo do harmonijnego rozwoju oraz bezpiecznych i higienicznych warunków nauki. Najbardziej wymowną ilustracją absurdu obecnego systemu jest powtarzająca się w całej Polsce sytuacja, w której dzieci nie mogą podjąć aktywności fizycznej na dworze, ponieważ siedzą przy komputerze i przygotowują prezentacje na zajęcia wychowania fizycznego. Spośród licznych relacji przytoczymy trzy. Kraków. Matka uczniów szkoły podstawowej pisze: »Pytałam WF-istów, czy mogliby zaliczyć dzieciom WF na podstawie tego, że kilka razy w tygodniu trenują różne sporty, że chodzą raz w tygodniu na długie wędrówki, jeżdżą na rowerze itp., prośbę motywowałam między innymi niszczącym się wzrokiem przez tak długie godziny siedzenia przed monitorem. Jeden nauczyciel obraził się na mojego syna, że śmiał uniknąć oglądania starych meczów (czego nigdy nie lubił, bo zamiast TV woli inny rodzaj sportu) i przed całą klasą oświadczył, że skoro młodemu nie pasuje oglądanie meczów, teraz będą mieć ćwiczenia przed monitorem i sprawdziany z wiedzy teoretycznej. A drugi nauczyciel olał mnie, mówiąc brzydko, i nie zechciał odpowiedzieć, za to w ramach poprawy wzroku zrobił gimnastykę oczu na WF-ie«".

Autorzy listu podkreślają, że opisana przez MEiN w poradniku do zdalnej edukacji (Poradnik z marca 2020 r.) strategia dostosowania zdalnej edukacji do możliwości organizacyjnych, technologicznych w rodzinach nie występuje. Gminy i dyrektorzy narzucają rygorystyczny wręcz plan zajęć uczniów, którego celem nie jest nauka, ale kontrola pracy nauczycieli. Nauczyciele codziennie zdają sprawozdania z odbytych lekcji. Jako przykład autorzy listu podają nauczyciela plastyki, który pracuje w kilku szkołach, w dziewięciu klasach i codziennie ma obowiązek przesłać do urzędu miasta sprawozdania z lekcji oraz zdjęcia prac plastycznych uczniów. Stowarzyszenie Rzecznik Praw Rodziców zauważa, że władze oświatowe, dyscyplinując nauczycieli, zapominają o możliwościach, potrzebach i zainteresowaniach dzieci. O ich sposobie uczenia, indywidualności, a – co najważniejsze – o zdrowej psychice każdego z nich.

Co na tę sytuację MEiN? Szef tego resortu zainaugurował właśnie program „Aktywny powrót do szkoły". Ma on pomóc uczniom w przywróceniu pełnej sprawności fizycznej po okresie nauki zdalnej. Minister Czarnek poinformował, że na realizację programu od kwietnia do grudnia przeznaczone zostaną 42 mln zł. Wcześniej premier Morawiecki odwiedził Środowiskowe Centrum Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzieży na warszawskich Bielanach. Powiedział przy tej okazji, że dbanie o zdrowie psychiczne dzieci i młodzieży w czasie pandemii to dla państwa test wrażliwości i empatii. Ja bym dorzuciła, że absolutny obowiązek.

Dobrze, że rząd zdaje sobie sprawę z opłakanych skutków zdalnej edukacji. Jeśli jednak sytuacja będzie się przeciągała, to nie będzie takich środków, którymi da się zasypać powstałe straty w edukacji, zdrowiu fizycznym i psychicznym naszych dzieci. Dzieci powinny jak najszybciej wrócić do szkół.

Dorota Łosiewicz

Szwajcaria

Burki zakazane

Szwajcaria, której system polityczny w dużej mierze opiera się na metodach demokracji bezpośredniej, zorganizowała w zeszłą niedzielę referendum. Obywatele podjęli w nim decyzję o zakazie noszenia muzułmańskich burek i innych strojów zakrywających twarz. Mimo że Szwajcarska Rada Związkowa sugerowała, aby głosujący opowiedzieli się przeciwko zakazowi, został on uchwalony nieznaczną (51,2 proc.) większością głosów. W rezultacie muzułmańskie nakrycia głowy zostały w Szwajcarii zakazane. Przedstawiciel społeczności islamskiej w Szwajcarii skrytykował podjętą decyzję, określając ją jako „smutny dzień dla muzułmanów".

Choć pytanie zadane w referendum nie odnosiło się bezpośrednio do muzułmańskich zakryć kobiecej głowy i mówiono, że dotyczy ono głównie masek noszonych przez agresywnych demonstrantów, to dla każdego było jasne, o co chodzi. Media i opinia publiczna mówiły o „referendum w sprawie burki".

Głosowanie odbyło się na wniosek Szwajcarskiej Partii Ludowej (Schweizerische Volkspartei, SVP), określanej przez zachodnie media jako „skrajnie prawicowa", a która w rzeczywistości jest sprzeciwiającą się imigracji formacją narodowo-konserwatywną, prowadzącą politykę izolacjonistyczną i zarazem liberalną gospodarczo. Zresztą już wcześniej SVP proponowała podobne tematy do referendum. Obowiązujący dziś zakaz budowy minaretów w Szwajcarii jest wynikiem właśnie jednego z takich głosowań z 2009 r.

Większość muzułmanów w Szwajcarii to imigranci ekonomiczni pochodzący z Turcji, Bośni i Hercegowiny oraz Kosowa. Żadna z tych społeczności nie ma swojej tradycji noszenia burki (strój zakrywający całe ciało) ani nikabu (ubiór zakrywający twarz, oprócz oczu), ale spora część kobiet nosi hidżab (zwykłą chustę), co już nie jest zabronione. Z tego powodu szwajcarskie referendum nie będzie miało zbyt wielu konkretnych konsekwencji.

Znacznie ważniejsze jest za to jego symboliczne przesłanie. Oznacza bowiem, że Szwajcaria staje się kolejnym krajem europejskim, który ogranicza w swojej przestrzeni publicznej tradycję nienależącą do kultury zachodniej. Przedmiotem debaty jest dziś to, czy burki reprezentują jedynie tożsamość religijną, co oznaczałoby, że ich zakaz może być uznany za antyreligijną szykanę.

W tej chwili całkowity zakaz noszenia burki obowiązuje we Francji, a ograniczenia w Austrii, Danii, Holandii i Bułgarii.

Goran Andrijanić

Fot. meunierd/Shutterstock.com

USA

Patroni do wymiany

Z kilku amerykańskich szkół wycofano właśnie sześć tytułów książek napisanych przez legendarnego autora dziecięcych powieści (m.in. o Grinchu) dr. Theodora Seussa Geisela. Zarzuca mu się rasizm, choć jego książki jeszcze w 1998 r. były wykorzystywane przez ONZ do promocji tolerancji w Bośni. Zresztą los Seussa mogą wkrótce podzielić Abraham Lincoln i Jerzy Waszyngton, czyli osoby w Ameryce do niedawna nietykalne.

Rada Edukacyjna San Francisco zagłosowała pod koniec stycznia, że 44 miejscowe szkoły zmienią swoich patronów. Usunięci mają być ci, których dziś uznaje się za rasistów i seksistów. Wśród nich znalazł się ojciec amerykańskiej niepodległości Jerzy Waszyngton, który posiadał niewolników, oraz... Abraham Lincoln, który – dla odmiany – zniósł niewolnictwo w USA. Okazuje się jednak, że Lincoln ma być skasowany za los Indian. Chodzi o powstanie Dakotów z 1862 r., podczas którego 300 rebeliantów zostało skazanych na śmierć. Lincoln zdecydował, że na tę karę zasługuje 38 osób. Wszystkie powieszono.

Przewodnicząca Rady Edukacji San Francisco Gabriela López wyjaśniła w „The New York Times", że jej miasto potępia jakiekolwiek „symbole białej supremacji i rasizmu". W dokumencie wydanym przez radę można przeczytać, że jej członkowie sprzeciwiają się opresji wobec kobiet i „hamowaniu postępu społecznego", a szkoły nie mogą mieć patronów, którzy „przyczyniali się do ludobójstwa i działali przeciwko prawu innych do wolności i szczęścia".

Decyzja rady została podjęta bez zapytania o opinię uczniów szkół oraz ich rodziców. Pojawiają się więc głosy wytykające radzie celowe zakulisowe działanie podczas zdalnego nauczania. Krytycy zwracają też uwagę, że zmiana patrona jednej szkoły będzie kosztować 10 tys. dol. Czy to odpowiedni czas, aby wydawać prawie pół miliona dolarów na walkę z patronami 44 szkół?

Decyzja rady wzbudziła wątpliwości nawet u demokratycznej burmistrz San Francisco London Breed, która napisała w oświadczeniu, że nie rozumie, dlaczego rada dała czas szkołom na zmianę patronów tylko do kwietnia, skoro nie wyznaczyła jeszcze terminu powrotu uczniów do szkół. López odpowiada, że rada nie może pracować jednocześnie nad powrotem dzieci do szkół i walką z rasizmem. Jak widać, to drugie jest ważniejsze.

Łukasz Adamski

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1b410a6e1a

Białoruś

Pałace Łukaszenki

Białoruski opozycyjny kanał internetowy Nexta, którym kieruje Sciapan Puciła, opublikował film o pałacach Aleksandra Łukaszenki. Nawiązanie do słynnej już produkcji Nawalnego poświęconej pałacowi Putina w Gelendżyku jest zamierzone i oczywiste.

Film, który w ciągu 24 godzin od premiery obejrzało już 2 mln ludzi (na Białorusi mieszka 9,4 mln osób), drastycznie odbiega od oficjalnej mitologii. Widzimy obraz kraju zawłaszczonego przez rządzący reżim: przez Łukaszenkę, jego rodzinę i najbliższych współpracowników. Kraju, którego „elita" nie dostrzega różnicy między sferą publiczną a prywatną, wykorzystując bez skrępowania środki budżetowe na budowę formalnie państwowych, a de facto prywatnych rezydencji, takich jak Pałac Niepodległości w Mińsku. Film pokazuje m.in. posiadłość Łukaszenki w Szerszunach, która kosztowała 40 mln dol. Formalnie nie należy ona do dyktatora, lecz jest własnością zaprzyjaźnionego z nim rosyjskiego przedsiębiorcy Michaiła Gucerijewa. Z kolei inne pałace będące do dyspozycji dyktatora budowano np. ze środków pomocowych Unii Europejskiej przeznaczonych na inwestycje ekologiczne.

Łukaszenka ma do swojej dyspozycji wartą 4 mln euro flotę luksusowych samochodów, w której skład wchodzą maybachy i najnowsze modele mercedesów. Jest też tesla, rzekomo podarowana dyktatorowi przez Elona Muska (autorzy filmu sprawdzili, że to nieprawda). Samochody, w których gustuje Łukaszenka, to w większości prezenty od zaprzyjaźnionych biznesmenów. Jednak nie bezinteresowne, bo jak udowadniają autorzy filmu, Gucerijew, który dał w prezencie dyktatorowi wartego 140 tys. euro maybacha, swoje inwestycje finansował z chińskiego kredytu zaciągniętego i gwarantowanego przez białoruskie władze. Podobnie robią inni sponsorzy rządzącej elity. Rosyjska instytucja „obszczaku", czyli wspólnej kasy zasilanej z łapówek i „prezentów", o której w swoim filmie informował Nawalny, jest dobrze znana także na Białorusi.

Dyktator wiedział o planowanej premierze filmu, bo wyraźnie podenerwowany mówił na ten temat już kilka dni przed pierwszymi zapowiedziami Sciapana Puciły. Jaki będzie społeczny rezonans tego, co Białorusini mogli obejrzeć na ekranach swoich komputerów, zobaczymy najprawdopodobniej 25 marca, kiedy przypada rocznica utworzenia pierwszego niepodległego państwa białoruskiego. Opozycja zapowiada na ten dzień demonstracje, które mają stanowić początek jej wiosennej ofensywy politycznej.

Marek Budzisz

Fot. Drop of Light/Shutterstock.com

Nowa kolonizacja?

Indie

Fot. INDIAviaMirror/Shutterstock.com

Na 20 kwietnia Sąd Najwyższy w Nowym Delhi wyznaczył rozprawę, podczas której sędziowie mają rozstrzygnąć, czy pary jednopłciowe w Indiach mogą zostać prawnie zrównane z małżeństwami. Sprawa będzie rozpatrywana na wniosek rządu, który znajduje się pod presją różnych organizacji międzynarodowych domagających się usankcjonowania związków homoseksualnych. Władze uważają, że relacje jednopłciowe są niezgodne z kulturą hinduską, ich prawne uprzywilejowanie pozostaje zaś w sprzeczności z interesem państwa. Rządzący podkreślają, że od 2018 r. za stosunki homoseksualne nie grozi już kara więzienia, co jednak nie może być równoznaczne z afirmacją tego typu związków. Premier Modi zdecydował się skierować sprawę do Sądu Najwyższego, licząc na pozytywne dla siebie rozstrzygnięcie.

W debacie publicznej ścierają się dwie narracje: dekolonizacyjna i kolonizatorska. Zwolennicy postulatów lobby LGBT przypominają, że stosunki homoseksualne w Indiach były zakazane przez ponad 150 lat na mocy Kodeksu karnego pochodzącego z 1861 r. Ich zdaniem był to relikt kolonialnej przeszłości. Dalszym krokiem na drodze do wyzwalania się z syndromu postkolonialnego powinno więc być prawne zrównanie dyskryminowanych dotąd par jednopłciowych z małżeństwami.

Strona przeciwna twierdzi z kolei, że obdarzenie związków homoseksualnych przywilejami małżeńskimi to rodzaj ideologicznej kolonizacji, mającej na celu narzucenie przez Zachód mieszkańcom Indii (często za pomocą presji, gróźb i szantażu) obcego im świata wartości. Zwolennicy tego stanowiska uważają, że homoseksualizm jest głęboko sprzeczny z hinduską tożsamością, tradycją i kulturą. Dlatego państwo, któremu długo zajęło otrząsanie się ze spuścizny rządów brytyjskich, nie powinno godzić się na nową kolonizację i osłabianie swych społecznych, kulturowych oraz religijnych fundamentów.

Ta konfrontacja sprawia, że rozprawa zapowiada się niezwykle ciekawie, a wydany wyrok może przesądzić o tym, którą drogą podążą Indie w najbliższej przyszłości.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 1b410a6e1a

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Tunel, przekop i natura

Jan Pietrzak

Nabierające tempa drążenie tunelu pod Świną bardzo irytuje opozycję. Nie życzą sobie połączenia Świnoujścia z ojczyzną. Tak jak nie życzą sobie przekopu mierzei i połączenia Elbląga z Bałtykiem. Pamiętamy wielce erudycyjną wypowiedź Kidawy-Błońskiej, że gdyby kanał był potrzebny, natura by go utworzyła. Co dotyczy również skomunikowania Uznamu z Wolinem. Gdyby natura uznała, że wyspa ma być jedna, a nie dwie, połączyłaby je mostem pontonowym z rezerw Armii Czerwonej. Kolejną superinwestycję – Centralny Port Komunikacyjny – też natura mogłaby powołać do istnienia. Co to za problem dla natury?!

Tu właśnie, na naszej ziemi, Niemcy zaplanowali rozległe „Tereny Natura", niezbędne dla euroklimatu i światowej ekologii. Tu polecono ograniczać działalność gospodarczą, a jedynie sadzić lasy. Polacy mieli się wynieść za chlebem do Niemiec albo gdziekolwiek. Może na Sybir jako Nord Stream 3? Takie były plany w czasach Tuska i jego poprzedników, budowniczych III RP podczas epokowej transformacji. Dlatego posterunki, przychodnie były niepotrzebne, poczty, przystanki, autobusy, stacje kolejowe, PGR... Kopalnie oczywiście do kasacji... Tylko lasy, jak najwięcej lasów, które w odpowiednim momencie mieli zamiar podarować innemu narodowi, lepiej znającemu się na puszczach, kornikach i jeleniach.

Przez likwidację struktur, ograniczenia komunikacyjne, brak perspektyw społeczeństwo miało się pogrążać w beznadziei i zwątpić we własne siły. Poligon doświadczalny stanowiły tereny byłych PGR. Tak miała wyglądać cała Polska. Rudery, bezrobocie i kuroniówka. To się nazywało liberalizm à la UD i KLD, ideowych poprzedników PO. Sławetna „niewidzialna ręka rynku" okazała się łapą złodzieja. Jeden z nich pod szyldem Amber Gold okradł tysiące ludzi, a ponieważ miał gdański parasol ochronny, uzyskane pieniądze zainwestował w awiację. Stworzył firmę OLT, która miała za zadanie wykończenie LOT. Usłyszeliśmy wówczas historyczne zdanie Tuska: „Najwyższy czas skończyć z doktryną, że LOT należy ratować za wszelką cenę". Dziś widzimy, że najwyższy czas skończyć z PO. Przy okazji należy skończyć z doktryną, że Tusk jest Polakiem.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Język niepolski

Dominik Zdort

Spór o istnienie lub nieistnienie języka śląskiego można przedstawiać jako kwestię praw człowieka, w której ich obrońcy walczą z uporem zamordystów. Można argumentować, że lud śląski ma przyrodzone prawo do oficjalnego uznania swojej „godki" jako pełnoprawnego języka. Można też analizować lingwistyczne niuanse.

Ale problem jest znacznie głębszy. Dotyczy tego, o co Polacy żyjący na tamtych terenach długo zabiegali wszelkimi środkami, w imię czego narażali życie. O polskie państwo na Śląsku, o polskie nazwy miejscowości, o polski język w urzędach wreszcie.

Powstańcy śląscy nie zabiegali o uznanie ich za oddzielny naród, o traktowanie ich języka jako mowy innej niż polska. Wręcz przeciwnie – ich marzeniem była Polska, co tak pięknie pokazał śp. Kazimierz Kutz w „Soli ziemi czarnej". Wszystkich, którzy dziś marzą o uznaniu ślązaczyzny za język obcy, zachęcam do przypomnienia sobie tego filmu.

Przyznajmy: pod koniec życia Kutz na złość swoim zasługom dla polskości Śląska, a pewnie na złość nielubianym przez siebie politykom, potrafił głosić poglądy nierozsądne. Ale zawsze, gdy używał dialektu śląskiego, słychać było, że to zwyczajna regionalna polszczyzna zrozumiała dla Polaków z innych części kraju. Tak też mówili bohaterowie jego śląskich filmów.

Z podobnymi językowymi roszczeniami mogliby wystąpić górale, ale – jak rozumiem – tu dążenie do wymuszenia uznania ich za oddzielny naród jest mniej taktowne ze względu na historię goralenfolku. Na Górnym Śląsku sytuacja była też skomplikowana, a więc i Ślązacy nie powinni zapominać, że niemal półtora miliona mieszkańców tego regionu zostało wpisanych – mniej lub bardziej dobrowolnie – na różnego typu folkslisty. To znaczący powód, alby dziś ich potomkowie nieco mniej entuzjastycznie odcinali się od polskości.

Pisanie, że taka działalność – prowadzona choćby i bez złych intencji – może doprowadzić do przejęcia Śląska przez Niemcy, jest na ogół wyśmiewane jako straszenie żelaznym wilkiem. Jednak w czasach integracji europejskiej, gdy zacierają się granice, gdy polityka UE jest tak mocno zdominowana przez Niemcy, można się spodziewać rozwiązań dla Polski złych, choć oczywiście bezkrwawych, to dla Polski niekorzystnych, i nie jest to wcale perspektywa abstrakcyjna. Zwolennicy uznania ślązaczyzny za „język niepolski", twierdzący, że Ślązacy nie należą do narodu polskiego, powinni o tym pamiętać.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 1b410a6e1a

BRONISŁAW WILDSTEIN

Odwagi, Gdulo!

Poseł lewicy prof. Maciej Gdula zażądał usunięcia z listy lektur szkolnych „W pustyni i w puszczy" Henryka Sienkiewicza jako książki szkodliwej, która propaguje rasizm i patriarchalizm. Ostatecznie zgadza się na przesunięcie jej do klas wyższych, gdzie powieść zostanie omówiona krytycznie, czyli uczniowie dowiedzą się, dlaczego literatura taka nie powinna mieć racji bytu. Inicjatywę Gduli potraktować trzeba wyłącznie jako próbę przed konsekwentną akcją weryfikacji nie tylko lektur szkolnych – dlaczego się do nich ograniczać? – lecz całości kanonu literackiego, który – nie wahajmy się nazwać rzeczy po imieniu – jest patriarchalny, ksenofobiczny, homofobiczny, wykluczający i nietolerancyjny. Działacze lewicy znoszą go tak długo, pewnie dlatego, że zajęci naprawianiem świata nie mają czasu, aby się z nim zapoznać. Postanowiłem im więc pomóc. Mój felieton jest rekonesansem, który nie pretenduje do wyczerpania zagadnienia, a nawet systematyczności, jestem bowiem przekonany, że niedługo powstaną podręczniki, które określą, co czytać powinniśmy, a czego nie możemy. Zachęcając towarzyszy do odwagi, zasugeruję kierunki.

Rozliczenie z literaturą polską zacząć trzeba co najmniej od Jana Kochanowskiego, którego nie tylko z listy lektur należy definitywnie wyeliminować. Weźmy taki dwuwiersz z „Pieśni o spustoszeniu Podola": „Córy szlacheckie (żal się mocny Boże!)/ Psom bisurmańskim brzydkie ścielą łoże". Przy takim natężeniu islamofobii blednie manifestowany przez autora klasowy szowinizm – że niby córy chłopskie, to mogą?! Nienawiścią do muzułmanów bucha cały utwór pełen epitetów w rodzaju „pohaniec sprośny" czy „niewierny Turczyn" i woła o krwawą z nimi rozprawę. Czy czegoś takiego ma się uczyć nasza młodzież?

Później też nie jest lepiej. Cały polski romantyzm nadaje się wyłącznie na śmietnik. Stopień mizoginizmu, który prezentuje nie tylko trójka wieszczów, lecz także Norwid, wyraża fraza Mickiewicza: „Kobieto, puchu marny". W manifestacji zaściankowego patriarchalizmu, jakim jest „Pan Tadeusz", jedna bohaterka, Zosia, jest czekającą na pana naiwną laleczką, a druga, Telimena... lepiej nie mówić, kim jest. Krasiński krztusi się antysemityzmem itd.

Problem jest nie tylko z literaturą polską. Nie sposób znaleźć większej apoteozy patriarchalizmu i mentalności kolonialnej niż w „Iliadzie" i „Odysei". A Biblia? Stary Testament pełen jest ślepego fanatyzmu, masowych, dokonywanych w imię Boga rzezi i postaci takich jak Abraham, który na rozkaz Pana decyduje się zabić jedynego syna. Homofobia przyjmuje stężenie takie, że uznaje się za sprawiedliwe, aby miasta Sodomę i Gomorę unicestwić za postawę gay-friendly. Nowy Testament nie jest lepszy. Św. Paweł może być uznany za ojca homofobii. Dante w „Boskiej komedii" umieszcza homoseksualistów w VII kręgu, czyli prawie na samym dnie piekła.

Ponieważ w większości krajów na Zachodzie propaganda homofobii jest penalizowana, dziwię się, że środowiska gejowskie nie zażądały zakazu publikowania Biblii i „Boskiej komedii" (oczywiście nie tylko) oraz kar dla tych, którzy je propagują.

Szekspir jest najgorszy. W kółko podkreśla czarny kolor skóry jednej ze swoich najbardziej odrażających postaci, jaką jest Aaron w „Tytusie Andrionikusie". Czarny Otello jest niby szlachetny, a przecież łatwość, z jaką zabija swoją kochającą żonę Desdemonę, nie pozostawia złudzeń, że jego rasa ma w tym udział. „Burza" to apologia kolonializmu Prospera i odczłowieczenie czarnego tubylca, Kalibana. O mizoginii twórcy „Poskromnienia złośnicy", które uczy, jak podporządkowywać kobiety mężczyznom, można by bez końca. Ofiary kalectwa („Ryszard III") czy nieprawego pochodzenia (Edmund z „Króla Leara") są zdaniem autora z tego właśnie powodu siewcami zła.

To przypadki jednoznaczne i Gdula wie, co z nimi zrobić. Co jednak począć z Wolterem, który wprawdzie był postępowy, ale był także rasistą, antysemitą i mizoginem? I nie tylko on. Takich ułomnych postępowców trzeba by wydawać w wersjach poprawionych z właściwymi komentarzami i bez gorszących fragmentów. Co jednak zrobić z „O kwestii żydowskiej" Marksa?

Klasyczna literatura uwikłana jest w przesądy swoich czasów. A postęp powinien polegać na ich eliminacji. Prawie (?) wszyscy tzw. klasycy nadają się wyłącznie na przemiał. Nie uczmy młodych starych zabobonów.

Uważajmy także, co polecamy. Słyszę, że w „W pustyni i w puszczy" powinno być zastąpione przez „Władcę pierścieni". Hola, hola, to zakamuflowane patriarchalne religianctwo jest ryzykowne nie tylko z powodu orkofobii Tolkiena.

W miarę postępów w budowie emancypacji walka z nietolerancją zaostrza się. Dlatego trzeba precyzyjnie ustalić, co czytać należy, a czego nie wolno.

Gdulo, do dzieła!

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1b410a6e1a

Walizka Angeliki Korszyńskiej-Górny

piosenkarki, kompozytorki, matki pięciorga dzieci

Moje wyjazdy mogę podzielić na trasy koncertowe oraz podróże z mężem, który zbiera materiały do książek. Ze swoim zespołem występujemy na terenie całej Polski, lecz również na Węgrzech. Z racji tematyki religijnej książek Grzegorza te podróże są znacznie dalsze: Ziemia Święta, Meksyk, Watykan, Francja...

KSIĄŻKI

Zabieram je w podróże pociągiem. Są to najczęściej biografie świętych i ambitne powieści. Ostatnio przeczytałam „Dom smagany wiatrem" ks. Malachiego Martina, a teraz jestem w trakcie lektury powieści „Ojciec Eliasz. Dzień gniewu" Michaela D. O'Briena.

BREWIARZ

Brewiarz staram się odmawiać codziennie. Na wyjazdach mam wersję węgierską, dzięki czemu mogę się modlić w pierwszym moim języku – języku mojej Mamy.

KOSMETYCZKA

Delikatny make-up to mój codzienny rytuał od 15. roku życia. Moja Mama się malowała, teraz moje córki. Uważam, że każda kobieta, dzięki tuszowi i kredce, może odrobinę podkreślić swoją urodę.

PERFUMY

Arabskie perfumy są niepowtarzalne i różnią się od typowych europejskich zapachów. Przede wszystkim tworzone są z naturalnych komponentów, na bazie olejów, a nie alkoholu. Często zapakowane w skromne buteleczki, skrywają wyjątkowe zapachy, rzadko spotykane w Europie.

KREMY

Na kremy nie powinno się żałować pieniędzy, choć wcale nie muszą być najdroższe.

SWETER

Obowiązkowy w mojej walizce niezależnie od pory roku i miejsca, do którego jadę, ponieważ jestem zmarzluchem.

eprasa.pl 1b410a6e1a

RÓŻANIEC

Został wykonany dla mnie przez jednego kleryka. Bardzo lubię ten różaniec. Zawsze jest blisko mnie. Zabieram go także w podróże. Choć muszę przyznać, że lubię też modlić się na palcach, tak jak to robił mój ojciec na zesłaniu.

BUTY SPORTOWE

Dla podtrzymania formy staram się chodzić kilka kilometrów dziennie. Dystans 4 km jest idealny do odmówienia różańca i porozmyślania o różnych ważnych sprawach.

CHUSTY

Od kiedy moja siostra bliźniaczka zamieszkała w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, stałam się miłośniczką chust. Mam ich ogromną kolekcję i na wyjazdy zawsze zabieram kilka. W zależności od nastroju zakładam w konkretnej tonacji: gdy jestem smutna, to kolory jasne; z kolei gdy mam wesoły nastrój, wolę barwy stonowane.

SUKIENKA KONCERTOWA

Gdy występowałam z 2Tm2,3, ubierałam się bardziej casualowo. Ale ponieważ teraz występuję częściej solowo, to zaczęłam zakładać też wieczorowe suknie.

BUTY SCENICZNE

Do wieczorowych sukni pasują tylko buty na wysokim obcasie. Te są wyjątkowe, ponieważ kupiłam je w Mediolanie. Bardzo je lubię, ale one nie rewanżują się sympatią, bo bardzo piją mnie w palce. Dlatego przed występem nie zakładam ich do ostatniej chwili.

PŁYTY

Często zabieram po kilka płyt z moją muzyką. Obdarowuję nimi miłych ludzi spotkanych w podróży. W zeszłym roku na Węgrzech kilkanaście tysięcy rodzin miało możliwość otrzymania mojego albumu z kolędami trzech narodów, które zostały dodane do węgierskiego czasopisma „Képmás", a w Polsce dostali go prenumeratorzy tygodnika „Sieci".

NOTES

Nauczona doświadczeniem muszę mieć przy sobie notes z pięciolinią do zapisywania melodii, które przychodzą mi do głowy. To znacznie bardziej komfortowe niż nucenie do dyktafonu przy obcych podróżujących w przedziale wagonu czy na pokładzie samolotu.

OBRAZ

Jeśli jest taka możliwość, to z podróży przywożę obrazy. Ten przywiozłam z Jaffy w Izraelu. Kupiliśmy go razem z mężem od rosyjskiej malarki – prawnuczki dekabrysty Rylejewa.

MIKROFON

Ten model mikrofonu jest idealny dla barwy mojego głosu i podczas wyjazdów koncertowych jest ze mną nierozłączny.

ODSŁUCHY

Obowiązkowy atrybut każdego profesjonalnego muzyka. Dzięki takim słuchawkom lepiej słyszę siebie i wszystkich muzyków na scenie.

ALBUMY

To są owoce naszych wspólnych wyjazdów z Grzegorzem, który jeździ po świecie i zbiera materiały do swoich książek. Zilustrowane zdjęciami Janusza Rosikonia, stają się bestsellerami. „Świadkowie Tajemnicy" zostali przetłumaczeni na 10 języków, a tylko w USA mieli kilka wydań.

Wysłuchał i zapisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1b410a6e1a

OGNIEM NA WPROST

Jak będziemy fikać, to...

No i stało się. Parlament Europejski przegłosował zbiorowy ideologiczny miraż i staliśmy się „strefą wolności LGBT i coś tam". Porażający był wynik głosowania. Aż 492 europosłów było „za", 141 – „przeciw", a 46 wstrzymało się od głosu. Za były następujące frakcje: rzekomo chadecka Europejska Partia Ludowa, socjaliści, Odnowić Europę, Zieloni oraz Lewica. „Mamy to!" – wrzasnął uradowany Robert Biedroń, którego działalność polityczna sprowadza się do opowieści, jak współżyć z facetem, oraz malowania włosów na czerwono. „Mamy to!" – wrzasnął Bart Staszewski, którego z kolei działalność na niwie polityki europejskiej polega na przyczepianiu tablic przy nazwach miejscowości informujących o nieistniejących w rzeczywistości „strefach wolnych od LGBT". Widać wystarczyło. Powstaje pytanie, zasadnicze, do czego to zmierza? Idę o zakład, że niebawem wszystkie ustalenia będą szły w kierunku przekonania Europejczyków, że mechanizm warunkowości jest zgodny z traktatami, a także do tego, by pary jednopłciowe mogły adoptować dzieci. Jeśli ktoś nie jest w stanie w to uwierzyć, to Věra Jourová go przekona. A jak będziemy fikać, to zobaczymy mityczną pożyczkę Unii (57 mld euro) jak własne ucho bez lusterka.

Ale ten styl rozumowania, w którym polityka sprowadza się do pochwał seksu par jednopłciowych, prowadzi również do sytuacji, którą opisali dziennikarze telewizji ABC w Tasmanii. Jak relacjonuje dziennik „The Australian", otrzymali oni wprost od producenta instrukcję nakazującą im nieużywanie słowa „pedofil" w odniesieniu do mężczyzny oskarżonego o wykorzystywanie seksualne dzieci. Zarząd firmy podkreśla, że określenie takie może marginalizować osoby, które jednak nie ulegają pedofilskim skłonnościom, które mają. A poza tym określenie „pedofil" może zniechęcać osoby o takich skłonnościach do szukania pomocy. Reakcja zarządu stacji miała nastąpić po uwagach, jakie zostały zgłoszone po wyemitowaniu programu o przestępcy seksualnym i pracowniku szpitala dziecięcego Jimiem Griffinie. W 2020 r. popełnił on samobójstwo po tym, jak usłyszał zarzuty o wykorzystywaniu dzieci. Jednym słowem: Pedophile Lives Matter (Życie pedofila ma znaczenie).

Jakby ktoś miał wątpliwości, do czego zmierza Europa, to przypomnijmy, co powiedziała Evelyn Regner, austriacka eurodeputowana oraz szefowa komisji praw kobiet i równouprawnienia w Parlamencie Europejskim. „Prawa kobiet to prawa człowieka, a prawa człowieka stanowią część nowej procedury warunkowości budżetowej i pójdziemy dokładnie w tym kierunku". Wyrok polskiego Trybunału Konstytucyjnego, zdaniem Regner, łamie europejskie konwencje praw człowieka oraz unijne prawo. Członkowie komisji praw kobiet i równouprawnienia będą chcieli, aby Komisja Europejska zajęła się sprawą prawa aborcyjnego w Polsce. „Wprowadzony de facto zakaz aborcji w Polsce to złamanie międzynarodowego i unijnego prawa. Będziemy wykorzystywać presję finansową i nowy mechanizm praworządnościowy zapisany w budżecie UE na lata 2021–2027" – zagrzmiała austriacka polityk. Zastanawiające jest jednak to, że taka sprawa nie leży w kompetencjach Komisji. Ale do tego, że coś jest w Unii niezgodne z prawem i dalej procedowane, zdążyliśmy się już chyba przyzwyczaić.

Żeby było jeszcze śmieszniej, eurodeputowany Lewicy Robert Biedroń zaproponował na forum Parlamentu Europejskiego, by ewentualnie odebrane Polsce należne jej fundusze przekazać na tzw. wolne media. Swoją propozycję złożył w kontekście walki o demokrację i prawa mniejszości. A jakżeby inaczej. Po co owijać w bawełnę, panie Biedroń. Weź pan z Unii kilkaset milionów euro i załóż pan za to wydawnictwa popierające politykę LGBT i będzie wreszcie „równo i sprawiedliwie, słusznie i zbawiennie".

W USA, a konkretnie w Chicago, również króluje politpoprawny obłęd. The Chicago Monuments Project, organizacja zajmująca się pomnikami i związkami tych pomników z poprawnością polityczną, sugeruje rozbiórkę dwóch z nich. Są one autorstwa Chorwata Ivana Meštrovicia i przedstawiają Indian amerykańskich. Meštrović uważany jest za jednego z najważniejszych rzeźbiarzy na świecie pierwszej połowy XX w. W 1928 r. wykonał te rzeźby dla miasta Chicago. Przez krytyków sztuki zostały one uznane za doskonałe przedstawienie ludzkiej anatomii. Teraz jednak The Chicago Monuments Project, która jest ideologicznie tożsama z ruchem Black Lives Matter, uważa, że rzeźby przedstawiają Indian w „romantyczny i redukcjonistyczny sposób". I bądź tu mądry, Polaku.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1b410a6e1a

Także konie dopadł wirus

Marta Kaczyńska-Zielińska

Według Światowej Federacji Jeździeckiej w ostatnich tygodniach doświadczamy w Europie prawdopodobnie najpoważniejszej od dziesięcioleci epidemii herpeswirusa EHV-1. Został on wykryty u koni startujących w zawodach w hiszpańskiej Walencji, a następnie w Niemczech, Belgii, Francji i Szwecji. W Polsce znanych jest jak dotąd kilka przypadków wystąpienia objawów wskazujących na prawdopodobieństwo zakażenia przez wskazany patogen, ale nie ma informacji na temat potwierdzonych zachorowań. Z uwagi na niebezpieczeństwo groźnych powikłań, a nawet śmierci koni oraz z racji łatwego rozprzestrzeniania się infekcji większość właścicieli koni zachowuje szczególną ostrożność.

W związku z rozprzestrzeniającą się w wielu krajach chorobą koni w marcu odwołano wszystkie międzynarodowe zawody jeździeckie, a w ślad za tym także wiele imprez sportowych w Polsce. Główny lekarz weterynarii dr lek. wet. Bogdan Konopka zwrócił się z prośbą o rozważenie czasowego wstrzymania organizowania wszelkich imprez sportowych i hodowlanych z udziałem koni, tzn. targów, wystaw pokazów, zawodów jeździeckich, o ile jest to możliwe, do czasu ustąpienia zagrożenia. W apelu wskazano także, że pożądane jest powstrzymywanie się właścicieli od jakiegokolwiek przemieszczania koni, w tym potencjalnego mieszania i kontaktu pomiędzy przemieszczanymi zwierzętami mogącymi stanowić ewentualne źródło zakażenia.

Środowisko hippiczne rok po wprowadzeniu lockdownu spowodowanego przez COVID-19 musiało ponownie radykalnie ograniczyć swoje funkcjonowanie, tym razem z powodu groźnego szczepu wirusa atakującego zwierzęta. W tym miejscu warto przypomnieć, że na początku kwietnia 2020 r., a więc zaledwie niespełna trzy tygodnie po wprowadzeniu lockdownu, resort rolnictwa przekazał małym ośrodkom jeździeckim, a więc tym najbardziej dotkniętym zamrożeniem gospodarki, trzysta ton owsa na potrzeby żywienia koni.

Herpeswirusy są liczną grupą wirusów pasożytujących na kręgowcach. Wśród ludzi najpowszechniej znanym z tej rodziny jest wirus opryszczki, ospy wietrznej i choroby Epsteina-Barr. Herpeswirus koni typ 1 (EHV-1) należy do najpowszechniejszych drobnoustrojów chorobotwórczych występujących wśród tych zwierząt. Pierwotnie nazywano go wirusem zakaźnego ronienia klaczy, ale z racji coraz większej liczby organów, które atakuje, nie można go kojarzyć wyłącznie z patologią ciąży. W obrębie ognisk zakażeń znajdują się również układy oddechowy i nerwowy. Postać nerwowa choroby wywołanej przez patogen do niedawna stanowiła zdecydowaną mniejszość infekcji, ale tendencje w tym zakresie uległy zmianie, powodując poważne zagrożenie związane z brakiem skutecznego farmaceutyku i szczepionki, która eliminowałaby możliwość zachorowania. Rasa i płeć koni atakowanych przez wirus nie mają znaczenia. Najbardziej narażone są źrebięta w pierwszych miesiącach życia i osłabione dorosłe osobniki. Choroba może dotknąć zarówno pojedynczego konia, jak i rozprzestrzenić się na całe stado. Najcięższa postać choroby wywoływana przez patogen to zapalenie mózgu i rdzenia kręgowego prowadzące do niedokrwienia, a w konsekwencji do martwicy tkanki nerwowej mózgu lub rdzenia kręgowego. Objawami choroby są gorączka, depresja, niezborność ruchów, niedowład mięśni, porażenie kończyn miednicznych i paraliż. W związku z brakiem leku na chorobę wywołaną przez wirus EHV-1 prowadzi się terapię podtrzymującą.

Główną drogą rozprzestrzeniania się wirusa jest droga kropelkowa. Można go także przenieść na konia pośrednio poprzez zanieczyszczone wirusem ręce, wodę, paszę, sprzęt codziennego użytku, sprzęt jeździecki, środki transportu i poprzez użytkowanie pomieszczeń, w których przebywały zakażone konie. Herpeswirusy atakujące konie nie są groźne dla ludzi. W publikacjach naukowych stwierdzono jednak, że wirus EHV-1 posiada zdolność pokonywania bariery międzygatunkowej i może być groźny dla innych zwierząt.

Z głębokim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci mojej wieloletniej współpracowniczki

ŚP.

BOŻENY WALEWSKIEJ

Najszczersze wyrazy żalu i współczucia

Rodzinie i Bliskim

składa

Kosma Złotowski
Poseł do Parlamentu Europejskiego

5/0321/F

eprasa.pl 1b410a6e1a

Jestem głodna życia

Z Joanną Jędrzejczyk, mistrzynią w boksie i sztukach walki, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Jan Bogacz TVP

Twarda babka... tak pani o sobie myśli?

Joanna Jędrzejczyk: Jestem też wrażliwym człowiekiem i emocjonalną kobietą, ale twardo stąpam po ziemi. Mam zasady i mocne morale.

Co z umiejętności, siły i determinacji, które prezentowała pani jako zawodniczka sportów walki, przydaje się jurorce programu „Dance, Dance, Dance"?

Nie ma znaczenia, w jakiej karierze się wspinamy: medialnej, naukowej, sportowej, prawniczej czy tanecznej... Zawsze wymaga to planu, ogromnej wiary w siebie, dyscypliny i ciężkiej pracy.

Tego będzie pani szukać u uczestników programu?

Jak najbardziej – ile mają w sobie chęci zdobycia czegoś nowego. Sama wiem, że przez trudy można dojść do gwiazd. „Per aspera ad astra" to moje życiowe motto. Od dzieciaka. Bardzo dużo wymagam od siebie, ale też od innych. Nie wystarczy marzyć, chcieć, trzeba wykonać pierwszy krok, a potem kolejne.

Tanecznym krokiem weszła pani do show Dwójki?

Tanecznym nie do końca, chociaż jestem otwarta na różne wyzwania. Cały czas się rozwijam, doszkalam, uczę. Wiele czerpię z podróży, spotkań z różnymi kulturami, ale przede wszystkim z ludźmi. Jestem ich ciekawa. W planach mam rozpoczęcie kolejnych, czwartych już studiów. W przyszłości chcę być wspaniałym menedżerem. Otworzyłam też swoją fundację, wydałam książkę, będę grała w serialu (jakim, na razie nie mogę zdradzić)... Dużo tego jest. Lubię się sprawdzać w różnych dyscyplinach i dziedzinach. Jestem głodna życia.

Nowa specjalność policji – ślusarz

Zaprzyjaźniony z nami tygodnik „Peryskop Parlamentarny" („P.P.") wprowadził rubrykę krótkich wywiadów nazwaną „Bez tajemnic". Oto inauguracyjna rozmowa z senatorem Jackiem Burym.

P.P.: Szerszej opinii publicznej stał się pan znany, kiedy przeskoczył z Koalicji Obywatelskiej do Polski 2050.

J.B.: To nie do końca prawda. Zapomniał pan o prześladowaniach... W maju podczas demonstracji przedsiębiorców...

P.P.: Zaraz... to w maju był pan jeszcze przedsiębiorcą?

J.B.: Oczywiście, że nie. Ale jako były przedsiębiorca – wspierałem.

P.P.: Rozumiem. Stąd to prześladowanie. Tylko przykre czy też bolesne?

J.B.: W pełnym wymiarze – jedno i drugie. Zapytałem mundurowego, czemu jego koledzy na siłę wpychają mężczyznę do radiowozu? Nie zdążyłem skończyć, gdy ktoś podciął mi nogi i mnie wrzucono do tej suki.

P.P.: Jak to odciął? Boże! Ma pan protezy?

J.B.: Nie odciął, tylko podciął.

P.P.: Uspokoił mnie pan. Dziękuję. To dobry moment, by pomówić o pana inicjatywie. Podobno jest pan twórcą i szefem tajnego związku Wskakujących do Radiowozów.

Jerzy Jachowicz

J.B.: Potwierdzam. Z nieukrywaną dumą. Jest już nas grupka. I dalej prowadzimy nabór.

P.P.: Czy ideę związku zawartą w nazwie należy rozumieć dosłownie?

J.B.: To oczywiste. Zaczynałem z senatorem niezależnym Wadimem Tyszkiewiczem. Winien pan wiedzieć, że w każdej akcji musi być co najmniej dwójka. Obserwujący i maskujący oraz „Skoczek". Wkrótce dołączył Krzysztof Brejza. Ma mocne odbicie. Świetnym nabytkiem jest też Marcin Bosacki. Stosuje specjalną technikę. Odbicie z jednej nogi. Nie muszę dodawać, że lewej. Mamy też dwie posłanki – mogę zdradzić, że jedna z Torunia, druga z Gdańska. Na razie ćwiczymy. Kupiliśmy nyskę z demobilu. Sprawnie działają drzwi – to ważne.

P.P.: Gratuluję. Ale po co to wszystko?

J.B.: Chcemy dostarczyć światu dowodów na bestialstwo funkcjonariuszy polskiej policji. Ich sadyzm ujawnia się w pełni, kiedy usiłują przemocą wyrzucić nas z radiowozu na gołą ziemię. Bez względu na pogodę. Dlatego każdy „Skoczek" ma kajdanki – bez kluczyka – którymi błyskawicznie przykuwa się w radiowozie.

P.P.: Jakie z tego wyjście?

J.B.: Ślusarz.

eprasa.pl 1b410a6e1a

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

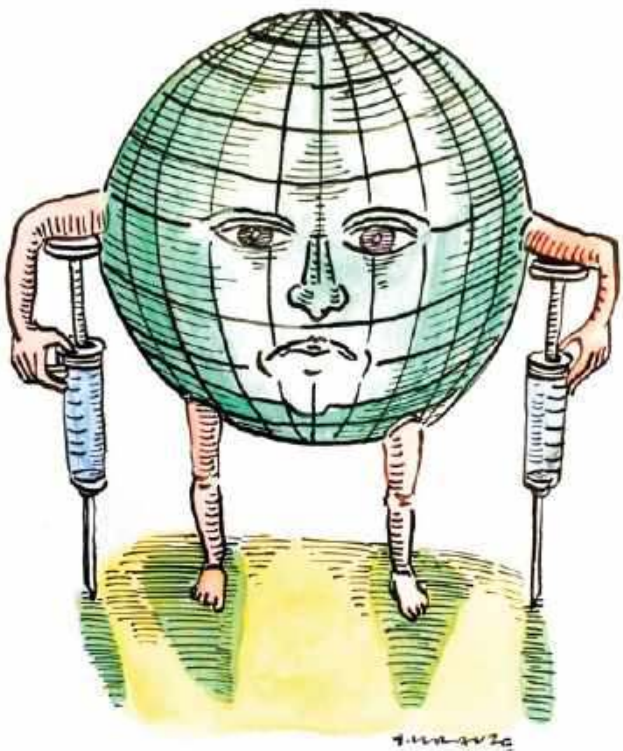

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: GRZEGORZ MAŁECKI DLA NBP, SHUTTERSTOCK x6

nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Proszę sobie wyobrazić, że w wyborach startują poniższe partie. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

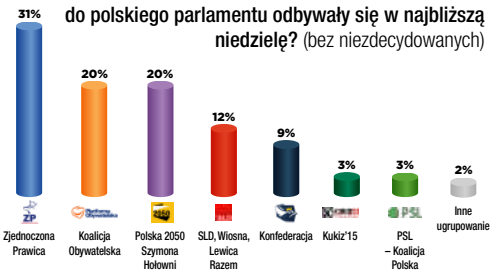

Czy powieść „W pustyni i w puszczy" Henryka Sienkiewicza powinna pozostać w kanonie lektur szkolnych w Polsce?

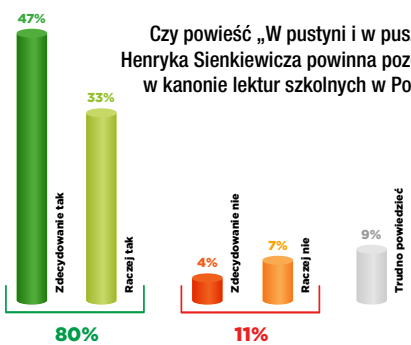

Jaki wpływ na dzieci i młodzież może mieć według Pani/Pana lektura powieści „W pustyni i w puszczy" Henryka Sienkiewicza?

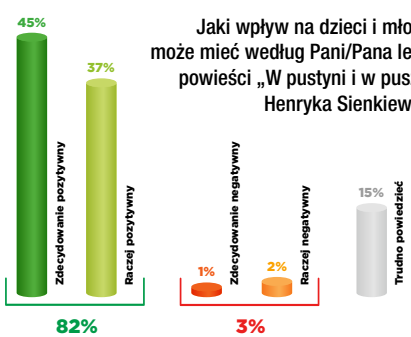

Jaka jest Pani/Pana ulubiona pora roku?

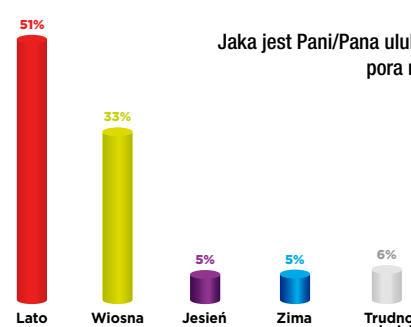

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1052.

Zakres czasowy badania 5–8 marca 2021 r.

eprasa.pl 1b410a6e1a

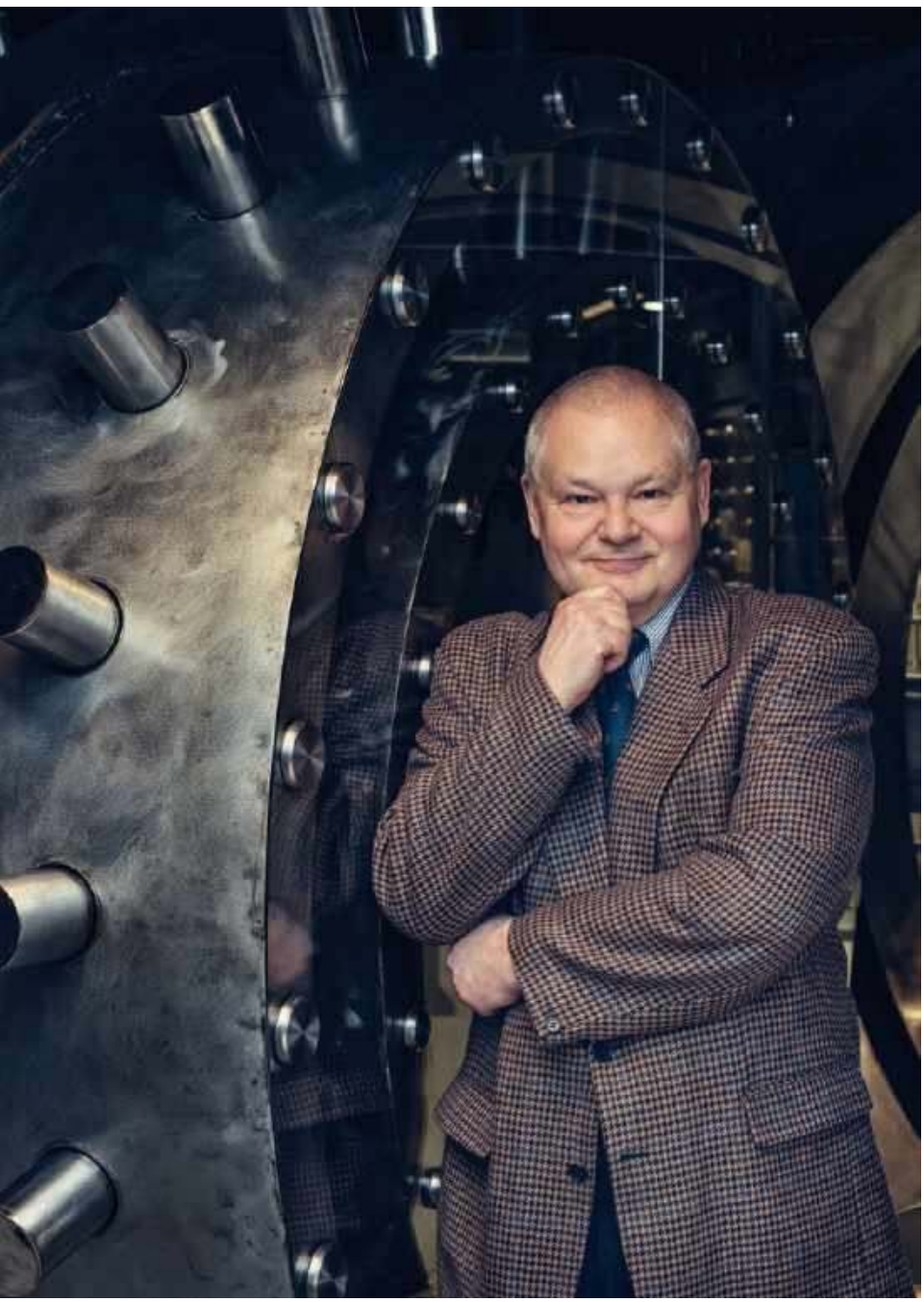

Dochodzimy do momentu, w którym będziemy musieli dokonywać wydatków liczonych w setkach miliardów dolarów, by utrzymać nasz dorobek, by nie dać się zepchnąć w dół

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z prof. Adamem Glapińskim, prezesem Narodowego Banku Polskiego

Polska staje się potęgą gospodarczą

Rok temu, kiedy zaczynała się ta paskudna epidemia, powiedział pan, iż „gotówki mamy nieprzebrane góry". Czy dziś pan to podtrzymuje?

Adam Glapiński: Oczywiście słowa „nieprzebrane" nie należy rozumieć dosłownie, bo chodzi o konkretne, przeliczone zasoby i co do złotówki wiemy, ile jej leży w naszych skarbcach. To był moment, w którym niektórzy zaczęli się bać o przyszłość, zaczęto wykupywać żywność, stanęły też kolejki do bankomatów. W czasach paniki to normalne zjawisko. Ludzie chcą mieć swoje pieniądze przy sobie i mają do tego prawo.

Powielono tamtą wypowiedź w innym kontekście: że NBP, w domyśle też rząd, ma nieprzebrane ilości pieniędzy.

Oczywiście nigdy nie mówiłem w tym kontekście o pieniądzach. Mówiłem o gotówce, którą ludzie wypłacali z kont w bankach, a którą NBP dostarcza bankom. Moim zadaniem jako prezesa NBP

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1b410a6e1a

było uspokojenie ludzi, że każdy chętny będzie mógł wyjąć swoje pieniądze z banku, że oszczędności są bezpieczne i pewne. I to się udało. Pamiętajmy, że krążyło wtedy mnóstwo plotek. Na dodatek corocznie z rynku znika po kilkaset bankomatów, co automatycznie w takich nerwowych momentach zwiększa kolejki. Wtedy pojawił się też dodatkowy problem, bo w związku z dużym popytem na gotówkę zaproponowaliśmy bankom, by przestawiły bankomaty na banknoty pięćsetzłotowe. Ale były niechętne. W żadnym momencie gotówki jednak nie zabrakło, dostarczaliśmy ją na bieżąco, choć problem pojawił się z dnia na dzień. Byliśmy na każdy możliwy kryzys dobrze przygotowani. Choć oczywiście nie przewidzieliśmy pandemii.

Teraz się mówi, że zaproponuje pan wydanie banknotu tysiączłotowego.

Mogę potwierdzić, że mamy takie plany. Właśnie po to, by każdy, kto chce trzymać gotówkę przy sobie, w sejfie lub skrytce bankowej, mógł to robić w sposób najbardziej wygodny – jak potwierdzają doświadczenia innych krajów, duże nominały też są pomocne.

Który król będzie na banknocie?

To jeszcze nie ten etap. Ze względu na ducha czasów będę proponował królową, kobietę. Były wielkie królowe w historii, Polacy zawsze kobiety szanowali, traktowali je często nawet bardziej podmiotowo niż w innych krajach i kulturach.

Konkretnie która?

To musiałaby być postać kojarząca się jednoznacznie pozytywnie.

Czyli królowa Jadwiga Andegaweńska, żona króla Władysława Jagiełły?

Trzeba się dobrze zastanowić. To wstępne plany, takiego banknotu dzisiaj nie ma. Gdy będzie, ogłosimy.

Gotówka nie zniknie z obiegu? W Szwecji obieg tradycyjny to obecnie zaledwie 1 proc. płatności, a kraj zmierza do pełnego wyeliminowania gotówki. W Polsce też pojawiają się głosy do tego zachęcające – bo szybko, bo łatwiej wykrywać nadużycia podatkowe, bo bezpiecznie. Pan jest tego zwolennikiem?

Nie. Na pewno są to transakcje szybsze, na pewno łatwiej można śledzić przepływy i ściągać podatki. Na pewno łatwiej tropić przestępczość. Ale czy bezpieczniej? Wyeliminowanie gotówki niesie ogromne niebezpieczeństwo nagłego wyłączenia całego krajowego systemu atakiem z zewnątrz, a musimy pamiętać, że wokół nas są całe armie cybernetyczne. Możliwa jest też jakaś awaria. Efektem byłby całkowity paraliż kraju. Dlatego utworzyłem w NBP departament cyberbezpieczeństwa, którego zadaniem jest przeciwdziałanie takim zagrożeniom. Nie jest to proste zadanie, ale je podjęliśmy.

Gdzie główna trudność?

Nie jest łatwo dziś o doświadczonych w tym obszarze informatyków, nie płacimy przecież najwięcej na rynku, ale skutecznie ich ściągamy. Chodzi też o ogromne koszty budowy odpowiedniej infrastruktury. Jak nie w tej kadencji, to w kolejnej zbudujemy system cyberbezpieczeństwa odpowiadający wymogom przyszłości. Musimy pamiętać, że za granicami są ogromne armie wyspecjalizowane w tego typu atakach.

Czyli gotówka zostaje?

Dopóki jestem prezesem NBP, dopóki pracuje obecna Rada Polityki Pieniężnej, tak. Powinna stanowić kilkadziesiąt procent tego, co jest na rynku. I nie jest to, jak niektórzy mówią, wynik jakiegoś zacofania, ale odwrotnie – dostrzegania bardzo współczesnych niebezpieczeństw. Tak samo robią Niemcy, nie likwidują gotówki. Jestem też pewien, że kraje, które całkowicie pójdą w kierunku obrotu bezgotówkowego, prędzej czy później się wycofają. No i tak zupełnie szczerze: gotówka to też wolność pewnej minimalnej sfery prywatności, wolność wyboru, a Polacy ją zawsze wysoko cenili.

Jaki jest obecnie stan finansów państwa, po roku epidemii?

Najkrócej mówiąc: bardzo dobry. Najlepszy w historii. Polska jest bardzo mało zadłużona, wewnętrznie i zewnętrznie. W żadnym stopniu wbrew temu, co się czasem wmawia, zadłużenie nie stanowi jakiegoś ryzyka.

W relacji do PKB?

W relacji do PKB dług publiczny nie przekracza 60 proc., a więc jest znacznie niższy niż w Europie Zachodniej czy Stanach Zjednoczonych, nie wspominając nawet o Japonii. Dlatego gdyby zaszła potrzeba zwiększania zadłużenia, mamy do tego przestrzeń. Choć na szczęście nie jest to konieczne. Polska prowadzi bardzo racjonalną, konserwatywną politykę finansową. Szybko rosną też nasze rezerwy walutowe, obecnie wynoszą prawie 135 mld euro.

Ale zadłużenie kraju w epidemii wzrosło, mówi się o 100 mld?

Wzrost zadłużenia w ubiegłym roku nastąpił na całym świecie, bo tego wymagały działania antykryzysowe. Przy rozwoju gospodarczym, jaki mamy, to zdarzenie bez większych konsekwencji. Większość krajów rozwiniętych ma znacznie wyższe długi publiczne niż Polska. My mamy nadal relatywnie niski dług publiczny.

Opozycja słyszy te dane i mówi: pachnie Gierkiem, wszystko na kredyt, propaganda sukcesu. Ludziom żyje się trudniej.

Opozycja zawsze wszystko rysuje w czarnych barwach. Obecna w totalnie czarnych. Zawsze są też pilne potrzeby, aspiracje, obszary, które trzeba doinwestować, jak służba zdrowia. Ona zresztą nigdzie na świecie nie spełnia oczekiwań, wszędzie się mówi, że za mało na nią wydajemy, nowe technologie są coraz droższe.

Zwłaszcza po epidemii, gdy znalazła się na pierwszej linii frontu.

Dokładnie. I słyszę, że rząd te potrzeby, te oczekiwania dostrzega, szykuje tu ofensywę. Zarzuty opozycji próbują bazować na krótkiej pamięci ludzi, na nadziei, że zapomną, iż po roku 2015, za rządów Zjednoczonej Prawicy, Polska i Polacy wykonali gigantyczny skok do przodu, jeśli chodzi o jakość życia, poziom zarobków, spadek bezrobocia, ubóstwa. To widać niemal w każdym obszarze. Nawet w epidemii płace wzrosły o ponad 5 proc. Od początku tego roku płaca minimalna wzrosła o ponad 7 proc.

Nie zjada tego inflacja? Ceny rzeczywiście rosną, opozycja się tego

eprasa.pl 1b410a6e1a

chwyta, dowodzi, że wzrost, o którym pan profesor mówi, jest zjadany przez podwyżki.

To nieprawda. Inflacja jest niska, wynosi dziś 2,7 proc. Jest zgodna z celem inflacyjnym NBP, wynoszącym 2,5 proc. z dopuszczalnymi wahaniami o 1 pkt proc. Taka inflacja jest korzystna dla rozwoju gospodarczego. Brak inflacji czy deflacja, szczególnie w czasach kryzysu, są dla gospodarki bardzo niebezpieczne.

Możliwe są stopy ujemne? Czyli konieczność dopłacania za trzymanie pieniędzy w banku?

Raczej nie dla klientów indywidualnych. I na razie w ogóle nie jest to potrzebne.

Czyli na razie żadnych zmian stóp procentowych nie będzie?

Szanse na taki ruch są obecnie bliskie zera. Ale gdyby pojawiło się ryzyko nadmiernej inflacji bądź deflacji – zareagujemy.

Nadganiamy dystans?

Bez wątpienia. Polska gospodarka jest dzisiaj jedną z najbardziej odpornych na kryzys, dynamicznych i prężnych w Europie, a może i na świecie. Z każdego kryzysu wychodzimy wzmocnieni, bez strat albo z małymi stratami, za każdym razem w efekcie zmniejszając dystans do często pokiereszowanych liderów. I przeskakujemy kolejne kraje, które w międzyczasie popadają w tarapaty, jak Portugalia, Grecja, niedługo Hiszpania. Kto by 20 lat temu pomyślał, że w ciągu mniej niż 10 lat możemy przeskoczyć potężne Włochy? Ale oczywiście to nie jest taka sama radość, jak byłaby 20 lat temu, bo przez ten czas tam się bardzo pogorszyło.

Gdzie pan widzi przyczyny tego, że gospodarka przechodzi przez epidemię w miarę bezpiecznie? Że nie rośnie bezrobocie? Że firmy nie padają? Oczywiście z wyjątkiem sektorów najbardziej dotkniętych kryzysem, jak gastronomia i hotelarstwo, gdzie straty są duże.

Przyczyn jest kilka. Pierwsza to ludzie, dynamizm Polaków, ich głód materialnego sukcesu po okresie historycznych turbulencji, komunizmu, potem anarchii, dzikiego kapitalizmu lat 90. Dziś Polacy mogą się spokojnie, bezpiecznie dorabiać i na to się rzucili, kosztem czasu wolnego, rodziny, dzietności. Polacy dziś pracują najciężej w świecie zachodniego kapitalizmu, obok południowych Koreańczyków. Te dwa kraje rosną też szybko gospodarczo, najszybciej rośnie zamożność rodzin. Wykazują to statystyki.

Tak będzie zawsze?

Oczywiście, że nie. Ten głód sukcesu zwykle mija po dwóch, trzech pokoleniach. W Japonii też tak było, ale minęło. Ale też musimy pamiętać, że bieżące zarobki to nie to samo co bogactwo. Japonia, Niemcy, Francja, Włochy i inne kraje obrastały w nie w czasie, gdy my gospodarczo tkwiliśmy w niewydolnym zgrzebnym komunizmie. Skutki tego będą jeszcze długo widoczne.

> Z każdego kryzysu wychodzimy wzmocnieni, bez strat albo z małymi stratami, w efekcie za każdym razem zmniejszając dystans do często pokiereszowanych liderów. I przeskakujemy kolejne kraje, które w międzyczasie popadają w tarapaty, jak Portugalia, Grecja, niedługo Hiszpania

Pozostałe przyczyny polskiego sukcesu?

Dobre wykształcenie większości Polaków. Jestem wykładowcą akademickim i wiem, że poziom oraz dyscyplina spadają. Ale patrząc ogólnie, na tle innych, to wciąż nasza wielka przewaga. To powoduje, że nasza praca jest efektywna. Kolejna przyczyna to struktura gospodarki. Brak specjalizacji, co dawniej często wskazywano jako naszą słabość. Dziś się okazuje, że to nasza siła i przewaga, bo nie jesteśmy od niczego uzależnieni. Jak jakaś dziedzina osłabnie, nadrabiamy w innych. Wreszcie duży rynek wewnętrzny i unijny, dobre położenie geograficzne, oczywiście z punktu widzenia ekonomicznego, bo z punktu widzenia utrzymania niepodległości jest odwrotnie. No i ostatnia, ale bardzo ważna przyczyna polskiego sukcesu – nasza własna waluta i dobra polityka pieniężna NBP.

A innowacyjność? Z tym podobno kiepsko.

Panowie, to mit. Jak moglibyśmy bić rekordy w eksporcie na ekstremalnie konkurencyjnych rynkach, gdyby polscy przedsiębiorcy nie byli innowacyjni? Przecież konkurujemy z gospodarkami bardzo zaawansowanymi, stopniowo tracąc przewagę niskich płac, podobnie jak tracimy przewagę demograficzną, bo społeczeństwo się starzeje, coraz mniej rodzi się dzieci. Z tym musimy się zmierzyć i nie jesteśmy bez szans. Na szczęście napływ pracowników z Ukrainy jest nieprzerwany, bo – choć życzę Ukrainie jak najlepiej i choć notuje sukcesy – kryzys tam trwa i jest głęboki.

Nie wykończą nas ceny prądu? Nie zabiją konkurencyjności?

To bardzo poważny problem i jest ryzyko, że narzucony przez Unię Europejską plan odchodzenia od emisji CO_2, skutkujący nakładaniem na nasze źródła energii ogromnych danin, zdusi nasz wzrost gospodarczy. Tym bardziej że deklarowanym finałem ma być całkowite wygaszenie elektrowni węglowych, na których dziś nasza gospodarka stoi. Władza państwowa i przedsiębiorcy muszą ten problem potraktować niezwykle serio.

Nie mogliśmy się temu przeciwstawić bardziej zdecydowanie?

Nie mnie o tym mówić, to kwestia siły państwa, skutecznej dyplomacji. Pewnie gdybyśmy dziś byli tak silni gospodarczo jak Niemcy, nigdy by to w Unii

eprasa.pl 1b410a6e1a

Fot. Andrzej Skwarczyński

nie przeszło. W mojej ocenie zielone źródła energii, niestabilne, zmienne, nie dojrzały jeszcze do tego, by w pełni wejść w miejsce węgla. Zastąpić go może tylko gaz, a on może pochodzić głównie z Rosji. Scenariusz nie jest więc dobry: konieczność zastąpienia węgla rosyjskim gazem wysyłanym nam z Niemiec. Uzależnienie. To z każdego punktu widzenia niedobry scenariusz.

Może dobrym wyjściem są elektrownie atomowe?

Ten rząd to robi, a ja ten pomysł popieram. Mamy podpisaną umowę ze Stanami Zjednoczonymi na budowę sześciu elektrowni jądrowych w ciągu 20 lat. W ten sposób kosztem kilkudziesięciu miliardów dolarów uzyskamy kilkadziesiąt procent energii, jakiej potrzebujemy. To dużo, ale wciąż za mało. Potrzebujemy więcej, jest miejsce dla innych partnerów. Już o tym mówiłem, ale niesłusznie obracano to w żart, a mówię serio, bo wierzę w siłę negocjacyjną Polski: jeżeli Unia bez względu na koszty chce mieć czyste powietrze napływające z Polski, to nic prostszego, jak poprosić ją, by zbudowała nam sześć elektrowni atomowych!

Jak pan patrzy na europejski fundusz odbudowy? To nie jest pułapka?

Jest skierowany głównie na zmianę energetyczną, a to nie wyczerpuje naszych potrzeb i interesów. Do tego ten nieszczęsny mechanizm finansowania. My wciąż musimy się skupiać przede wszystkim na budowie infrastruktury, drogach, kolejnictwie. Ale nie ma wyjścia. Jesteśmy w UE, tak Polacy zdecydowali. Musimy działać w ramach obowiązujących uwarunkowań. Na początek niech Amerykanie zbudują u nas sześć elektrowni atomowych.

A finansowanie?

Strona polska zapewni infrastrukturę finansową, przy pomocy też NBP, dla 51 proc. koniecznych funduszy, Amerykanie dla 49 proc. To oznacza obecność w Polsce tysięcy amerykańskich inżynierów, specjalistów, także amerykańskiego kontrwywiadu i wywiadu, amerykańskiej troski militarnej. Będzie więc to miało istotne, pozytywne znaczenie również dla naszego bezpieczeństwa. Nie oszukujmy się – skłonność USA do zainteresowania bezpieczeństwem Polski będzie większa.

Skoro już rozmawiamy o Europie, to co pan sądzi o propozycji umorzenia zadłużenia publicznego w Europejskim Banku Centralnym? Podpisało się pod tym stu ekonomistów, głosy popierające taki pomysł padają też w Polsce.

Przede wszystkim trudno o tym w ogóle mówić poważnie. To całkowicie bajkowe i nierealne lewicowe utopie. Oznaczałoby całkowity demontaż finansów na świecie, upadek wiarygodności państw, zachęcałoby do rozrzutności – bo skoro można nabrać długów i ich nie spłacać, to hulaj dusza, piekła nie ma. Wypowiedziałem się w tej sprawie tylko dlatego, że jeden z ekonomistów związanych z NBP do tego nawiązał. Trzeba było sprawę postawić jasno. Powtarzam: nie ma na to szans, byłoby to niezgodne z prawem europejskim, w ogóle nie warto się tym zajmować.

Takim gorącym tematem jest też kwestia kredytów we frankach. Osoby je spłacające i świat finansów oczekuje w napięciu na 25 marca – w tym dniu Sąd Najwyższy ma się wypowiedzieć, jak sądy powinny orzekać w tej sprawie. Niektórzy komentatorzy prognozują nawet rewolucję: uznanie wszystkich umów za nieważne, konieczność zwrócenia przez banki wpłaconych pieniędzy. Uważa pan, że to możliwe?

Wyrok zapadnie w pełnym składzie Izby Cywilnej, a sędziowie to doświadczeni, mądrzy, wykształceni ludzie. Ufam, że dostrzegają wszystkie aspekty tej sprawy, w tym szerszy kontekst, nie chcą wstrząsów na rynku, chaosu, być może nawet kryzysu. Nikt nie chce pogłębienia podziałów społecznych, poczucia niesprawiedliwości. A taki

eprasa.pl 1b410a6e1a

pewnie byłby efekt jakichś skrajnych rozstrzygnięć. Jak poczuliby się ludzie, którzy mieszkaniowe kredyty frankowe spłacili, często ogromnym wysiłkiem, gdyby innym darowano całkowicie wszelkie zobowiązania, a zostawiono kupione mieszkania? Albo ci, którzy spłacają kredyty w złotych?

Ale niektóre kredyty frankowe były skandaliczną niesprawiedliwością, wyzyskiem. Jak ktoś spłaca rzekomy kredyt przez 15 lat i ma do spłaty dużo więcej, niż wziął, to to nie jest kredyt, ale lichwa.

Dlatego wyrok w mojej ocenie powinien się skupić na sytuacjach, w których rzeczywiście mamy do czynienia z wyzyskiem. Przypomnę, że NBP jest w sprawę kredytów frankowych koncepcyjnie zaangażowany od początku. Ten problem był kiedyś dużo większy, rocznie ubywa około 7 proc. tych kredytów, one są dobrze spłacane. Banki komercyjne postanowiły czekać. Były postulaty, by wystąpiły z propozycją ugodowego ich przewalutowania, dostały w tym kierunku zachęty, ulgi, ale skala tego była niewielka. I teraz, w obliczu potencjalnego kryzysu, niektórzy proponują, żeby to państwo i bank centralny rozwiązały ten problem za banki. Czyli de facto wszyscy obywatele.

Pan jest przeciw?

Są przedstawiciele zarządów, którzy wzięli premię za rozbudowę – mimo ostrzeżeń – portfela kredytów frankowych, a teraz chcą wziąć premię za to, że ktoś inny za to zapłaci. Czy panom się to podoba?

Nie, ale problem jest realny dla tysięcy ludzi. Pojawia się propozycja ze strony Komisji Nadzoru Finansowego, by odpowiednia ustawa zakończyła ten problem, by przymusowo przewalutować kredyty, być może podstawiając bankom franka po niższym kursie. Podstawić miałby właśnie NBP. Bierze pan udział w tych pracach?

Sytuacja jest dziwna, bo z szefem KNF panem Jackiem Jastrzębskim znam się i lubię, często rozmawiamy. Ale nie w tej sprawie. Jak w dowcipie: „Nie pisze, nie dzwoni". O tych propozycjach dowiaduję się z mediów. Mówię o tym publicznie, ujawniając nieco kuchnię, ale sprawa jest za poważna, by kogoś zwodzić. Podkreślam: w tej sprawie w żadnych pracach NBP nie uczestniczył ani nie uczestniczy. Mieliśmy obserwatora w różnych naradach, ale zaczęto to traktować jako autoryzację tych prac, więc go wycofałem.

To jak to rozwiązać?

Doprowadzić do ugód bankowych, wtedy koszt wyniesie około 30 mld zł, co banki udźwigną. NBP wesprze tylko takie rozwiązanie, które obejmie całość problemu, a nie będzie ulżeniem jednemu czy drugiemu bankowi, które na to prą, gdyż mają największy problem, bo kupiły takie portfele. Proponowałbym też, by prezesi banków i ich zarządy dołożyły się, rezygnując z części bonusów. Podobnie właściciele.

> Mamy podpisaną umowę ze Stanami Zjednoczonymi na budowę sześciu elektrowni jądrowych w ciągu 20 lat. W ten sposób kosztem kilkudziesięciu miliardów dolarów uzyskamy kilkadziesiąt procent energii, jakiej potrzebujemy. To dużo, ale wciąż za mało

Jak pan ocenia stan systemu bankowego?

Mamy bardzo zdrowy system bankowy, nowoczesny, bezpieczny. Banki mają duże rezerwy, są dokapitalizowane. Po prawdzie zostały do tego zmuszone, ale liczy się efekt. Do tego jest w połowie polski, co zapewnia bezpieczeństwo i jest poziomem wystarczającym. O ile oczywiście przedstawiciele skarbu państwa pamiętają, po co są w zarządach, że muszą realizować interes spółek w ten sposób, by to nie kolidowało z interesem publicznym. Niektórzy o tym zapominają.

Uważa pan, że Pekao SA powinno wchłonąć Alior Bank?

Czy jest taka potrzeba? Rozumiem, że z punktu widzenia właściciela, czyli PZU, być może uprościłoby to zarządzanie, ale dla rynku mogłoby być niekorzystne, bo zmniejszyłoby różnorodność oferty.

Banki wystarczająco kredytują dziś przedsiębiorstwa?

Absolutnie tak. Problem jest inny – ogromny poziom środków, które zgromadziły firmy. Być może tam powędrowały częściowo pieniądze z tarcz antykryzysowych, firmy na razie nie są w stanie ich w pełni wykorzystać. To niekoniecznie musi być złe, celem tarcz była bowiem stabilizacja sytuacji firm i zapobieżenie masowym bankructwom. Ale warunek jest jeden: te pieniądze muszą zacząć pracować.

Te pieniądze to złoty. Czy NBP wpływa aktywnie na poziom kursu naszej narodowej waluty?

To dobry moment, by podkreślić raz jeszcze, że m.in. dzięki posiadaniu własnej waluty nasza polityka gospodarcza może być tak skuteczna. Dziś w interesie Polski jest, by w czasie pandemii złoty się nie umacniał, bo to ograniczałoby ożywienie gospodarcze. Wiem, że dla podróżujących po świecie, dla kupujących dobra importowane tańsze ceny dóbr importowanych byłyby korzystne, ale najważniejsze jest jednak utrzymanie miejsc pracy, dochodów i rozwój kraju.

Ale NBP wpływa na kurs?

Kurs jest płynny, jednak w sytuacjach tego wymagających możemy bezpośrednio na niego wpływać. Dlatego od połowy grudnia przeprowadziliśmy kilka znaczących interwencji na rynku walutowym, aby przeciwdziałać wzmocnieniu kursu, które mogłoby niepotrzebnie osłabić sytuację gospodarczą w czasie pandemii i oczekiwane ożywienie. I nie zawahamy się przed dalszym takim działaniem, gdyby była taka potrzeba.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Będzie pan kupował jeszcze złoto?

Tak. W tej chwili mamy 229 ton, z tego za mojej kadencji kupiono mniej więcej połowę. Sporo ściągnęliśmy do polskich skarbców. W ciągu kilku lat chcemy dokupić jeszcze co najmniej 100 ton i też trzymać je w Polsce. To ma znaczenie m.in. w postrzeganiu państwa, jego siły gospodarczej. A Polska już jest potęgą gospodarczą in statu nascendi, w trakcie powstawania. Polska budzi się ponownie do życia jako kraj wysoko rozwinięty. Tak jest już traktowana. W NBP czujemy to wyraźnie – na forach międzynarodowych traktowani jesteśmy jak państwo silne, rozwinięte, stabilne. Co oczywiście budzi różne konsekwencje. Oczekuje się już od nas, byśmy nie brali kredytów, ale ich udzielali. Nie wiem, czy panowie wiedzą, ale my pożyczamy Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu, proszą nas o zwiększenie wkładu w Banku Światowym. Za mojej kadencji nie poprosiliśmy o żaden kredyt.

Tak będzie dalej?

Wszystkie źródła naszej ekspansji nie są jeszcze zużyte. Nie ma żadnego powodu, byśmy się trwale nie rozwijali o 2–3 proc. szybciej niż państwa Zachodu. A jeśli szukamy zagrożeń, słabości, to powiem tak: nasza siła obronna, militarna. Ona jest dziś niewspółmiernie niska do potencjału gospodarczego, i to jest dostrzegane. Potrzebny jest dużo, dużo większy wysiłek, skokowe zwiększenie zakupów najlepszego światowego sprzętu. Nie mamy na to za dużo czasu – sytuacja na świecie się zaostrza, widać wzrost napięć, narastający konflikt gospodarczy między USA a Chinami, agresywną politykę Rosji.

Uważa pan, że zagrożenie zewnętrzne dla bezpieczeństwa Polski jest realne?

Jest duże, narastające z roku na rok. Widać to także gołym okiem. Tylko ktoś, kto nie czyta, nie ogląda niczego, może tego nie dostrzegać. O elemencie cyberbezpieczeństwa już wspomniałem. Silną armię trzeba mieć nie po to, by jej używać, ale właśnie po to, by jej nie użyć.

Większość opozycji nie chce silnej armii, ale też nie chce CBA, IPN, telewizji publicznej, silnego koncernu energetycznego, polskiej prasy, a nawet urzędów wojewódzkich i narodowej waluty. Co zwycięstwo tej opcji oznaczałoby dla kraju?

Jako ekonomista mogę powiedzieć, że to oznaczałoby stagnację gospodarczą Polski. Nie dogonimy Zachodu bez silnych państwowych instytucji. To obecnie istotna bariera wzrostu. Polska ma wielką szansę, by stać się potęgą. I to Zachód widzi, denerwuje niektórych, że nie chcemy być dostarczycielami taniej siły roboczej, że się rozpychamy. Na rynkach to jest główne źródło ataków na nasz kraj. Jesteśmy ogólnie w specyficznej sytuacji: nie mamy kryzysu gospodarczego, nawet w epidemii radzimy sobie lepiej niż inni. Ale dochodzimy do momentu, w którym będziemy musieli dokonywać wydatków liczonych w setkach miliardów dolarów, by utrzymać nasz dorobek, by nie dać się zepchnąć w dół.

> Czytelnikom tygodnika „Sieci", który bardzo cenię, powiem to wprost: zamierzam się ubiegać o kolejną kadencję na stanowisku prezesa NBP

Patrząc na obecny rozwój Polski, zwłaszcza skuteczną zmianę polityki społecznej po 2015 r., wielu Polaków się zastanawia, czy nie można było prowadzić spraw inaczej także po roku 1989? Czy cena nie była za wysoka?

Cena była straszna. Wtedy zdecydowano się na najbrutalniejszą z możliwych terapię wstrząsową pod osłoną Solidarności, która weszła w to bez z świadomości i zapłaciła za to straszliwą cenę. I później Kwaśniewski i SLD mogli rządzić dwie kadencje. I robili, co chcieli. Miliony wyemigrowały. Zmiany musiały być, musiały być też bolesne, ale mogły być wprowadzane ewolucyjnie. W tej formie, w jakiej nam je zaserwowano, bardzo przeorały dużą część Polaków, pozbawiły wielu ludzi nadziei, optymizmu, zdusiły ich entuzjazm i zabrały im poczucie sprawiedliwości. Cały ten model oznaczał przecież, że nomenklatura esbecko-komunistyczna pozostaje przy władzy, w bankach, w zakładach pracy. I zaczyna się natychmiast uwłaszczać, zamieniać pozycję polityczną na własność, zwykle od razu mieszając się z kapitałem zagranicznym. To w późniejszych latach skutecznie uczyniło ich pozycję nienaruszalną.

Można było inaczej?

Przykłady Czech, Węgier pokazują, że inna droga była możliwa. Na początku lat 90. większość niezależnych polskich ekonomistów była przeciwna temu, co się działo, ale ich głos był w ogóle niesłyszalny. Siły społeczeństwa demokratycznego były niezwykłe nikłe. Nawet tak prostej sprawy jak uwłaszczenie ludzi w zakresie ich mieszkań nie można było przeprowadzić. Pamiętajmy, że Amerykanie popierali ludzi z najnowszej elity władzy komunistycznej, ich znali, to oni jeździli na stypendia za PRL. Z nami też rozmawiali, mnie jako ekonomistę zapraszano regularnie, ale opierali się na tych, którzy realnie rządzili. Zachód zawsze opiera się na tych, którzy realnie rządzą. To przecież logiczne.

Wymknęło się panu w tej rozmowie, że ma pan plany na drugą kadencję. Czyli będzie pan o nią walczył?

Tak, czytelnikom tygodnika „Sieci", który bardzo cenię, powiem to wprost: zamierzam się ubiegać o kolejną kadencję na stanowisku prezesa NBP. Nie wypada nam się chwalić, chociaż uważam, że czasu nie zmarnowaliśmy, że Polacy mogli na NBP w tym czasie liczyć. Podkreślę więc teraz, że dwie kadencje to naturalny okres w instytucjach, które wymagają pewnej kontynuacji, gdzie rozpędzenie pewnych działań wymaga czasu. Przeprowadziliśmy gospodarkę obronną ręką przez okres pandemicznej próby – mam nadzieję kontynuować nasze prace na rzecz Polski i Polaków w kolejnych latach.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Lempart jak Kijowski

Ogólnopolski Strajk Kobiet powtarza wszystkie błędy KOD i niczego się nie uczy, dlatego kończy się znacznie szybciej i bardziej spektakularnie

STANISŁAW JANECKI

Protest, w którym 8 marca br. uczestniczyło w centrum Warszawy niewiele ponad 100 osób, był dotychczas największą tragedią ruchu mającego zmienić w Polsce władzę, a wraz z nią wszystko inne. Po 22 października 2020 r. (od orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji) Ogólnopolski Strajk Kobiet miał wreszcie być głównym podmiotem i narzędziem wielkiej rewolucji. Miał być spełnieniem marzeń i planów snutych od blisko pięciu lat. 12 października 2016 r. Marek Beylin, publicysta „Gazety Wyborczej", w swego rodzaju manifeście ruchu rewolucyjnego pisał: „Dziś stawić czoła PiS mogą najlepiej silne, zorganizowane i solidarne ze sobą ruchy społeczne, wspierane, też wspólnie, przez opozycję parlamentarną. (...) Wszystkie te ruchy sprzeciwu powinny ściśle ze sobą współpracować, by wzajemnie się wzmacniać. (...) Ośmieli [to] też wielu Polaków do protestów. I będzie paraliżować PiS. (...) A jeśli takie współdziałanie wzbogacimy o szeroką pracę u podstaw (...), a także o koncepcje Polski po PiS, sprawiedliwszej dla wszystkich, przyciągniemy także część wyborców partii rządzącej".

Pięć lat temu głównym podmiotem i narzędziem wielkiej rewolucji miał być Komitet Obrony Demokracji oraz jego lider Mateusz Kijowski. Wtedy miało się stworzyć to właściwe „okno Overtona" (od nazwiska Josepha Overtona),

Fot. Andrzej Wiktor, Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 1b410a6e1a

czyli miało dojść do zmiany tego, co wcześniej było przez większość społeczeństwa nieakceptowane. Tak, żeby to, co zabronione i uważane za radykalne, stało się akceptowalne, uznawane za rozsądne, potem popularne, a na końcu legalne. Tamto „okno Overtona" było otwarte przez około dwa lata i zamknęło się gdzieś jesienią 2017 r. Nowe otworzyło się pod koniec października 2020 r. I wiele wskazuje na to, że zamyka się po zaledwie pół roku. Ogólnopolski Strajk Kobiet i Marta Lempart mieli nie powtórzyć błędów Komitetu Obrony Demokracji i Mateusza Kijowskiego. Ale stało się najgorsze, czego rewolucjoniści i „komentariat" (kibice rewolucji) chcieli uniknąć. OSK stał się KOD, a Lempart – Kijowskim. I to w gorszych wersjach.

ZOSTANIE PARĘ HASEŁ I BŁYSKAWIC

Na początku lutego 2021 r. w „Kulturze Liberalnej" ukazało się wielkie ostrzeżenie przed niepożądaną ewolucją OSK. Jakub Bodziony i Filip Rudnik stwierdzając, że zło upodobnienia się OSK do KOD już się dokonało, chcieli ostrzec głównych graczy i odwrócić historyczny trend. Warto poznać ich argumenty, bo to życzliwy OSK i rewolucji „komentariat". I nawet ci życzliwi upadek zauważyli już podczas manifestacji ulicznych 29 stycznia br. Dostrzegli „z jednej strony – gniew, wściekłość na rządzących, z drugiej strony – rozczarowanie, brak sensu i celu". Strajk Kobiet, który „miał stanowić odzwierciedlenie wrażliwości najmłodszych dorosłych – dwudziesto- i trzydziestolatków" po zaledwie pół roku „zakiwał się". Oto „najpierw był sukces – chwilowy krok w tył rządzących". OSK „zagrzewał do protestu i uruchomił proces liberalizacji języka dotyczącego aborcji", nawet w Platformie Obywatelskiej. Ale potem „OSK rozszerzył zakres działalności, przekształcając agendę w czysto antyrządową. Slogan »wypie...alać« skierowany – jak wydawało się na początku – do wszystkich, którzy pchają się w najbardziej intymną sferę osobistego życia, został odniesiony wprost do obozu rządzącego". Innymi słowy OSK wszedł w buty totalnej opozycji.

A potem było już tylko gorzej: „Dla wielu osób wspierających strajk było szokujące, jak struktury ruchu – parę dni po opublikowaniu orzeczenia TK w sprawie aborcji! – zarzuciły uliczny protest na rzecz wspierania Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Był to sygnał, że kwestia prawa dotyczącego aborcji nie jest zasadnicza. Dla OSK istotniejsze było to, żeby podpiąć się pod inicjatywę, która od kilku lat jest jednym z wrogów obecnej władzy, a zatem nadaje się symbolicznie na bycie antypis. Była to jednak próba łączenia ognia z wodą. WOŚP uosabia to, co w Polsce po 1989 »fajne« – ale OSK dąży do tego, aby zakwestionować istniejący porządek". OSK wdepnął w antypis, choć hasła typu „wypie...alać" „nie były przecież wymierzone tylko w PiS. Celem protestów była ta część elit politycznych, która rości sobie prawo do ustalania ram życia ludzi młodszych od siebie. 30 lat po upadku komuny". Sprowadzenie rewolucji do antypisu to był cios we własne plecy.

Gdy w grudniu 2020 r. liderka Strajku Kobiet Marta Lempart spotkała się z Donaldem Tuskiem, kolejny sztylet został wbity w plecy ciała rewolucji. Wszak „Tuska trudno uznać za »twarz rewolucji«, wychodzi więc na to, że w rozumieniu OSK politycy wspierają kobiety tak długo, jak nie lubią PiS". Jakby mało było złego, powołano Radę Konsultacyjną z 14 podgrupami, które „zajmują się szeregiem tematów społecznych, gospodarczych i politycznych". I nagle się okazało, że „w pierwszym projekcie postulowanych zmian zabrakło legalnej aborcji. Można było odnieść wrażenie, że OSK zajmuje się wszystkim, oprócz postulatu, który stał u jego podstaw". To jawna zdrada. W dodatku „na korzyść organizacji nie działają głoszone przez liderki hasła, które często okazywały się równie radykalne, co niemądre i puste". Jakie to „niemądre i puste hasła"? To „różnego rodzaju ultimatum, jakie OSK stawia PiS, żądając dymisji rządu, co było jeszcze zrozumiałe w początkowej fazie protestu, ale ogółem brzmiało niepoważnie". Albo porównywanie protestów w Polsce do sytuacji na Białorusi, co „dla osób posiadających chociażby minimalną świadomość na temat sytuacji za naszą wschodnią granicą jest nieakceptowalne". Z rewolucji zniknęła rewolucja, a hasło „idziemy po was" wzbudza „chyba tylko uśmiech politowania wśród polityków PiS". A już „skandaliczna akcja, podczas której OSK groziło lekarzom, którzy będą stosować się do opublikowanego orzeczenia TK", to „dzielenie ludzi" nijak się mające do „budowania ogólnopolskiej rewolucji".

Równie straszne ma być to, że liderki rewolucji stały się dla niej obciążeniem. Tak jak wcześniej Mateusz Kijowski dla KOD. Oto Marta Lempart nazywa posłankę Lewicy Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk „śliczną i podłą kłamczuchą". A „jej sposób na życie" kwalifikuje jako „ku...estwo, kłamstwo i kradzież cudzych pomysłów". A jeszcze są te „transfobiczne i przemocowe zachowania Suchanow, o czym informował między innymi kolektyw Stop Bzdurom". W efekcie „medialne twarze OSK stają się dla organizacji (...) kompromitacją, która kładzie się cieniem na całym ruchu". Jak ma nie gasnąć rewolucyjny duch, gdy zamiast „realnej pomocy w zakresie odpowiedniego korzystania ze swoich praw reprodukcyjnych" młode kobiety otrzymują zaproszenie do „uczestnictwa w kolejnym pochodzie na dom Jarosława Kaczyńskiego". I choć, jak stwierdził prof. Rafał Matyja, podczas protestów „została wykrzyczana nowa tożsamość pokoleniowa", mogąca być „doświadczeniem formacyjnym", to wszystko zostało już prawie do cna zmarnowane. OSK mnoży struktury, ale nie pojawiły się konkretne propozycje legislacyjne. Nie „wyrosły nowe działaczki i nowi działacze". A gdy OSK mówi, że kobiety „nie są zmęczone", „ulica je bardzo męczy", co spowoduje, że „energia społeczna się wypali". I zostanie „parę haseł i błyskawic namalowanych na murach polskich miast".

WIĘCEJ BOLSZEWIZMU

Zanim KOD i Mateusz Kijowski znaleźli się w miejscu, w którym są obecnie OSK i Marta Lempart, mieli znacznie więcej sukcesów, w tym międzynarodowych. Wielkim osiągnięciem KOD i Kijowskiego było zmuszenie PO i jej

eprasa.pl 1b410a6e1a

ówczesnego szefa Grzegorza Schetyny do sfinansowania zorganizowanej 7 maja 2016 r. największej z dotychczasowych manifestacji opozycji w Warszawie. Mówiono nawet o 240 tys. uczestników, choć faktycznie było ich znacznie mniej (maksymalnie 100 tys.). Podobnie było z Marszem Wolności 6 maja 2017 r. Kijowski nie mówił politykom „wypie... alać", tylko zmuszał do uczestnictwa w protestach na własnych warunkach, a w ten sposób wzmacniał swoją pozycję. I politycy opozycyjnych partii tańczyli, jak im Kijowski zagrał. Dlatego był przyjmowany na europejskich salonach i kreowany nawet na nowego Lecha Wałęsę. Nieporównanie bardziej demokratyczne niż w wypadku OSK były też struktury KOD oraz procedury wyborcze. One były nawet anarchicznie demokratyczne. Całkiem serio i powszechnie w 2017 r. dyskutowano, kto ma wybierać władze KOD wszelkich szczebli, skoro proces rekrutacji członków do organizacji trwał i ktoś powinien mieć stosowną legitymację, najlepiej demokratyczną, żeby ich weryfikować, czyli powinien najpierw zostać wybrany. I problemem było to, że w pełni demokratyczne wybory miały się dopiero odbyć, więc powstało demokratyczne błędne koło.

Takich dylematów nie ma OSK, gdyż tam demokracja jest wyłącznie fasadowa. Mateusza Kijowskiego stać było na to, by wieczorem 16 grudnia 2016 r. (w czasie puczu) pod Sejmem nawoływać do zakończenia protestu z powodu jego nieskuteczności. Okazał się wtedy rozsądniejszy i bardziej trzeźwo myślący niż partyjni liderzy opozycji. Marty Lempart nie byłoby na to stać, tym bardziej że rozsądkiem się nie kieruje. Bez porównania bardziej transparentne niż w wypadku OSK były też finanse KOD, co sprawiło, że na tym przejechał się sam lider, mimo swojej pozycji i zewnętrznego wsparcia. Marty Lempart i Klementyny Suchanow nic nie jest w stanie skompromitować.

OSK wyczerpuje swoją energię znacznie szybciej niż KOD, gdyż ma mizerne wsparcie intelektualne. A KOD jednak mógł liczyć na wielu znanych intelektualistów. Nieograniczających się do wychwalania pod niebiosa prymitywnego i wulgarnego języka, jak to w wypadku KOD czynili profesorowie Inga Iwasiów, Ewa Graczyk czy Przemysław Czapliński. Swój potencjał intelektualny i metapolityczny liderki OSK Marta Lempart i Klementyna Suchanow zaprezentowały 23 listopada 2020 r. w tekście „Dymisja rządu i co dalej?" (w „Gazecie Wyborczej"). A dalej ma być „tymczasowy rząd techniczny pod kontrolą obywatelską, nie partyjną. Rząd ekspercki, z bardzo ograniczonymi możliwościami i konkretnie określonymi zadaniami wyprowadzenia nas z bagna. Pandemia, ochrona zdrowia, gwarancje praw człowieka, prawa kobiet i LGBT, praca, edukacja, przedsiębiorczość, sądownictwo, policja, prokuratura". Tyle to może wymyślić przeciętny gimnazjalista i przy tym mniej byłby skłonny do „odlotu". Takim „odlotem" była przecież zapowiedź, że „my zrobimy wszystko, żeby tak było, żebyśmy sobie same i sami wybrali ministry i ministrów mających nasze poparcie". Tak nie działa demokracja, tylko bolszewizm. I bolszewicy też argumentowali, że „czas wkroczyć wreszcie w XXI wiek. (...) Dość skostniałej XIX-wiecznej hierarchii i łaski rządzących, dość XX-wiecznych politycznych projektów marketingowych i łagodnie uśmiechniętych panów ogłaszających się wodzami rewolucji". KOD aż tak bolszewicki nie był, pewnie dlatego w kryzys popadł znacznie później niż OSK. Tym bardziej że konflikty wewnątrz OSK rozsadzające organizację zaczęły się już po dwóch miesiącach, podczas gdy w KOD po około dwóch latach. Po pół roku pojawiają się w OSK oskarżenia o finansową nieprzejrzystość i dyktaturę liderek, co w KOD pojawiło się po półtora roku. Marta Lempart w OSK rządzi niczym Kim Dzong Un w Korei Północnej, z własnym biurem politycznym (zaledwie kilkuosobowym). Organizacje wspierające OSK są traktowane jak paprotka na parapecie – czasem ich przedstawicieli zaprasza się na konferencje prasowe, ale nie mają nic do gadania, gdy chodzi o decyzje. Wiele kobiet aktywnych w OSK zastanawia się, czy wszystko, co robi organizacja, poza pierwszymi protestami po 22 października 2020 r., nie służy tylko wprowadzeniu Lempart i Suchanow do parlamentu.

> Konflikty wewnątrz OSK zaczęły się już po dwóch miesiącach, podczas gdy w KOD po około dwóch latach. Po pół roku pojawiają się w OSK oskarżenia o finansową nieprzejrzystość i dyktaturę liderek, co w KOD pojawiło się po półtora roku

Strategia rewolucji w wersji KOD wydaje się znacznie lepiej zakorzeniona historycznie niż w wypadku OSK. Została zresztą sformułowana już około 1850 r., a potem przedefiniowana około roku 1930. W tej koncepcji jest wszystko jedno, kto niesie sztandar walki (przede wszystkim klasowej), byleby występował w słusznej sprawie. A wówczas dopuszczalne, a nawet pożądane jest wspieranie „postępowych", choć „klasowo obcych formacji", jeśli wymaga tego doraźna taktyka i ostateczny cel. Po raz pierwszy tę strategię sformułował Karol Marks, a w XX w. uwspółcześnił ją Lew Trocki koncepcją permanentnej rewolucji. Pod koniec XX w. ta strategia ewoluowała jeszcze w pismach i wystąpieniach takich ludzi jak trockista Tony Cliff. A całkiem współcześnie jej zwolennikiem i odnowicielem jest np. profesor socjologii z uniwersytetu w Glasgow – Neil Davidson. W wersji OSK chodzi o „wypi... lenie" wszystkiego, co było, czyli czysty bolszewizm. Także dlatego OSK upada znacznie szybciej niż KOD i z większym hukiem.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Bunt dziadersów

Platforma Obywatelska i jej elektorat przeżywają kryzys wieku średniego. Nie są już młodzi ani przebojowi, ale ciągle chcieliby za takich uchodzić. Jednak w oczach kolejnego pokolenia są tylko dziadersami, siwiejącymi dziećmi PRL, którzy w obawie przed marginalizacją próbują zatrzymać uciekający czas i podłączyć się pod nowe mody

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Opublikowane na początku lutego wyniki badań CBOS na temat poglądów politycznych Polaków zostały przyjęte przez sporą część opozycyjnych mediów – tak zwykle nieufnych wobec „reżimowego" ośrodka badawczego – z dużą radością. Okazało się bowiem, że po raz pierwszy od blisko 20 lat wśród młodego pokolenia zaczęły przeważać poglądy lewicowe – zadeklarowało je 30 proc. osób w wieku 18–24 lat. Co charakterystyczne, ta zmiana postaw nastąpiła w bardzo krótkim czasie, bo jeszcze rok temu zwolenników lewicy było w tej grupie wiekowej dwukrotnie mniej. Oczywiście można to interpretować jako wyraz nieufności wobec obozu rządzącego, na co spory wpływ miała m.in. ostatnia awantura wokół prawa do aborcji i towarzyszące jej manifestacje, w których chętnie brała udział młodzież. Jest to jednak tylko część prawdy. Drugi wniosek z badań CBOS jest bowiem znacznie mniej optymistyczny dla głównych sił opozycyjnych. Okazuje się bowiem, że wzrost liczby osób deklarujących poglądy lewicowe nie odbywa się kosztem prawicy (której notowania po krótkim spadku znów rosną, choć w wolniejszym tempie), lecz partii centrowych, co w naszym polskim przypadku oznacza po prostu Platformę Obywatelską wraz z przyległościami w rodzaju PSL.

Krótko mówiąc, dzieci lemingów się radykalizują i odrzucają polityczne wybory swoich rodziców. W ten sposób Platforma staje się partią jednego, niemłodego już pokolenia. I widać to w sondażach. Spadki są powolne, choć konsekwentne. Oczywiście za część tych spadków odpowiada wyrastający na alternatywę dla PO Szymon Hołownia, ale – powiedzmy sobie szczerze – jego sukces byłby mniejszy, gdyby Platformie udało się utrzymać atrakcyjność wśród antypisowskich wyborców. Tymczasem PO jest dziś nudna i zupełnie pozbawiona polotu, a ten stan najlepiej ilustruje jej obecny przewodniczący Borys Budka, człowiek bezbarwny i wtopiony w tło.

ZAWSZE Z WIATREM

Utrata wyborców, zwłaszcza młodych, to poważny problem dla partii, która – tak jak PO – nadal chciałaby odgrywać poważną rolę w polskiej polityce. Jednak Platforma jest już od dawna partią wykastrowaną intelektualnie, która nie potrafi narzucać własnej agendy. Jedyne, na co ją stać, to podkupywanie pomysłów politycznej konkurencji i imitowanie panujących mód. W tym zresztą kryje się cała tajemnica słynnego zwrotu Platformy na lewo. Gdy liberalny mainstream na Zachodzie mocniej szarpnął cuglami w lewo, to PO natychmiast podążyła w tym samym kierunku. Równie dobrze mogłaby jednak pójść na prawo, gdyby akurat wiatr zawiał w przeciwną stronę. Chodzi jej bowiem tylko o utrzymanie się w głównym nurcie. I w gruncie rzeczy wszystko jej jedno, dokąd ten nurt ją poniesie.

Nic więc dziwnego, że na lewicy Platforma nie ma żadnego autorytetu. Zbyt mocno zalatuje bowiem od niej koniunkturalizmem. Podobnie myślą młodzi, zradykalizowani antypisowcy. Oni w przeciwieństwie do swoich ciągle głosujących na PO rodziców wcale nie podzielają marzenia Agnieszki Holland o tym, aby znowu było tak jak dawniej. Przeciwnie, chcą nie tylko zmiany władzy, ale również rewolucji kulturowej i obyczajowej.

Oczywiście PO to dostrzega i stara się gonić za uciekającym jej młodym wyborcą. Stąd biorą się rozpaczliwe próby podłączania się pod postulaty obyczajowej lewicy i wsparcie dla tzw. Strajku Kobiet. Jednak gdy nie najmłodsi już ludzie zaczynają udawać luzaków, którzy domagają się seksu bez żadnych zobowiązań, klną jak szewc i – tak jak niedawno Paweł Rabiej na Instagramie – pokazują innym fucka, to zaczyna to wyglądać żałośnie. Niestety, infantylny styl wypromowany przez Jurka Owsiaka i Kubę Wojewódzkiego (nieprzypadkowo obaj używają imion w zdrobniałej wersji) zaczyna być coraz bardziej powszechny. Takich podtatusiałych „młodzieńców",

eprasa.pl 1b410a6e1a

podobnie jak niepogodzone ze swoją metryką panie, nazywa się ostatnio – bardzo trafnie – dziadersami. Tyle że – wbrew przekonaniu dziadersów – ich styl nie przemawia do młodych. Jest zbyt nieautentyczny.

KRYZYS WIEKU ŚREDNIEGO

Dziadersi są atrakcyjni jedynie dla innych dziadersów. Czy widział kto młodego człowieka, który zachwycałby się Kubą Wojewódzkim? Śmiał się z jego czerstwych dowcipów? Telewizyjny emeryt w zwisających porciętach może się wydawać „buntownikiem" jedynie dla innych podobnych mu dziadersów, którym ciągle się jawi, że są w awangardzie społeczeństwa. Że jak zaklną lub wbiją polską flagę w psią kupę, to od tej ich „kontestacji" cały świat się zatrzęsie.

Dziaders to po prostu leming, czyli „młody i wykształcony z wielkiego ośrodka" wyborca PO. Udało mu się skończyć studia i zamieszkać w dużym mieście – tyle że było to 20 lat temu. Teraz ma już dorastające dzieci, pozycję w korporacji oraz spłacone mieszkanie. I zaczyna zdradzać silne objawy kryzysu wieku średniego.

Przesadnie dba o swój wygląd i sylwetkę, ubiera się młodzieżowo i jeździ wypasionym autem. Ogląda TVN, czyta (jeśli w ogóle coś czyta) „Newsweeka" i niedawno odkrył istnienie Olgi Tokarczuk, którą oczywiście też się zachwyca. Zimą wyjeżdża na narty, a latem do Grecji, Egiptu lub Barcelony. Nienawidzi polskiego zaścianka i ma z tego powodu ogromne kompleksy, zwłaszcza za granicą. Aby się od nich wyzwolić, stara się być bardzo postępowy, walczy z Kościołem i z PiS, popiera LGBT (zwykle tylko deklaratywnie – aż tak nowoczesny nie jest), martwi go ocieplenie klimatu i smog (ale z samochodu nie wysiądzie za żadne skarby świata) oraz oczywiście wywiesza w oknie plakat z piorunem. Jeżeli jest kobietą – uważa, że nienarodzone dziecko jest częścią jego ciała, więc może zrobić z nim, co zechce, jeżeli jest mężczyzną – solidaryzuje się z kobietami (z wyjątkiem własnej żony). Wychowuje dzieci postępowo, ale domaga się od nich najwyższych not na świadectwie, bo uważa, że są one miarą wiedzy i biletem wstępu do świata elit. Tyle że jego dorastające dzieci mają zazwyczaj inne plany i wolą się „samorealizować", najlepiej na jego koszt.

KRINDŻOWY TUSK

Niedoścignionym wzorem dla dziadersa pozostaje Donald Tusk. W sygnowanym jego nazwiskiem dzienniku zatytułowanym „Szczerze", który można kupić na przecenie w wielu księgarniach, zawarta jest bodaj cała esencja dziaderstwa. Tusk przedstawia się tu jako polityk najwyższego formatu, a zarazem znawca sztuki, najlepszego wina oraz sympa-

tyczny, wiecznie młody luzak. Ten groteskowy, pretensjonalny obraz, którym Tusk mógłby zapewne uwieść wszystkie pensjonarki, przywodzi nieco na myśl lekcje „stylu", które dla podobnego odbiorcy prowadziła onegdaj Jolanta Kwaśniewska. Mamy bowiem do czynienia z „naukami" skierowanymi do zakompleksionych ignorantów i ignorantek, którym bardzo zależy na tym, aby uchodzić za nowoczesnych światowców i którzy ekscytują się Tuskową erudycją rodem z Wikipedii, niczym odkryciem życia na Marsie.

To właśnie pod takiego wyborcę ustawiał się Rafał Trzaskowski, który – jak pamiętamy – mówił coś po francusku, co dla jego elektoratu uchodziło za dowód wręcz kosmicznych kompetencji i znak przynależności do światowej elity. Zresztą Trzaskowski też jest dziadersem (bo każdy idol dziadersów jest dziadersem), o czym świadczy choćby słynna scena z warszawskiej imprezy, na której prezydent stolicy – jak na 50-letniego luzaka przystało – domagał się od didżejki lepszej „muzy".

Problem w tym, że to, co dla dziadersa jest nowoczesne, światowe, elitarne i młodzieżowe, nie musi być takie dla jego dziecka. W młodzieżowym slangu popularne jest dzisiaj słowo „krindż". Oznacza ono coś bardzo żenującego. I oto Tusk, Trzaskowski są po prostu dla młodszego pokolenia krindżowi. Nie zaimponują młodzieży znajomością obcego języka, bo młodzi uważają tę umiejętność za oczywistą. Nie zrobią na młodych wrażenia ich podróże, bo sami jeżdżą więcej niż ich rodzice.

Jednak największym krindżem jest dla młodych pozerstwo. Udawanie kogoś, kim się nie jest. A udawanie młodego luzaka przez sztywnego polityka w mocno dojrzałym wieku jest już fałszem ostentacyjnym. I z pewnością nie buduje autorytetu ani wiarygodności. Nic więc dziwnego, że młodzi, choć często lewicowi i antypisowscy, wcale nie garną się do mainstreamowej opozycji reprezentowanej przez PO.

BEZ KOKIETERII

Lewica, choć w rzeczywistości nie mniej mainstreamowa, ma tę zaletę w oczach wielu młodych ludzi, że w większości tworzą ją – przynajmniej z pozoru – ludzie spoza świecznika. I spoza głównego pola bitwy rozgrywanej między PO a PiS. Podobną cechę co lewica ma również Konfederacja, która próbuje podbierać młodzież – tyle że z prawej strony.

> Dziaders to po prostu leming, czyli „młody i wykształcony z wielkiego ośrodka" wyborca PO. Udało mu się skończyć studia i zamieszkać w dużym mieście – tyle że było to 20 lat temu

Bitwa między PiS a PO trwa już – przypomnijmy – 16 lat, co oznacza, że dla sporej części młodzieży jest to jedyna znana jej rzeczywistość polityczna. Jednak młodzi, w odróżnieniu od swoich rodziców, niekoniecznie chcą być kibicami w tym niekończącym się spektaklu. Traci na tym nie tylko PiS, lecz również PO.

Okazuje się bowiem, że krzykliwy antypisizm Platformy zaczął uderzać w nią rykoszetem. Wielu młodych ludzi – niezależnie od swoich poglądów – uważa go bowiem za stylizację, grę, cynicznie podgrzewaną emocję, która służy tylko temu, aby na tej fali powrócić do władzy i dawnych przywilejów. Zwłaszcza że PO nie ma żadnych własnych propozycji. A zatem znowu poza i oszustwo.

Oczywiście dotyczy to nie tylko polityków. Z taką samą rezerwą traktowane są wszystkie osoby publiczne, które zachowują się w podobny sposób: od dziennikarzy począwszy, na aktorach i muzykach skończywszy. To tylko dziadersom mogło się zdawać, że umieszczenie jakiejkolwiek piosenki na Liście Przebojów Trójki wywoła rewolucję w Polsce. Czy ktokolwiek z młodych ludzi słucha Trójki? Czy w ogóle ktokolwiek z nich słucha radia? Jestem przekonany, że większość nie wie nawet, kim jest Kazik Staszewski, starszy pan, którego antypisowska piosenka została jakiś czas temu zdjęta z anteny Trójki. Tak samo jak nikogo – poza dziadersami – nie poruszają płomienne wezwania do boju wygłaszane od lat przez Tomasza Lisa i podobnych mu publicystów.

Nie oznacza to, rzecz jasna, że każdy starszy pan jest z automatu odrzucany przez młodych. Parę miesięcy temu pisałem na tych łamach o fenomenie Jerzego Urbana i Janusza Korwin-Mikkego. Obaj cieszą się dużą popularnością wśród młodzieży, przede wszystkim dlatego, że zdołali wyrobić sobie u niej opinię być może nieco stukniętych, ale za to ekscentrycznych, a przez to zabawnych staruszków. Nie są traktowani śmiertelnie poważnie, ale mimo to skutecznie przemycają młodzieży swoje poglądy. I robią to za pośrednictwem internetu, który jest dziś głównym źródłem informacji dla młodego pokolenia. Przy czym trzeba umieć korzystać z jego narzędzi, a to dość trudna sztuka, o czym można się było przekonać, gdy prezydent Andrzej Duda próbował w maju zeszłego roku kokietować młodzież, rapując w ramach tzw. Hot16Challenge. Raczej bez oczekiwanego skutku.

Rządząca prawica, która ma o tyle gorzej od konkurentów, że uchodzi wśród młodych za formację mainstreamową, a zatem szczególnie uprzywilejowaną (i także z tego powodu odrzucaną), musi bardzo uważać, aby nie wpaść w pułapkę dziaderstwa, która zaczęła właśnie pogrążać Platformę. Nie należy kokietować młodzieży ani zgrywać „gości na luzie". Trzeba – jakkolwiek banalnie by to zabrzmiało – zachowywać się poważnie i autentycznie. Młodzi to docenią. Niekoniecznie poprą, ale przynajmniej docenią. Nie warto robić z siebie idiotów.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Lewicowa działaczka, asystentka posła Razem Macieja Koniecznego Urszula Kuczyńska znalazła się w ogniu krytyki ze strony bliskich jej środowisk politycznych i ideologicznych, gdy ośmieliła się publicznie wyznać, że uwiera ją zastępowanie słowa „kobieta" słowami „osoba z macicą". W odpowiedzi usłyszała, że jest transfobką, a używając języka wykluczającego, promuje go. Historia ta pokazuje, że i w Polsce genderowa rewolucja zaczyna już pożerać własne dzieci

Urszula Kuczyńska

Awantura na lewicy. Poszło o słowo „kobieta"

EDYTA HOŁDYŃSKA

Kuczyńska naraziła się lewicowym radykałom, gdy w wywiadzie, jakiego udzieliła „Wysokim Obcasom", oświadczyła, że ma wątpliwości, czy zamiana „kobiet" na „osoby z macicami" to postawa lewicowa. „Zostałam nazwana »cisiarą«, czyli kobietą o tożsamości kobiety, i porównana do Episkopatu, inceli i islamistów. Cis oznacza tutaj zgodność płci odczuwanej z płcią przypisaną przy urodzeniu, przeciwieństwo trans. Mam prawie 100 prywatnych wiadomości na Messengerze, w których ludzie używają obelżywych określeń" – relacjonowała w rozmowie.

Głównym tematem awantury okazały się „przestrzenie płciowe", czyli np. publiczne toalety. I przestrzeganie przed wpuszczaniem do nich transkobiet, bo może się skończyć molestowaniem i przemocą seksualną lub jakąkolwiek inną wobec ciskobiet. Wyznawczynie tzw. terfizmu, czyli radykalne feministki wykluczające osoby transpłciowe, uznały, że otwieranie toalet i szatni osobom trans w dalszej kolejności pozbawiłoby sensu istnienie wszystkich ośrodków pomocy kobietom, do których teraz będą wpuszczani ich oprawcy, czyli mężczyźni w sukienkach, infiltrujący żeńskie oazy bezpieczeństwa.

Kuczyńska tłumaczy, że niepokoją ją po prostu zmiany językowe. Z wykształcenia jest lingwistką. Na lewicę przywiódł ją feminizm. Zaczęło się od poparcia dla „czarnych protestów" właśnie. Kuczyńska dla „Wysokich Obcasów": „Feminizm i równouprawnienie płci są naturalną lewicową postawą. Także w sensie językowym. Jednak coś zaczęło mnie uwierać. Jak się jest sinolożką, to się widzi, jak propaganda tworzy językiem nową rzeczywistość, a język przestaje rzeczywistość opisywać. Dopóki takie kłótnie będą utożsamiane z lewicą, trudno będzie przekonać milczącą większość, że tematy skoncentrowane wokół rozrodczości i seksu nie są główną rzeczą, którą się ta strona zajmuje. Mam wątpliwości, czy dążenie do zamieniania »kobiet« na »osoby z macicami« albo »osoby menstruujące« to postawa lewicowa".

Dlaczego nie podoba jej się sformułowanie „osoby z macicami"? Bo wymazuje kobiety z walki o ich prawa. „Dzisiaj podmiotowość kobiet mogłaby się ponownie narodzić, ale przychodzą osoby z drugiej strony i kwestionują kategorię kobiecości w ogóle. Ich zdaniem jest wykluczająca, a nie włączająca. Gdy kobiety spycha się z ławki obywatelskiej, prawnoczłowieczej i politycznej, przychodzą osoby, które mówią: »Posuńcie się«. Tyle że nie ma się gdzie przesuwać" – tłumaczy Kuczyńska.

Fot. Mateusz Grochocki/East News

eprasa.pl 1b410a6e1a

OBURZENI, ROZGORYCZENI

Ale dla młodzieżówki Partii Razem taka argumentacja to zdrada wartości, o które walczą. „Jako organizacja stanowczo odcinamy się od transfobicznych wypowiedzi i działań Urszuli Kuczyńskiej. Wyrażamy zaniepokojenie sytuacją narosłą wobec tej sprawy. Liczymy na szybkie i zdecydowane działania struktur partyjnych. Jednocześnie chcemy wyrazić solidarność z wszystkimi osobami trans oraz non-binary. Zapowiadamy również stworzenie wewnętrznych, wyspecjalizowanych mechanizmów i przeprowadzenie szkoleń antydyskryminacyjnych celem uniknięcia takich sytuacji w naszych strukturach" – napisali młodzi działacze w specjalnym oświadczeniu.

Zawrzało też w internecie, gdzie pojawiły się komentarze pełne wulgaryzmów, oburzenia, rozczarowania, rozgoryczenia. Ale też żalu: „Niezależnie, co zrobi teraz Partia Razem, to już nie będzie tak samo. Osoby nie cis już nie będą się czuły tak samo z głosowaniem na osoby, które powiedziały już słowa, których cofnąć się nie da. I to jest ostatni nasz głos w tej dyskusji. Podpisano Ani, osoba niebinarna". Socjaliści LGBT wołali: „Transkobiety to kobiety! Prawa osób trans to prawa człowieka. Zwalczajmy transfobię. Solidarność naszą bronią". Były też stanowcze deklaracje: „I kur...a legitnie w tym momencie wolę PiS, Razem tylko udaje sojusznika" – napisał Queer_alice. Ewa Dryjańska napisała, że nie jest zawiedziona, bo swoje rozczarowanie przeżyła już półtora roku temu. Była wtedy w szoku, że można tak traktować potencjalnych wyborców. Potwierdziła to była członkini Razem Anna Staniorowska.

OBRONA KUCZYŃSKIEJ

Sytuację próbował opanować Adrian Zandberg, który Kuczyńską wziął w obronę. „Skoro mili ludzie podsyłają mi screen z niezwykle wartościowych fanpejdży, z których z pewnym zaskoczeniem dowiaduję się, że »pierdolony Adrian Zandberg jest jebanym transfobem«, wypada chyba parę słów napisać. First things first: wydaje mi się, że nie jestem" – napisał Zandberg. W internetowym oświadczeniu tłumaczył: „Przeczytałem inkryminowany artykuł Uli Kuczyńskiej w WO i nie widzę tam siania nienawiści wobec osób transseksualnych. A zarzut, że ktoś sieje nienawiść, to jest bardzo poważny zarzut. Moim zdaniem jest niestety na lewicy duża lekkość w rzucaniu bardzo ostrych słów. Wiadomo dlaczego: można tak łatwo zbić punkty. Niestety, jest, także w partii, skłonność, żeby zamiast ze sobą rozmawiać, to się przeciwko sobie organizować. Dla lewicy ten mechanizm nie raz już okazywał się niszczący. Z perspektywy członka, który przez te parę lat trochę podobnych sytuacji widział, trochę smutno patrzeć, jak to się raz za razem powtarza. Bo sprawy i osoby zmieniają się jak w kalejdoskopie, ale mechanizm pozostaje zaskakująco niezmienny".

Publiczne wypowiedzi Kuczyńskiej jako mieszczące się w pełni w dopuszczalnych ramach debaty publicznej uznał także jej pracodawca, poseł Maciej Konieczny. Nie znalazł w nich przykładów dyskryminacji lub przemocy, które wymagałyby stanowczej reakcji. „Mój głęboki sprzeciw budzi atmosfera linczu i kampania nienawiści prowadzona przeciwko Uli w sieci – zaznaczył. – Samo połączenie w sobie różniących się od siebie tematów osób trans oraz prostytucji pokazuje, że mamy do czynienia z brutalną kampanią polityczną mającą na celu siłowe przeforsowania w Partii Razem określonych postaw i poglądów. W szaty dyskryminacji i działań przemocowych ubierana jest tutaj nie tylko dyskusja o użyciu i granicach kategorii kobiecości, ale także poparcie dla nordyckiego modelu regulacji pracy seksualnej. To niedopuszczalna próba kneblowania poglądów. Nie ma i nie będzie na nią mojej zgody" – oświadczył Konieczny.

NA SZKOLENIE – MARSZ!

Nie ma jednorodnego elektoratu lewicy – mówią politolodzy. I to rodzi dużo więcej problemów.

Zwolennik Wiosny czy Razem głosował w 2019 r. na wspólną listę Lewicy z różnych powodów. Oczywiście starsi i bardziej konserwatywni lewicowi wyborcy mogą traktować ostatni spór wokół transfobii jako obcy, jednak dla części młodszych wyborców to arcyważny temat.

– Oczywiście rodzi się pytanie, czy ta tematyka zdominuje przekaz lewicy, jej agendę polityczną, co może być w pewnym sensie niebezpieczne. Obecna pandemia, dyskusja wokół ochrony zdrowia, problemy gospodarcze to naturalne tematy dla socjaldemokracji, których nie powinien jej przysłonić ostatni spór o osoby transseksualne – uważa dr Bartosz Rydliński, politolog z Uniwersytetu im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Ten niechętny skostniałym układom rodem z PRL i jego spadkobiercom, czyli SLD, elektorat do obrońców Kuczyńskiej zwraca się tak: „Panie Adrianie, Panie Macieju, mieliście dotrzeć do grup, których SLD nie dociera, przekonać młodych, a teraz to oni nienawidzą was bardziej niż Leszka Millera, a przypominam, że on brał udział w torturowaniu ludzi. Naprawdę nie wiem, czy możemy startować nomen omen Razem". Kacper Stołowski z Razem uznał, że partii po prostu zabrakło wyczucia.

Jak reagują władze partii? Przepraszają osoby trans, niebinarne, queer, społeczność LGBT, która działa w Razem i z Razem sympatyzuje. „Zrobimy wszystko, by uniknąć takich sytuacji, bo zależy nam na przyszłości: bezpiecznej i solidarnej, którą chcemy budować wspólnie. Prosimy was o mandat zaufania na przyszłość" – czytamy w komunikacie. Sprawą ma się zająć partyjny sąd koleżeński. Jest też deklaracja o organizacji warsztatów antydyskryminacyjnych dla wszystkich osób w partii.

– Trudno dzisiaj powiedzieć, że lewica walczy o tolerancję, raczej stara się narzucić społeczeństwom w państwach kręgu euroatlantyckiego konstruktywizm społeczny, mocno osadzony w marksizmie oraz w rozumowaniu w kategoriach postprawdy, czyli niejednokrotnie negowania wiedzy o człowieku i społeczeństwie – mówi tygodnikowi „Sieci" prof. Waldemar Paruch, politolog. I prognozuje: – Lewica obyczajowa, która chce zdominować myślenie lewicowe w Polsce kosztem nurtu postkomunistycznego, kompletnie nie ma wyczucia potrzeb społecznych, zwłaszcza osób wykluczonych i zmarginalizowanych przez procesy gospodarcze zorientowane na globalizację, ograniczanie kosztów i maksymalizację zysków. Nowa lewica (o rodowodzie typu Wiosna) stara się narzucić jako priorytetowe „fanatyzm" ekologiczny i gender, co jest nie do przyjęcia dla starego establishmentu SLD. Taki radykalizm też blokuje szanse wyborcze lewicy na poziomie maksymalnie 10 proc. – podsumowuje prof. Paruch.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Jestem zwolennikiem monogamii

Nie zgadzam się z pani diagnozą, że lewica chce niszczenia społecznych instytucji. Dla mnie małżeństwa homoseksualne to rozsądny, konserwatywny postulat. To nie jest atak na rodzinę, a poszerzenie naszych wyobrażeń o tym, czym jest rodzina

Z dr. hab. Maciejem Gdulą, posłem klubu Nowej Lewicy, rozmawia Dorota Łosiewicz

Wypowiedział pan wojnę „W pustyni i w puszczy". Co pana tak uwiera w książce Sienkiewicza?

Maciej Gdula: To książka pełna twardych rasistowskich poglądów. Reprezentant wszystkich czarnych, Kali, jest leniwy, strachliwy, zabobonny, okrutny. A postać Stasia jest tak skonstruowana, by przekonać czytelnika, że czarni potrzebują białych na przewodników, bo inaczej ich życie będzie smutne, krótkie i pełne przemocy.

Książka pełna jest jednak pięknych postaw, godnych naśladowania, choćby troskliwość Stasia wobec Nel. Poza tym dzięki lekturom poznajemy też świat, którego już nie ma.

Nawet postawy, o których pani mówi, są podporządkowane uzasadnieniu dominacji białych w Afryce. Można czytać książkę, abstrahując od rasizmu, ale wówczas młody czytelnik wyciąga naukę, by nie zwracać uwagi na rasizm, tolerować go. W takiej sytuacji książka uczy postawy przymykania oczu. Należałoby więc przesunąć książkę do lektur nieobowiązkowych lub czytać ją krytycznie, znacznie później. A relacja Stasia i Nel to osobny problem. Piękna historia, jak starszy chłopiec opiekuje się dziewczynką, lecz jednocześnie jest tam mnóstwo treści pokazujących stereotyp kobiety mało aktywnej, nie-

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 1b410a6e1a

samodzielnej i zdanej na męską opiekę. Moja 11-letnia córka była Nel wręcz zirytowana. Pytała, dlaczego ona sama nic nie zrobi, tylko czeka na Stasia. Taka „lebioda".

Lewica wciąż walczy o prawa kobiet i równouprawnienie?

Oczywiście. Jesteśmy na pierwszej linii od dziesiątek lat.

Dlaczego więc lewicowa rewolucja odrzuca słowo „kobieta", a woli „osoba z macicą". Na głowę działaczki lewicy Urszuli Kuczyńskiej, która udzieliła wywiadu „Wysokim Obcasom", mówiąc, że uwiera ją, iż słowo „kobieta" jest zastępowane określeniem „osoba z macicą", posypały się gromy. Młodzieżówka lewicy oskarżyła Kuczyńską o transfobię.

Można spojrzeć na tę sprawę jako na kwestię zastępowania starych pojęć przez nowe i kwestię nowego języka, ale moim zdaniem tu chodzi o coś innego. Chodzi o rozszerzenie katalogu osób, które są uwzględniane w rozmaitych projektach emancypacyjnych. Kluczowe jest to, że na lewicy nie może być miejsca na dyskryminację osób trans. Rodzi się pytanie, czy warunkiem wspierania jednej grupy jest spychanie innej na margines i czy wolność jest podzielna? Czy więcej wolności dla kobiet wyklucza wolność osób trans?

Obawiam się, że niektóre lewicowe postulaty, jeśli wcielić je w życie, ograniczą wolność i równość kobiet. Jeśli włączymy do kategorii żeńskiej sportowców, którzy identyfikują się jako kobiety, choć natura dała im męskie atrybuty, wówczas ograniczamy szanse kobiet w sporcie.

To jest sprawa do dyskusji i może budzić kontrowersje. Jeśli chodzi o osoby trans, to powinniśmy ich najpierw wysłuchać. Często nie znamy ich historii. W każdym działaniu nakierowanym na ograniczenie dyskryminacji trzeba wysłuchać grupy dyskryminowanej. Trzeba być sojusznikiem osób dyskryminowanych i zastanawiać się, na jakiej zasadzie włączać takie osoby do życia społecznego. Widzę problem sprawiedliwości, o którym pani mówi. Jeśli ktoś subiektywnie czuje się kobietą, to jednak fizycznie ma inne warunki i istnieje obiektywna dysproporcja w możliwościach sportowych. Przy czym trzeba pamiętać, że to ma istotne znaczenie głównie w sporcie zawodowym. Jednym z rozwiązań, o których się dyskutuje, jest badanie testosteronu u kobiet trans – jego niski poziom byłby warunkiem dopuszczania do zawodów. Generalnie powinniśmy się starać pogodzić inkluzję i poczucie sprawiedliwości.

Postulaty włączania, niedyskryminacji osób trans dotyczą także szatni, toalet i rodzą groźbę nadużyć. W szatni, w której będzie się przebierała pana córka, może się pojawić chłopak, który identyfikuje się (lub tak twierdzi) jako kobieta. Czy taka sytuacja nie zrodzi dyskomfortu dla pana córki lub innych kobiet, które chciałyby się przebrać w przyjaznych warunkach?

Trzeba brać pod uwagę, że unikanie dyskryminacji będzie budziło dyskomfort, napięcie, lęk.

Dodajmy: większości.

Z czasem uznamy jednak, że to nie jest wielki problem. Rodzi się pytanie o organizację toalet: powinny być rozdzielne czy koedukacyjne?

No właśnie. „Daily Mail" opisywał sytuację, że wiele dziewczynek ze szkół w Wielkiej Brytanii, w których wprowadzono koedukacyjne toalety, odmawia korzystania z nich. Zamiast tego starają się nie pić niczego w trakcie godzin lekcyjnych lub wytrzymać do ostatniego dzwonka, co może mieć bardzo negatywny wpływ na ich zdrowie.

Ten problem można rozwiązać technicznie. W wielu instytucjach istnieją toalety koedukacyjne i nikomu to nie przeszkadza. Strefa umywalek jest wspólna, sfera intymna bardziej rozdzielona. Trzeba zauważyć, że osoby trans w męskiej toalecie byłyby zwyczajnie narażone na przemoc i szykany. To nie jest dla nich łatwa sytuacja.

Ale w innej sytuacji narażamy na dyskomfort, a może i przemoc kobiety, dziewczynki. Mężczyźni też mogą odczuwać dyskomfort, korzystając z tej samej toalety, co koleżanka z pokoju. Całą większość narażamy na dyskomfort.

I tu znów trzeba się wsłuchać w głos osób trans i zapytać, jak one to widzą. Te osoby chcą się czuć akceptowane, ale nie chcą raczej wywoływać paniki, wchodząc do toalety. Jeszcze 20 lat temu nie było toalet dla osób niepełnosprawnych, a dziś to jest standard. Być może należałoby pomyśleć o tego typu rozwiązaniu? Trzeba wypracować nowe zasady współżycia. Kwestia toalet to nie powód, by spychać osoby trans do podziemia. Mówi pani, że dziewczynki muszą wstrzymywać mocz, ale czy to znaczy, że osoby trans też mają wstrzymywać mocz i korzystać z toalety tylko w domu, bowiem ani w męskiej, ani w damskiej taka osoba nie jest u siebie?

Ale w ten sposób powstaje nam dyktatura mniejszości.

Najważniejsze, żeby słuchać osób trans i zrozumieć, co one w tej sprawie mają do powiedzenia.

Zastanawiam się, czy pan czasem nie dyskryminuje osób trans, sprowadzając je wyłącznie do seksualności. Powstał taki poradnik, jak mówić i pisać w sposób niedyskryminujący, empatyczny i wolny od stereotypów o kobietach, osobach LGBT, uchodźcach, Żydach i Afrykanach. Publikację patronatem merytorycznym objęła Rada Języka Polskiego. I tam jest mowa, żeby uważać na określenie „mniejszość seksualna" z uwagi na to, że pomija cechy inne niż seksualność.

Wiele procesów emancypacyjnych wymaga od nas dobrej woli i wrażliwości. Ja też się uczę emancypacji, a najlepsza droga to zrozumienie i wysłuchanie doświadczenia innych ludzi. Sprowadzanie wszystkiego do seksualności jest zawężające, bo przecież osoby trans mogą być różnej orientacji, np. kobiety trans mogą być lesbijkami. Jest wiele osób, które nie czują identyfikacji z żadną płcią. Wydaje nam się to dziwne, bo rodzi pytanie: kim one są? Ale istnieje takie doświadczenie.

Pewnie ma pan rację. Z pewnością są tacy ludzie. Ale czy to znaczy, że całe społeczeństwo ma udawać, że płeć nie istnieje? Do tego zmierza rewolucja gender?

eprasa.pl 1b410a6e1a

Ja tak tego nie widzę ani nie czuję. Nie czuję się zaszczuty jako heteroseksualny mężczyzna. Nie czuję, żeby osoby homoseksualne kwestionowały moją męskość z tego powodu, że uprawiają seks z mężczyznami, a ja robię to z kobietą. Ja to widzę bardziej jako poszerzenie pewnego spektrum niż atak na to, co jest dominujące w sensie statystycznym i wciąż w sensie norm społecznych. Ludzie są po prostu różni i ta różnorodność jest ciekawa. Jestem pewny, że trzeba docenić ich potrzeby, doświadczenia i nauczyć się z nimi żyć.

Nie kwestionuję potrzeby szacunku ani tolerancji (co nie znaczy afirmacji) dla różnorodności. Tylko czy musimy do tego dojść na drodze przebudowy społeczeństwa i niszczenia takich instytucji jak rodzina?

Nie zgadzam się z pani diagnozą, że lewica chce niszczenia społecznych instytucji. Dla mnie małżeństwa homoseksualne to rozsądny, konserwatywny postulat. Zawsze mi smutno, gdy rozpadają się związki, bo to fajna sprawa, jak ludzie chcą być ze sobą, polegają na sobie, ufają sobie. Państwo powinno ich wspierać bez względu na to, czy jest to związek hetero, czy homoseksualny. To nie jest atak na rodzinę, a poszerzenie naszych wyobrażeń o tym, czym jest rodzina.

Sporym poszerzeniem. Jak więc ocenić historię Iana Jenkinsa, Alana Mayfielda i Jeremy'ego Allena Hodgesa? Panowie żyją w poliamorycznym związku. Mężczyźni skorzystali z możliwości zapłodnienia surogatki metodą in vitro i zostali pierwszymi pełnoprawnymi rodzicami, których jest więcej niż dwoje.

Może to, co powiem, nie będzie popularne w niektórych lewicowych środowiskach i może to się nie wpisuje we wszystkie progresywne tendencje, ale ja jestem zwolennikiem monogamii jako rozwiązania prawnego. Monogamia daje lepszą ochronę słabszym ze względu na mniejszą liczbę aktorów. Poligamia mogłaby szybko doprowadzić do sytuacji, w której bogaci wpływowi mężczyźni budują sobie haremy. Byłaby to być może jeszcze większa przemoc wobec kobiet.

Chyba nie nadąża pan za rewolucją lewicową...

Możliwe. Ale mój argument za monogamią jest feministyczny i sprawiedliwościowy.

A moje wcześniejsze nie są?

Na gruncie sprawiedliwości są uprawnione, ale nie mogę się zgodzić z taką narracją, że osoby trans zabierają tlen ruchom kobiecym, nie można tworzyć przestrzeni dla osób trans, bo to margines marginesu i nie należy się nimi przejmować. Z takim postawieniem sprawy się nie zgadzam.

Wróćmy jeszcze do wspomnianego słownika i określenia „mniejszości seksualne" jako niezalecanego, gdyż pomija cechy inne niż seksualność. A czy parady równości nie sprowadzają się do demonstrowania swojej seksualności i do wyrażania jej w sposób nieskrępowany?

Parady są widomym znakiem, że takie osoby są, funkcjonują, mają relacje seksualne, ale także społeczne z innymi ludźmi. Oczywiście nie można redukować człowieka wyłącznie do wymiaru seksualnego, więc w tym sensie zgadzam się z uwagami poradnika. Homoseksualność to coś więcej, bo to np. także relacje społeczne z rodzicami, z otoczeniem. Chodzi o to, by pokazać, że homoseksualność to zjawisko szersze niż kwestia sypialni.

Pilnie zerkam do poradnika, ale wyraził się pan prawidłowo. Poradnik przestrzega, by nie używać takich sformułowań, jak „homoseksualizm" czy „biseksualizm", które z racji końcówki „-izm" „budzą negatywne skojarzenia związane z chorobą lub zaburzeniem".

Tak. Osoba homoseksualna, homoseksualność jest OK. Wracając do parad, nie sprowadzają się one wyłącznie do demonstrowania homoseksualności.

Kiedy patrzymy na obrazki z tych imprez, widzimy tam cały katalog różnych preferencji. I to ci ludzie chętnie demonstrują światu swoją seksualność.

Heteroseksualność jest cały czas manifestowana. W całej kulturze, we wszystkich sferach życia i oddziałuje na życie społeczne i nas definiuje: jako kobiety, mężczyzn, ojców, matki, mężów, żony.

Przepraszam, ale pan znów nie nadążył za rewolucją. Nie należy definiować kobiet przez ich relację do innych, czyli „matka" jest passé.

Uczę się. Ale wróćmy do tematu. Dlaczego heteroseksualność ma prawo się manifestować, a homoseksualność nie? Mamy świeżą historię dwóch chłopaków, którzy trzymali się za rękę, nie uprawiali seksu i zostali zaatakowani, jeden został dźgnięty nożem z tego powodu. Rozumiem, że ruchy LGBT widziane z perspektywy konserwatywnej mogą być postrzegane jako próba redukcji człowieka do seksualności i to jest rodzaj zagrożenia dla normalności.

Po pierwsze, mocno pan zawęził tę grupę.

Tak, powinienem powiedzieć LGBT plus.

A po drugie, to lewica krzyczy: „Kościół zagląda nam do łóżka, to jest złe". A następnie wychodzi z tym łóżkiem na ulicę. A to powinna być prywatna sfera. Pytanie brzmi: co nas obchodzi, kto z kim sypia i co lubi w sypialni?

Heteroseksualność nie pozostaje w prywatnej sferze. Wszystko się wokół niej kręci. A homoseksualność to nie jest tylko kwestia sypialni, lecz całej sfery skomplikowanych relacji społecznych, partnerskich. Nie chodzi tylko o seks, ale o całokształt relacji. Gdy mówimy: „mniejszości seksualne", sprowadzamy wszystko do seksu, a to jest bardziej złożony problem. Gdy facet idzie z kobietą do kina, trzymają się za rękę, całują i to nie jest podporządkowanie życia seksualności. W innej konfiguracji już tak. Trzeba zerwać z takim myśleniem. Te parady ze swoimi strojami, kolorami to rodzaj karnawału. Chodzi o to, by pokazać, że ludzie są różni, i nie tylko o seks chodzi, a różnorodność trzeba zaakceptować

Mówi pan o wielkiej wrażliwości środowiska lewicowego. Ale ta wrażliwość znika, gdy chodzi o życie poczęte. Sam się pan domagał, by plakaty z dzieckiem w łonie matki w kształcie serca zniknęły z przestrzeni publicznej.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Moja interwencja w Krakowie dotyczyła głównie umieszczania tych plakatów na samochodach MPK. Ta kampania wpisuje się w cały ciąg zdarzeń. Nie chodzi tylko o promowanie hospicjów perinatalnych, lecz o uzasadnienie dla całkowitego zakazu aborcji.

Nie jest całkowity. Nie dotyczy zagrożenia zdrowia matki, ciąży z przestępstwa oraz korelacji zdrowia matki z wadami letalnymi, co można interpretować niezwykle szeroko, np. w odniesieniu do zdrowia psychicznego.

To rzeczywiście byłoby duże pole manewru, ale lekarze będą się bali takiej szerokiej interpretacji, będą się bali procesów. Ten zakaz godzi w prawa kobiet i jest właśnie dowodem braku wrażliwości i tego, że można kogoś zmusić do urodzenia dziecka, które nie ma szans na przeżycie. To sytuacja zbliżona do usankcjonowania tortur. A przedstawienie tortur w pastelowych barwach jest nieakceptowalne. Widać zresztą dużą niechęć społeczną do tych plakatów. Często są niszczone spontanicznie.

A skąd ta niechęć, skoro to obraz piękny i prawdziwy?

Nie jest prawdziwy w tym sensie, że widzimy zdrowe rozwinięte dziecko, a aborcja nie dotyczy zdrowych rozwiniętych dzieci.

Często dotyczy. Zwłaszcza ta postulowana na ulicy, na żądanie. Może jedynie stadium rozwoju się nie zgadza, ale ze wcześniejszego stadium powstaje takie właśnie dziecko.

Na plakatach jest zdecydowanie starsze dziecko, nie takie do 12. tygodnia. A szerszym kontekstem jest całkowity zakaz aborcji, i to budzi wściekłość. Trudno mi w ogóle zaakceptować takie targowanie się o to, jak przesłanka zdrowotna będzie interpretowana, bo kobieta powinna mieć prawo podejmowania trudnych decyzji do 12. tygodnia i państwu nic do tego, politykom nic do tego.

Czyli jednak dziecko. A mężczyzn pan wyklucza z tego procesu? Przecież chyba mają coś wspólnego z ciążą?

Czy w lewicowym świecie ten związek przyczynowo-skutkowy nie istnieje?

To kobieta jest obciążona macierzyństwem i związaną z nim pracą. Dlatego decyzja należy do kobiety.

Rozumiem, że mężczyźni chodzą na te strajki, żeby móc umyć ręce.

Myślę, że zakaz aborcji dowodzi, że kobietom można coś nakazać, a mężczyzn to nie obciąża. Zakaz aborcji nie przekłada się na zwiększenie męskich zobowiązań. Kobiety stały się po prostu grupą, wobec której sprawuje się władzę, odbierając im prawo do decydowania. Mężczyźni, którzy są na protestach, po prostu się na to nie zgadzają.

> Nie czuję się zaszczuty jako heteroseksualny mężczyzna. Nie czuję, żeby osoby homoseksualne kwestionowały moją męskość z tego powodu, że uprawiają seks z mężczyznami, a ja robię to z kobietą

Dużo pan mówił o tolerancji, wrażliwości. Jakoś to nie licuje z ostatnimi atakami na kościoły i katolików.

Protesty w kościołach to wynik nasilenia sporu. To coś nowego, ale to konsekwencja zaangażowania Kościoła w politykę. Kościół jest aktorem politycznym, a chce jednocześnie mieć autonomię przynależną wspólnotom wyznaniowym.

Czy to już chrystianofobia?

Nie wydaje mi się. Program lewicy, dotyczący laickiego państwa, w dużej mierze porządkuje relacje państwo–Kościół, ale nie ingeruje w naukę Kościoła. Nie zabraniamy katolikom praktyk, nie ingerujemy w nie. Mówimy, że obowiązujące prawo powinno uwzględniać różnorodność postaw moralnych i światopoglądów, a nie być odbiciem nauki Kościoła. Nie widzę antychrześcijańskich tendencji na lewicy. Widzę niechęć do instytucji i jej nadużyć. Ale to świeckie, a nie antychrześcijańskie oburzenie. Jesteśmy też przeciwni sianiu mowy nienawiści przez ludzi Kościoła wobec społeczności LGBT i mam tu np. na myśli abp. Jędraszewskiego i jego słowa o „tęczowej zarazie".

Za to tzw. Strajk Kobiet posługuje się na ulicach wyłącznie mową miłości. Mówił pan, że nie czuje się dyskryminowany jako heteroseksualny biały mężczyzna. Czy myśli pan, że byłabym bezpieczna i spotkałabym się z tolerancją na ulicy podczas demonstracji pani Lempart jako biała heteroseksualna katoliczka?

Chyba trzeba by to sprawdzić... Powiem tak: sytuacja na ulicach to wynik tego, że ludzie latami walczyli grzecznymi metodami, debatowali, pisali ustawy, nic to nie dało. Grzecznym nic nie dadzą. Grzecznym zabiorą. Stąd to wyładowanie gniewu. Język na demonstracjach jest tego odbiciem. Jednocześnie nie jestem zwolennikiem używania przekleństw przez polityków w publicznych dyskusjach.

Jak wyglądałby pana wymarzony świat po zakończeniu lewicowej rewolucji?

Wrócę do „W pustyni i w puszczy" i mojej córki. Podczas lekcji dzieci charakteryzowały Stasia. Zosia napisała, że ją wkurzał, bo był przemądrzały i rasistowski. Jednak na pytanie pani odpowiedziała, że był odważny, opiekuńczy, czyli powiedziała „jak trzeba". Chcę świata, w którym każdy może powiedzieć, co myśli i się tego nie bać. Chcę przestrzeni do dyskusji, z której coś wynika.

Katolikom też pan daje prawo do udziału w tej dyskusji?

Wszystkim. Na tym polega demokratyczna debata. Choć to na lewicy jest poczucie bycia ofiarą i poczucie pokrzywdzenia. Trudno dyskutować z kimś, kto zaczyna rozmowę od obrażania innych, np. homoseksualistów. Nam się udało dość długo dyskutować, jednak publicznie jest to trudne, bo zaraz skacze temperatura sporu.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Roszady kadrowe w OHP były do przewidzenia, gdy po październikowej rekonstrukcji rządu Gowinowi przypadł resort rozwoju, pracy i technologii. Miesiąc później wicepremier powołał na komendanta głównego OHP szefa struktur Porozumienia w Zachodniopomorskiem Grzegorza Waltera

Porozumienie na swoim

Czy Ochotnicze Hufce Pracy mogą być narzędziem politycznym? Lekceważone, uważane za relikt PRL, wciąż są prężną i zasobną instytucją. Rozumie to Jarosław Gowin, który właśnie w pełni je sobie podporządkował. W jakim celu?

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Lider Porozumienia od dawna planuje wyjście z obozu Zjednoczonej Prawicy. Według naszych rozmówców już w grudniu 2019 r. (!) miał się dzielić z lokalnymi działaczami swojej partii przewidywaniami, że trzeciej wspólnej z PiS kadencji nie będzie, a rozwód jest tylko kwestią czasu i sprzyjających okoliczności. Dziś ten plan jest coraz bliższy realizacji. Tym bardziej że budowa zaplecza i wpływów teoretycznie najsłabszej formacji w ZP idzie pełną parą. W tej operacji znów centralną postacią jest Robert Anacki, bohater naszego artykułu sprzed tygodnia.

eprasa.pl 1b410a6e1a

To były współwłaściciel i członek zarządu spółki Tecra (dziś oficjalnie tylko doradza jej władzom), działającej w branży kryptowalut. Firma – gdy formalnie należała jeszcze do Anackiego – uzyskała z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju (nadzorowanego przez szefa Porozumienia w randze ministra i wicepremiera) ponad 10 mln zł dotacji. Ujawniliśmy również, że lobbował on w rządzie za nawiązaniem współpracy przy budowie Nowego Krajowego Systemu Poboru Opłat ze słowacką firmą SkyToll, powiązaną z kremlowskim oligarchą Olegiem Dieripaską.

Historia, którą dziś przedstawimy, potwierdza, że Anacki w pełni zasługuje na miano – jak go nazwaliśmy – „najemnika Gowina". Na jego zlecenie buduje struktury, być może po to, by móc jakkolwiek funkcjonować już poza Zjednoczoną Prawicą. Ochotnicze Hufce Pracy są do tego niezłym wehikułem. – To 16 komend wojewódzkich, ileś hufców i świetlic, kilka tysięcy etatów, do tego ośrodki wypoczynkowe i inne liczne nieruchomości. Można się śmiać, że to nie jest łup polityczny, ale nie zaprzeczą panowie, że jest potencjał w tej organizacji, prawda? – mówi z uśmiechem osoba zorientowana w pracy OHP. I przypomina, jakim budżetem dysponuje ta instytucja: ok. 290 mln zł na bieżącą działalność plus ok. 300 mln zł na refundację wynagrodzeń młodocianych pracowników.

Fot. Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii

POLITYCZNY OPŁATEK

22 grudnia ub.r. spotkanie opłatkowe w mazowieckiej OHP. Nowa komendant Mariola Rabczon-Mazowiecka ogłasza drobne nagrody na koniec roku dla wszystkich pracowników. Przedstawia też „doradcę społecznego pana komendanta głównego, który zaszczycił nas swoją obecnością".

Pierwsze takty „Lulajże Jezuniu". Głos zabiera gość specjalny. „Nazywam się Robert Anacki, jestem oddelegowany do przeprowadzenia reformy państwa instytucji, czyli Ochotniczych Hufców Pracy, przez pana premiera Gowina i panią minister Michałek. Nadzoruję od strony politycznej – jestem wiceprezesem partii pana wicepremiera, pana ministra Gowina".

Opowiada o planowanej reformie zmierzającej do unowocześnienia instytucji. Jak mówi, OHP są „oczkiem w głowie pana premiera, który jednak całą swoją energię kieruje w te warszawskie działania ministerialne".

> 16 komend wojewódzkich, ileś hufców i świetlic, kilka tysięcy etatów, do tego ośrodki wypoczynkowe i inne liczne nieruchomości. Można się śmiać, że to nie jest łup polityczny, ale nie zaprzeczą panowie, że jest potencjał w tej organizacji, prawda? – mówi osoba zorientowana w pracy OHP

Zapowiada, że w marcu „przedstawimy, co chcemy robić", „zmianę wizerunkową". I uspokaja: „Proszę się nie obawiać niczego, co mogłoby wynikać ze zmian, które były tutaj w kierownictwie, ponieważ była to decyzja polityczna, związana z reformą". Na koniec przekazuje życzenia od pani minister Michałek, komendanta głównego i „oczywiście od premiera Gowina".

Zapytany przez nas, czy nadzoruje reformę OHP, Anacki stwierdził: – Nie, jest od tego pani minister Iwona Michałek. Gdy dopytaliśmy, czy ma od niej jakieś formalne umocowania, odparł: – Ale ja żadnych nie mam! Doradzam nawet panu ministrowi na zasadzie takiej, że rozmawiamy bardziej politycznie, prywatnie.

Uczciwie przyznał za to, że zmiany w kierownictwie Ochotniczych Hufców Pracy były „czysto polityczne". Grzegorz Walter (obecny komendant główny OHP) był przez niego polecony. Anacki tak tłumaczy swój wpływ na tego typu organizacje jak Ochotnicze Hufce Pracy: – Jestem wiceprezesem partii, więc raczej mam wpływ na wszystkie instytucje. Mam głos doradczy na różnych ciałach statutowych, co ma jakiś wpływ na pewne decyzje.

W prezydium zarządu partii nie ma Jana Strzeżka, ale szef gabinetu politycznego wicepremiera (jednocześnie wicerzecznik partii) to kolejny zaufany człowiek oddelegowany na odcinek OHP. Mówi nam jeden z pracowników mazowieckiej komendy: – Gdy w grudniu, dzień po zwolnieniu, nasz komendant przekazywał obowiązki swojej następczyni, asystował przy tym właśnie pan Strzeżek. Rozpoznałam go, bo często pojawia się w telewizji. W jakim charakterze wprowadzał nową komendant do pracy? Nie znajduję na to innego uzasadnienia niż polityczny nadzór.

Sam Strzeżek na nasze pytania odpowiedział lakonicznie: – O ile pamiętam, w siedzibach OHP byłem w sumie może kilka razy, głównie jako zaproszony gość, czasem z jednym z moich bliskich współpracowników. Nie nadzoruję reform ani zmian kadrowych w OHP.

Widocznie wyleciało mu z głowy nazwisko Gracjana Majewskiego, drugiego z członków gabinetu politycznego wicepremiera Gowina. Jak wynika z naszych informacji, wspólnie pilnowali zmiany warty w mazowieckiej komendzie.

ŚWIĄTECZNE PORZĄDKI

Roszady kadrowe w OHP były do przewidzenia, gdy po październikowej rekonstrukcji rządu Jarosławowi Gowinowi przypadł resort rozwoju, pracy i technologii. Miesiąc później wicepremier powołał na komendanta

eprasa.pl 1b410a6e1a

głównego szefa struktur Porozumienia w Zachodniopomorskiem. Grzegorz Walter to były korwinista, prawa ręka Roberta Anackiego, wspólnie opuścili szeregi wolnościowców i sprzymierzyli się z gowinowcami.

Oficjalnie zmiany miały na celu „reformę organizacyjną, wprowadzenie nowoczesnych form kształcenia zawodowego młodzieży oraz osób wykluczonych społecznie" – tak zapowiadał Gowin publicznie. Swoim współpracownikom mówił jednak, że OHP będą likwidowane, a zaoszczędzone w ten sposób środki zostaną wykorzystaną na inne cele. Skończyło się na czystkach kadrowych i totalnym podporządkowaniu ludziom Porozumienia całego systemu hufców. Przy okazji pensja nowego komendanta głównego wzrosła z 11 850 zł do 17 500 zł.

Nowej ekipie bardzo się spieszyło. Żeby w centrali swobodnie obdzielić stanowiska dla swoich, 1 grudnia naprędce zmieniono regulamin organizacyjny Komendy Głównej. Nowy w wielu miejscach skopiowano ze... statutu Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni. Dzięki temu na papierze OHP wzbogaciły się o biuro ds. dziedzictwa kulturalnego OHP, które miało m.in. „gromadzić zabytki" i „upowszechniać wartości historyczne związane z dziejami Ochotniczych Hufców Pracy" (sic!). Regulamin zmieniono 8 stycznia. Znów nieudolnie. Kolejne poprawki wprowadzono 4 lutego, a następne – już po raz czwarty – 25 lutego.

Całość, przypomnijmy, „nadzoruje politycznie" Robert Anacki, który został asystentem społecznym Grzegorza Waltera. I tak człowiek od kryptowalut, były wiceprezes partii Janusza Korwin-Mikkego, staje się jednym z głównych rozgrywających w socjalnej instytucji, która ma dawać szansę na normalne życie młodym ludziom po przejściach. Jak na ultraliberała to zaskakujące lądowanie.

CZYSTKI PO APELU

W wojewódzkich komendach słychać opowieść o „apelu jasnogórskim". Bo właśnie wieczorową porą „góra" przez platformę ePUAP przysyłała powiadomienia o odwołaniach poszczególnych osób. – Ja dowiedziałem się następnego dnia rano, bo w domu dostępu do systemu nie mam. Gdy przyszedłem do pracy, okazało się, że na moim miejscu już ktoś jest – opowiada nam jeden z byłych komendantów OHP. Grzegorz Walter z nikim się nie spotkał, nie było oceny pracy ani wyników. – Nie mam złudzeń, że to zmiana polityczna, ale przecież nie przychodził nikt z obcego obozu. Dlatego ogromnym zaskoczeniem była zaciętość, z jaką zaczęto czyścić. Mam wrażenie, że osoby związane z PiS, np. radni, były traktowane jak wrogowie, bez skrupułów – słyszymy.

Opowieści tych, którzy jeszcze zostali, bo zajmują mniej eksponowane stanowiska, niepokoją. – Atmosfera w pracy jest okropna. Nowi szefowie niby się uśmiechają i zapewniają, że praca będzie szła bez zakłóceń, ale słyszeli to od nich także ci, którzy chwilę później wylecieli – mówi osoba z komendy we wschodniej Polsce. – Wieczorem, po godzinach pracy przyszły dwie osoby. Zastały tylko sprzątaczkę. Nie przedstawiły się, powiedziały jej tylko, że „są od premiera Gowina". Zaczęły ją wypytywać, jak się pracuje, czy są konflikty w pracy i zapewniły, że teraz będą rozwijać współpracę z prezydentem miasta, bo obecnie jej nie ma – opowiada nam jeszcze jedna z odwołanych osób. Zastanowiła ją zapowiedź działania „ludzi od Gowina" w porozumieniu z samorządem, bo wiadomo, że akurat tutaj jest otwarta wrogość wobec polityki centralnej. Dwuosobowa delegacja była zainteresowana jeszcze jedną kwestią, „czy w biurze są stoły do ping-ponga dla młodzieży". – To pokazuje, że nie mieli pojęcia, jaka jest specyfika naszej pracy ani czym zajmujemy się w komendzie wojewódzkiej. A samo wieczorne najście i przeszpiegi u sprzątaczki chyba nie wymagają dalszego komentarza – zżyma się nasz informator.

Bogdan Ścibut, komendant główny OHP, został zwolniony... e-mailem. Dostał go w dniu, gdy przebywał na zwolnieniu lekarskim, ale tego szczegółu nie wzięto pod uwagę. Odwołany nie kwestionuje samej decyzji, ale jej tryb. Sprawę ma rozstrzygnąć sąd. – To jest nasza porażka jako klasy politycznej, że nie zabezpieczamy 27 tys. wychowanków OHP przed przypadkowymi eksperymentatorami. Nikt nie patrzy na dorobek tych z wojewódzkich komendantów i pracowników, którzy osiągali najlepsze wyniki w pracy z młodzieżą. W obecnych działaniach trudno doszukać się merytorycznego klucza. Powoływane na stanowiska są osoby wyłącznie związane z Porozumieniem – mówi nam Ścibut.

NOWE PORZĄDKI

Nowe rozdanie w OHP miało za zadanie zreformować instytucję. – Być może to rzeczywiście konieczne, bo przez ponad 60 lat istnienia zmieniła się i charakterystyka młodzieży, i sposoby wychowawcze, a nie zawsze za tym nadążaliśmy – przyznaje nam jedna ze zwolnionych osób. Ale „naprawa" zaczęła się od wtargnięcia w środowisko i zmiany w obszarach, które nie są kluczowe, lecz budują pewną wspólnotę. Przykro słucha się opowieści o jednej z pierwszych decyzji Marioli Rabczon-Mazowieckiej, nowej szefowej Mazowieckiej KW, która... nie zgodziła się na zakup karmy dla psa mieszkającego na terenie OHP. „Nasz ośrodkowy Misiek nie jest niczyim prywatnym zwierzęciem. (...) Nie pojmuję jakim cZŁOWIEKIEM przez małe »c« trzeba być, aby odmówić zwierzęciu posiłku" – czytamy w pełnym oburzenia liście jednego z kierowników rozesłanym do wiadomości pracowników. Ostatecznie sami się zrzucili i kupili 100 puszek karmy, a człowiek, który o jedzenie dla zwierzęcia się upomniał, wyleciał dyscyplinarnie, m.in. za „podważanie decyzji przełożonego, sugerując, m.in. że jej decyzje nie mogą być zrozumiane przez »normalnych ludzi« oraz umniejszeniem jej godności człowieka".

Mariola Rabczon-Mazowiecka to była radna Platformy Obywatelskiej na warszawskiej Białołęce, która tę funkcję łączyła z zatrudnieniem w Mazowieckim Regionalnym Funduszu Pożyczkowym podległym marszałkowi Mazowsza Adamowi Struzikowi. Później startowała do Rady Miasta z listy Bezpartyjnych Samorządowców, dziś jest w formacji Jarosława Gowina. Takim m.in. karierom sprzeciwiają się członkowie Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Pracowników OHP, którzy kilkanaście dni temu wysłali pismo do nadzorującej hufce w MPRiT wiceminister Iwony Michałek. Czytamy w nim: „Jesteśmy zbulwersowani zachowaniami niektórych nowo mianowanych komendantów wojewódzkich OHP i ich zastępców. (...) Ich pycha, zarozumiałość

eprasa.pl 1b410a6e1a

oraz działania będące w kolizji z prawem nie mogą się rozprzestrzeniać i pozostawać bez reakcji wyższych przełożonych". W 18 punktach wymienione są „niepokojące obserwacje", lista powstała po rozmowach z osobami z całej Polski. Związkowcy piszą m.in. o „mnożeniu stanowisk", przyzwoleniu nowo zatrudnionym na równoległe prowadzenie innych działalności (także w godzinach pracy), braku zaufania oraz „niedopuszczalnej bucie nowych komendantów, którzy nie utożsamiają się z OHP".

Ten ostatni argument pojawiał się w bardzo wielu rozmowach, które ostatnio przeprowadziliśmy. Stanowiska w OHP traktowane są jak polityczny łup i miejsce dla swoich nominatów, którzy niosą ze sobą często przedziwny bagaż polityczny. Nowy komendant wojewódzki w Lublinie Jan Jakimiec w wyborach samorządowych w 2002 r. startował z listy SLD-UP, w 2006 r. był kandydatem Samoobrony na wiceministra sportu, a rok później przejął obowiązki dyrektora Teatru Muzycznego w Lublinie. Wytrwał na tej funkcji trzy dni, zarząd województwa znalazł bowiem lepszego kandydata. Jakimiec robi dziś porządki z poparciem Jarosława Gowina.

Z jeszcze innego kierunku przyszedł Michał Trębacz, który zastąpił na kierowniczym stanowisku Bernadettę Brożynę, komendant wojewódzką na Dolnym Śląsku. Obecny gowinowiec jeszcze w 2018 r. startował w wyborach do Rady Powiatu Wrocławskiego z pierwszego miejsca listy PSL. W klipie wyborczym, dziękując za poprzednią kadencję, roztaczał wizję budowy małej ojczyzny pod znakiem zielonej koniczyny: „Mamy kolejną szansę na budowanie naszego otoczenia na miarę naszych marzeń i aspiracji". Mandatu nie uzyskał.

– Nie dziwi mnie ten dobór ludzi. Gowin wynajduje takich, którzy w razie jakiegoś konfliktu na pewno nie staną po stronie PiS – zwraca uwagę jeden z naszych rozmówców.

ZAUFANI AUDYTORZY

Nowe kierownictwo OHP natychmiast po objęciu rządów zleciło audyt informatyczny w komendzie głównej oraz wszystkich wojewódzkich. Chodziło o inwentaryzację sprzętu oraz oprogramowania. Audyt prowadziła spółka Belters należąca do Przemysława Kardy i Łukasza Gromka (to jednocześnie członkowie jej zarządu). Tak się składa, że do obu panów należy inna firma, dobrze nam już znana. To wspomniana wyżej Tecra, ta od kryptowalut, założona wspólnie z Robertem Anackim.

Zapytaliśmy go, kto wybrał Belters do audytu w OHP. Początkowo Anacki przekonywał, że nie miał z tym nic wspólnego: – Pewnie jakieś służby wewnętrzne. Wiem, że koledzy chcieli bardzo szybko zinwentaryzować pewne rzeczy i po prostu realizowali zadania z taką możliwą szybkością działania, na ile czas pozwalał. Pewnie ze swojego otoczenia wybierali podmioty (...) To są rzeczy, które są w naturalny sposób realizowane rynkowo. I tyle. Nie wiem, jakie tam szczegóły były.

> Co jest potrzebne do samodzielnego startu w wyborach? Struktury i pieniądze. Nad jednym i drugim ludzie Gowina naprawdę intensywnie pracują. Czasem na nieoczywistych polach

Gdy jednak wskazaliśmy, że Belters to jego byli współpracownicy, zmienił wersję: – Tak, kiedyś Grzegorzowi [Walterowi – przyp. red.] rekomendowałem wiele firm, które mogą realizować pewne rzeczy i nie mam z tym żadnego problemu. (...) Jak ktoś mnie spyta, kogo mam doradzić, to jeśli kogoś znam, wiem, że ma kompetencje, to dlaczego mam go nie wskazać? Nie powinniśmy się wstydzić tego, że wybieramy zaufane osoby, podmioty.

Czy każdego polityka nie powinno jednak cechować stronienie od nepotyzmu i konfliktu interesów?

Belters został wybrany bez przetargu, płatności rozłożono na wszystkie komendy wojewódzkie (w sumie koszt audytu wyniósł ok. 100 tys. zł), a cała operacja została przeprowadzona w błyskawicznym tempie między świętami a Nowym Rokiem, by faktury wystawiono jeszcze w 2020 r.

CZŁOWIEK OD KASY

Jaka jest prawdziwa rola Roberta Anackiego w Porozumieniu Jarosława Gowina? Od wielu osób słyszymy, że jego główne zadania to budowanie struktur partii oraz jej zaplecza finansowego.

Dotarliśmy też do kilku osób, które słyszały to z ust Gowina oraz samego Anackiego. – Robert się chwalił, że jest odpowiedzialny za załatwianie kasy na partię i że zorganizuje ponad milion na każdy okręg wyborczy na kampanię – słyszymy od działacza, który chce zachować anonimowość. Inny wspomina listopadowe spotkanie w Ministerstwie Rozwoju Pracy i Technologii: – Pytaliśmy Jarosława [Gowina – przyp. red.], co z finansowaniem partii. Odpowiedział, że zajmie się tym Anacki.

Kolejna osoba relacjonuje nam spotkanie lokalnych struktur sprzed kilku tygodni w zachodniej Polsce, dokąd przyjechał Tomasz Michałowski (szef gabinetu politycznego Gowina jako ministra – gabinet wicepremiera Gowina ma inny skład). – Głównie narzekał, jakie PiS jest niedobre, jak utrudnia życie Gowinowi, jak ciągle stawia go przed dylematami, które rozdzierają mu serce, np. co otworzyć: szkoły czy markety. Pytany, dlaczego trwamy w takiej koalicji, powiedział, że taka jest arytmetyka i dziś inaczej się nie da. A w naszym regionie większość działaczy byłaby zachwycona, gdybyśmy opuścili Zjednoczoną Prawicę.

Co jest potrzebne do samodzielnego startu w wyborach? Struktury i pieniądze. Nad jednym i drugim ludzie Gowina naprawdę intensywnie pracują. Czasem na nieoczywistych polach. Ale aktualna sieć tych powiązań to materiał na kolejną opowieść.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Sputnik nad Europą

Im bardziej Unia Europejska odstaje od innych państw wysoko rozwiniętych, jeśli idzie o tempo szczepień przeciw COVID-19, tym większe jest zniecierpliwienie rządów państw członkowskich i zainteresowanie rosyjską szczepionką Sputnik V

MAREK BUDZISZ

Rosyjską szczepionkę już zaczęto podawać na Węgrzech i Słowacji. W ubiegłym tygodniu amerykański portal Bloomberg, specjalizujący się w tematyce gospodarczej, poinformował, że szwajcarska firma Adienne Pharma & Biotech SA ma zamiar rozpocząć produkcję Sputnika nieopodal Mediolanu. O tym samym rozmawiał Péter Szijjártó, węgierski minister spraw zagranicznych, w trakcie swojej niedawnej wizyty w Moskwie. Kirył Dmitriew, kierujący rosyjskim rządowym Funduszem Inwestycji Bezpośrednich, który zajmuje się dystrybucją licencji i praw do wytwarzania Sputnika V, powiedział we włoskiej telewizji, że w najbliższym czasie powołana zostanie niemiecko-rosyjska spółka, która będzie zajmować się jego produkcją, a podobne rozmowy trwają też z Francją. Do Putina w sprawie rosyjskiej szczepionki zadzwonił kanclerz Austrii Sebastian Kurz, a w Czechach kontrowersje związane z jej importem doprowadziły nawet do minikryzysu politycznego na szczytach władzy. Znany ze swych rusofilskich wypowiedzi prezydent Miloš Zeman zażądał od premiera Andreja Babiša dymisji ministra zdrowia Jana Blatnego, kiedy ten oświadczył, że o dopuszczeniu rosyjskiego preparatu w Czechach będzie

eprasa.pl 1b410a6e1a

mowa dopiero po tym, jak zostanie on zaakceptowany przez Europejską Agencję Leków (EMA).

Jej szefowa Christa Wirthumer-Hoche powiedziała w niedawnym wywiadzie dla jednego z kanałów telewizji austriackiej, że dopuszczenie Sputnika V do użytku przez narodowe instytucje autoryzacyjne powołujące się na stan wyższej konieczności, tak jak to stało się na Węgrzech czy Słowacji, „przypomina grę w rosyjską ruletkę". I zdecydowanie odradziła wydawanie krajowych zezwoleń, w sytuacji kiedy, jak podkreśliła, „brak jest wystarczających danych potwierdzających bezpieczeństwo szczepionki". Powiedziała też, że podległy jej urząd, który rozpoczął formalną procedurę rejestracji Sputnika V, nie dysponuje na razie niezbędnymi informacjami i dokumentami na temat zaszczepionych nim osób.

SZCZEPIONKA NARZĘDZIEM PROPAGANDY

Jej słowa wywołały burzę. Rosjanie domagają się oficjalnych przeprosin i podają w wątpliwość neutralność europejskiego organu regulacyjnego, który ich zdaniem może być uprzedzony do Sputnika V. W sprawę włączył się nawet rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow, który powiedział, że wypowiedź Wirthumer-Hoche była smutna i nieprawdziwa.

Kwestia stosunku do rosyjskiego Sputnika V zaczyna mieć charakter coraz bardziej polityczny. W niedawnym wywiadzie dla kanału telewizyjnego prowadzonego przez rosyjski dziennik ekonomiczny RBK rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow powiedział, że Sputnik jest jedną z najlepszych – jeśli nie najlepszą – szczepionek na świecie, o czym świadczy długa kolejka krajów chcących ją zakupić. Z kolei Charles Michel, przewodniczący Rady Europejskiej, napisał w specjalnym oświadczeniu, że Chiny oraz Rosja – kraje, które wyznają inne wartości niż Europa – używają szczepionek w charakterze broni propagandowej. „Nie powinniśmy dać się zwieść Chinom i Rosji – napisał Michel. – Według dostępnych danych kraje te podały o połowę mniej dawek na 100 mieszkańców niż Unia Europejska. Europa nie będzie używać szczepionek do celów propagandowych".

Amerykański dziennik „The Wall Street Journal" opublikował nawet specjalny raport, w sporej części oparty na danych służb specjalnych. Wynika z niego, że rosyjski wywiad realizuje za pośrednictwem mediów internetowych kampanię, której celem jest dezinformacja i mnożenie wątpliwości, jeśli chodzi o specyfiki konkurencji szeroko podawane na Zachodzie. Celem ataku przede wszystkim stał się preparat Pfizera. Podawana w wątpliwość jest jego skuteczność, krytykowana cena, szczególnie zaś warunki, w jakich musi być przechowywany i dystrybuowany.

Niewątpliwie władze Rosji mają interes w dezawuowaniu konkurencji. W tamtejszych mediach można było przeczytać wypowiedzi przedstawicieli władzy, że eksport licencji na produkcję Sputnika V może w najbliższych latach przynieść Rosji nawet 15 mld dol. rocznie, więcej niż zarabia ona dziś na eksporcie broni i uzbrojenia. Korzyści polityczne i reputacyjne są niewymierne. Może to kwestia przypadku, ale premier Słowacji Igor Matovič, zaraz po tym jak jego rząd zdecydował się na zakup rosyjskiego Sputnika, zażartował w wywiadzie radiowym, że Ukraina być może w zamian za dostawy rosyjskiego specyfiku powinna oddać Rosji Zakarpacie. W Kijowie słowa te, zwłaszcza w obliczu zaostrzenia sytuacji w Donbasie, gdzie niemal każdego dnia giną ludzie, nie wywołały salw śmiechu. Wręcz przeciwnie, słowacki ambasador musiał się tłumaczyć w ukraińskim MSZ.

NIEPOŻĄDANE EFEKTY UBOCZNE

Trochę z boku tej dyskusji koncentrującej się na sprawach politycznych i urzędniczych procedurach pozostaje kwestia, czy rosyjski Sputnik jest skuteczny i bezpieczny. Niemieccy eksperci nie mają co do tego wątpliwości. Thomas Mertens, kierujący niemiecką Komisją ds. Szczepień (STIKO), powiedział w rozmowie z dziennikiem „Rheinische Post", że rosyjscy badacze, którzy pracowali nad szczepionką, są bardzo doświadczeni, a Sputnik V jest mądrze zbudowany. Jego zdaniem jest to bardzo dobrze „pomyślana" i skonstruowana szczepionka, która z pewnością zostanie dopuszczona do użytku w Unii Europejskiej. Jednak Bill Browder – w przeszłości znaczący inwestor finansowy w Rosji, który przyczynił się do uchwalenia przez amerykański Kongres tzw. aktu Magnickiego, nazwanego w ten sposób ku pamięci zamordowanego w rosyjskim więzieniu prawnika, który odkrył milionowe defraudacje, w które zaangażowani byli przedstawiciele rosyjskich służb specjalnych – retorycznie pytał: „Skoro Rosja tak rażąco oszukiwała w sporcie przez dziesięciolecia, to dlaczego ktokolwiek miałby ufać danym wychodzącym z Rosji w kwestii szczepionki Sputnik?".

W rosyjskich mediach spotkać można opisy reakcji na zaszczepienie Sputnikiem V, które mogłyby wzmocnić narrację sceptyków. I tak „Moskiewski Komsomolec" opisuje historię 19-letniego Kiryła, mieszkańca obwodu briańskiego, który po zaszczepieniu przeciw COVID-19 doznał paraliżu. Jego matka Oksana, relacjonując sytuację dziennikarzom, powiedziała, że zaraz po zaszczepieniu syn, dotychczas nieskarżący się na jakiekolwiek przypadłości, dostał 40-stopniowej gorączki, zaczął „dyszeć jak ryba", a pot lał się z niego strumieniami. Kirył jest sportowcem, który w tym roku chciał dostać się na rosyjski odpowiednik AWF, w związku z tym przeszedł kompleksowe badania, które potwierdziły, że jest zdrowy. Dla nauczycielki Natalii Pawłowej T. z guberni pskowskiej przygoda z rosyjską szczepionką skończyła się jeszcze gorzej. Po jej przyjęciu zapadła w śpiączkę. Autorzy artykułu, który przeczytało już niemal 500 tys. Rosjan i który utrzymywał się przez ponad tydzień na czele listy najpopularniejszych tekstów dziennika, pytali w nim retorycznie, czy nie jest rzeczą dziwną, że o przypadkach powikłań i zgonów w wyniku zaaplikowania ludziom szczepionek Pfizera czy Astry-Zeneki trąbi się na cały świat, a o powikłaniach po przyjęciu Sputnika V cicho sza. Wątpliwości na świecie budzi też to, że w świetle ostatnich badań rosyjskiej opinii publicznej przeprowadzonych przez Levada Center tylko 30 proc. ankietowanych obywateli Federacji

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1b410a6e1a

Rosyjskiej chce przyjąć szczepionkę, choć jest ona bezpłatna i dostępna. Pozostali jako główny powód swego sceptycyzmu podają brak wiarygodnych wyników badań na jej temat i niepożądane efekty uboczne.

Zanim w lutym br. w renomowanym brytyjskim czasopiśmie medycznym „The Lancet" ukazał się artykuł napisany po przeprowadzeniu przez Rosję najliczniejszej tzw. trzeciej próby Sputnika V, opinie na temat tej szczepionki w środowisku naukowym były podzielone.

„To, że w czasie pierwszych dwóch prób klinicznych potwierdzono prawidłową reakcję immunologiczną u wszystkich biorących w rosyjskim badaniu 76 osób – napisała na łamach tego samego „The Lancet" Talha Khan Burki, dziennikarka tego periodyku, a przy tym doktor farmacji pracująca na Uniwersytecie w Sydney – nie jest jeszcze wystarczającą podstawą do rejestracji". Z pewnością, jej zdaniem, na tej podstawie Sputnik V nie uzyskałby akceptacji w amerykańskiej FDA czy europejskiej EMA. Khan Burki zwracała wówczas uwagę na to, że nie przeprowadzono III fazy badań, które dzisiaj już są dostępne, o ile uznać je za wiarygodne.

Ponadto, jak powiedział wówczas „The Lancet" Peter Openshaw, profesor medycyny eksperymentalnej w Imperial College London, „odpowiedź immunologiczna może nie być wprost proporcjonalna do stopnia ochrony", co oznacza, że można odnotować pozytywną odpowiedź immunologiczną, ale trudno mówić o tym, że organizm jest rzeczywiście chroniony przed infekcją.

Jeszcze większe wątpliwości pojawiły się latem ub.r. po tym, jak włoski badacz, specjalista biologii molekularnej Enrico Bucci zauważył zastanawiające prawidłowości w opublikowanych przez rosyjskich badaczy w „The Lancet" wynikach badań I i II fazy testów szczepionki, w których uczestniczyło 76 ochotników. Otóż w opublikowanych przez Rosjan wykresach mających stanowić dowód na skuteczność specyfiku Bucci dostrzegł, że członkowie dwóch różnych grup testowych (liczących po dziewięć osób), którzy otrzymywali różne dawki leku, mają identyczne poziomy markerów odpornościowych we krwi, co zdaniem włoskiego specjalisty jest niemożliwe i może świadczyć albo o pomyłce, albo o celowym fałszowaniu wyników badań. W jego opinii, którą poparło w otwartym liście kilkunastu naukowców z różnych ośrodków w kilku krajach świata, Rosjanie powinni, tak jak to zrobiły inne ośrodki badawcze, np. AstraZeneca pracująca nad szczepionką wraz ze specjalistami z Uniwersytetu w Oxfordzie, ujawnić dane źródłowe swoich badań, a nie tylko omówienie ich wyników.

> „Skoro Rosja tak rażąco oszukiwała w sporcie przez dziesięciolecia, to dlaczego ktokolwiek miałby ufać danym wychodzącym z Rosji w kwestii szczepionki Sputnik?" – oświadczył Bill Browder, niegdyś znaczący inwestor finansowy w Rosji

Te wątpliwości ucichły po opublikowaniu w „The Lancet" artykułu na temat trzeciej, najliczniejszej próby klinicznej Sputnika V. Czy jest ona wiarygodna? Obserwatorzy zwracają uwagę na kilka niepokojących faktów. Po pierwsze, pierwotnie tzw. III próba miała obejmować 40 tys. osób, głównie w Moskwie, jednak po przeprowadzeniu – jak można się dowiedzieć z oficjalnych źródeł – 19 964 szczepień zdecydowano o zakończeniu testów. Dlaczego? Oficjalnie, by nie narazić ich uczestników, którzy otrzymują placebo, na infekcję. W rosyjskich mediach społecznościowych pojawiły się też informacje o selekcjonowaniu przez służby medyczne osób, które zostały włączone do badań, co jest niezgodne z przyjętymi w Europie zasadami ich przeprowadzania. Podobnie jak włączenie do testów ludzi bez ich zgody, co też podobno miało miejsce. Wreszcie można się spotkać z opiniami, że w III próbie uczestniczyli ludzie, którzy przeszli już COVID-19 i ich organizmy wytworzyły przeciwciała. Taka praktyka mogła zdecydowanie podnieść skuteczność (91,6 proc. wg „The Lancet") rosyjskiego preparatu. Sceptycy powątpiewają też, czy rzeczywiście tylko cztery osoby zmarły po podaniu Sputnika V w czasie testów i czy stało się to z innych, jak relacjonują władze, powodów, a nie pod wpływem szczepionki.

TANIA I DOSTĘPNA

Tych pytań jest znacznie więcej, jednak schodzą one na plan dalszy w obliczu powszechnego pragnienia, aby wreszcie wyjść z lockdownu i zacząć żyć normalnie. Jednym z argumentów na rzecz rosyjskiego Sputnika, o czym Thomas Mertens, kierujący niemiecką Komisją ds. Szczepień, nie wspomniał w przywoływanym wywiadzie, jest też to, że jest ona bardzo tania. Rosja za podwójną dawkę domaga się 10 dol., co jest kwotą o wiele niższą niż w przypadku preparatu np. Pfizera.

Wewnątrzunijna dyskusja na temat rosyjskiego Sputnika V jest też w pewnym stopniu pochodną powszechnego już niezadowolenia, a nawet wściekłości na Komisję Europejską, że ta prowadząc jesienią ub.r. negocjacje z koncernami farmaceutycznymi, w większym stopniu koncentrowała się na cenie szczepionek, zaniedbując kwestie związane z wielkością i pewnością dostaw. Dziś Europa ze złością i zawiścią patrzy, jak dystansowana jest, jeśli chodzi o liczbę zaszczepionych obywateli, przez Izrael, Wielką Brytanię czy Stany Zjednoczone, które mniej dbając o warunki handlowe, postawiły na tempo szczepień. Innymi słowy – porażka Komisji Europejskiej otworzyła drogę zachwalanej przez Władimira Putina na forum ONZ rosyjskiej szczepionce. Rosjanie takiego daru od losu nie mają w zwyczaju marnować.

Reklama | 18/0221/F

eprasa.pl 1b410a6e1a

Jesteśmy dla Was
już 95 lat!

Jeśli:

- „Niedziela" jest dla Ciebie ważna,
- „Niedziela" odgrywa istotną rolę w Twoim życiu,
- chcesz podzielić się swoimi wspomnieniami związanymi z naszym tygodnikiem,
- chcesz złożyć nam urodzinowe życzenia,

napisz do nas.

Tygodnik Katolicki „Niedziela",
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa, z dopiskiem URODZINY
lub przez formularz na stronie: www.niedziela.pl/95lat

NAJCIEKAWSZE LISTY ZOSTANĄ OPUBLIKOWANE NA ŁAMACH „NIEDZIELI" ORAZ NA PORTALU NIEDZIELA.PL

eprasa.pl 1b410a6e1a

Po latach komunizmu PRL nigdy całkowicie władzy nie utraciła i można było wychować całe pokolenie dziennikarzy o specyficznym nastawieniu do swojej pracy. Tak jak Daniel Passent nie wstydzi się swojej pracy w organie PZPR, tak wielu autorów nie wstydzi się pisania dla niemieckich gazet, które promują interes sprzeczny z polską racją stanu – mówi *Krzysztof Wyszkowski*, działacz opozycji antykomunistycznej w PRL, w rozmowie z Jakubem Augustynem Maciejewskim

Żądania Onetu to próba tresury

13 lutego napisał pan w mediach społecznościowych taki oto komentarz: „Co to jest Onet? To elektroniczna wersja gazociągu Ribbentrop–Mołotow, czyli polskojęzyczna rura do gazowania Polaków". Opinia jakich wiele w internecie, ale ta wywołała furię ze strony portalu.

Krzysztof Wyszkowski: Właśnie otrzymałem pismo, w którym wymaga się ode mnie natychmiastowych przeprosin i wpłacenia 150 tys. zł na konto Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

To warunki zaporowe.

O to w tej chuligańskiej akcji chodzi. Autorzy pewnie pomyśleli, że gdyby chodziło o 10 tys. zł, to mógłbym zapłacić i zamknąć sprawę, aczkolwiek mogę zapewnić, że w takim wypadku też by się to nie stało.

Nie myślał pan, by na taki prowokacyjny pozew dać równie prowokacyjną odpowiedź. Prawnicy Onetu potrafili przecież stwierdzić, że Bartosz Węglarczyk w rozmowie z wiceministrem Jackiem Ozdobą nie kłamał na temat ówczesnego wiceministra Łukasza Piebiaka, bo to nie był on, tylko hologram, technologia deepfake.

Nie mogę tak zrobić, bo w piśmie jest zastrzeżenie, że nie wolno go publikować.

Niemieckie media mogą bezczelnie się domagać przeprosin za używanie porównań, które im się nie podobają. Czy nadchodzi cenzura?

Myślę, że tu nie chodzi o mnie, ale o szerszy proces. Od 1 września 1939 r. buduje się w Polsce całą formację kolaborantów i wychowuje ludzi wrogich naszemu krajowi. Zaprzedanie Niemcom i Rosjanom stało się częstym zjawiskiem. Brak szacunku do samych siebie, zniewolenie, upadek godności – to narzędzia i nawyki, które mamy sobie przyswoić. Przez dekady demoralizowano Polaków różnymi metodami, aż przyszedł czas na takie metody jak teraz.

Straszenie sądem?

Nie tylko. Chodzi także o to, kto mnie oskarża – nie najważniejsi publicyści tego

Fot. Fratria

eprasa.pl 1b410a6e1a

portalu, ale mniej znane nazwiska. To oni są ofiarą systemu, są poddawani tresurze, niemiecki pracodawca ustawia ich w roli oskarżycieli, uczy ich zachowań dla niego właściwych. To nie ja jestem uczony postępowania, ale pracownicy Onetu. Media w PRL też tak funkcjonowały, że dziennikarze nie mogli sformułować tego, co naprawdę myśleli, musieli realizować nawet te oczekiwania, które owocowały pisaniem nieprawdy. To łamało kręgosłupy. Kiedy w PRL dziennikarze „Życia Warszawy" musieli takie rzeczy dostarczać albo nawet jedynie podpisywać się pod tekstem napisanym przez tajną policję, stawali się uwikłani w system kłamstwa. Prosta i skuteczna metoda podporządkowywania sobie ludzi.

Zastanawia mnie, jak poprzez zakazywanie porównań próbuje się zakazać używania narzędzi logiki. Przecież analogia, opisywanie podobnych zjawisk z przeszłości, używanie metafor, to elementy oceny rzeczywistości. Nie przypisał pan im nieprawdy, tylko językiem publicystycznym zobrazował sytuację.

Jestem wręcz zaskoczony, że Onet zrozumiał mój komentarz jako porównywanie do prób zagazowania Polaków. A przecież to sam Radosław Sikorski nazwał ten rurociąg „drugim paktem Ribbentrop–Mołotow". Ja użyłem określenia „gazowanie", bo przecież tą rurą ma lecieć „gaz", a że Niemcom się to kojarzy z ich zbrodniami...

Pan nie przeprosi, a więc sprawa trafi do sądu.

Zapewne. Jednak o kształt debaty publicznej w Polsce trzeba walczyć. Trudno, żeby nam dyktowano, jakich porównań wolno używać do krytyki rosyjsko-niemieckiego projektu energetycznego albo do komentowania działania mediów. Wszystko więc będzie zależało od sądownictwa, choć przecież wiemy, że i tam są przypadki antypolskich postaw, którym ograniczanie wolności słowa nie będzie przeszkadzało.

Spodziewał się pan po latach PRL, że w wolnej Polsce znowu będzie się próbowało stosować cenzurę?

Po latach komunizmu PRL nigdy całkowicie władzy nie utraciła i można było wychować całe pokolenie dziennikarzy o specyficznym nastawieniu do swojej pracy. Tak jak Daniel Passent nie wstydzi się swojej pracy w organie PZPR, tak wielu autorów nie wstydzi się pisania dla niemieckich gazet, które promują interes sprzeczny z polską racją stanu. Ich praca jest przepustką do życia na salonach, na świeczniku, a społeczeństwo w dużej mierze to akceptuje.

Nie przewidziałem takiego ataku Onetu, ale przypomina mi się inne zaskoczenie, jakie przeżyłem na początku lat 90. Pewnego razu dowiedziałem się, że polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, kierowane wtedy przez Krzysztofa Skubiszewskiego, przygotowuje zapis do układu polsko-rosyjskiego, który przekazywał bazy posowieckie rosyjskim służbom. To by zablokowało możliwość np. przystąpienia Polski do NATO, to byłaby katastrofa. Ujawniłem wtedy informację, że Skubiszewski był agentem SB – i rozpętało się piekło. Jeden z szefów opiniotwórczej gazety zabronił podawania mi ręki. Miałem 10 lat procesu sądowego, a w nękaniu mnie brał udział nawet Urząd Ochrony Państwa. Jan Maria Rokita złożył w imieniu Unii Demokratycznej wniosek do prokuratury generalnej, żądając natychmiastowego wszczęcia procesu. Do akcji włączyły się wszystkie media postkomunistyczne i wydawało się, że lustracja polegnie. A jednak tak się nie stało. Wierzę że i teraz, oprócz straszenia, niewiele z tego wyjdzie.

> Dziś wielu Polakom wydaje się normalne, że niemieckie media mogą u nas kreować politykę, kulturę, a także osądzać, jakich komentarzy wolno używać, a jakich nie. Ten stan rzeczy możemy zmienić

Czyli stary solidarnościowiec Wyszkowski znowu w akcji?

Tylko że ja tej akcji, w przeciwieństwie do ujawnienia informacji o współpracy ministra z SB, nie planowałem. Spontanicznie zabrałem głos w dyskusji, na Twitterze, a w odpowiedzi dostaję pismo z żądaniem opublikowania upokarzających przeprosin i wpłaty 150 tys. zł na WOŚP.

Właśnie, za drobny komentarz nagle budzi się jakaś szalona reakcja. To może mieć i takie znaczenie, że jeśli przegrałby pan w sądzie, to niejeden publicysta przestraszy się możliwości krytykowania i pojawi się mechanizm autocenzury.

Dlatego jestem pewien, że ja sam nie jestem szczególnym celem Onetu, ale chodzi o proces kształtowania debaty publicznej w Polsce, zastraszania, tresowania społeczeństwa, które często ulega pokusie „siedzenia cicho".

À propos pokusy, ma pan swoje zasługi, mógłby pan odpuścić, mieć święty spokój.

Chyba nie bardzo tak potrafię [śmiech]. Pamiętam, jak ojciec zapisał mnie do harcerstwa i nawet mi się tam podobało – dopóki nie doszło do uroczystości przyrzeczenia harcerskiego. W szkolnej sali odczytywano rotę przyrzeczenia i tam było ślubowanie Polsce Ludowej i socjalizmowi. Mnie to ogłuszyło, natychmiast odmówiłem przyrzeczenia. Nie i już.

Wtedy takie przyrzeczenie nie wydawało się dyskwalifikujące, bo wszyscy wiedzieli, że to taka zewnętrzna forma, oficjalna wersja dla władz.

Co więcej, ludziom się wydawało, że skoro nie ma dla nas innej rzeczywistości niż ta pod sowiecką okupacją, to trzeba się na nią godzić. I dziś też wielu Polakom wydaje się normalne, że niemieckie media mogą u nas kreować politykę, kulturę, a także osądzać, jakich komentarzy wolno używać, a jakich nie. Ten stan rzeczy możemy zmienić, możemy zbudować taką normalność, by wysługiwanie się obcym państwom stało się wreszcie wstydem.

eprasa.pl 1b410a6e1a

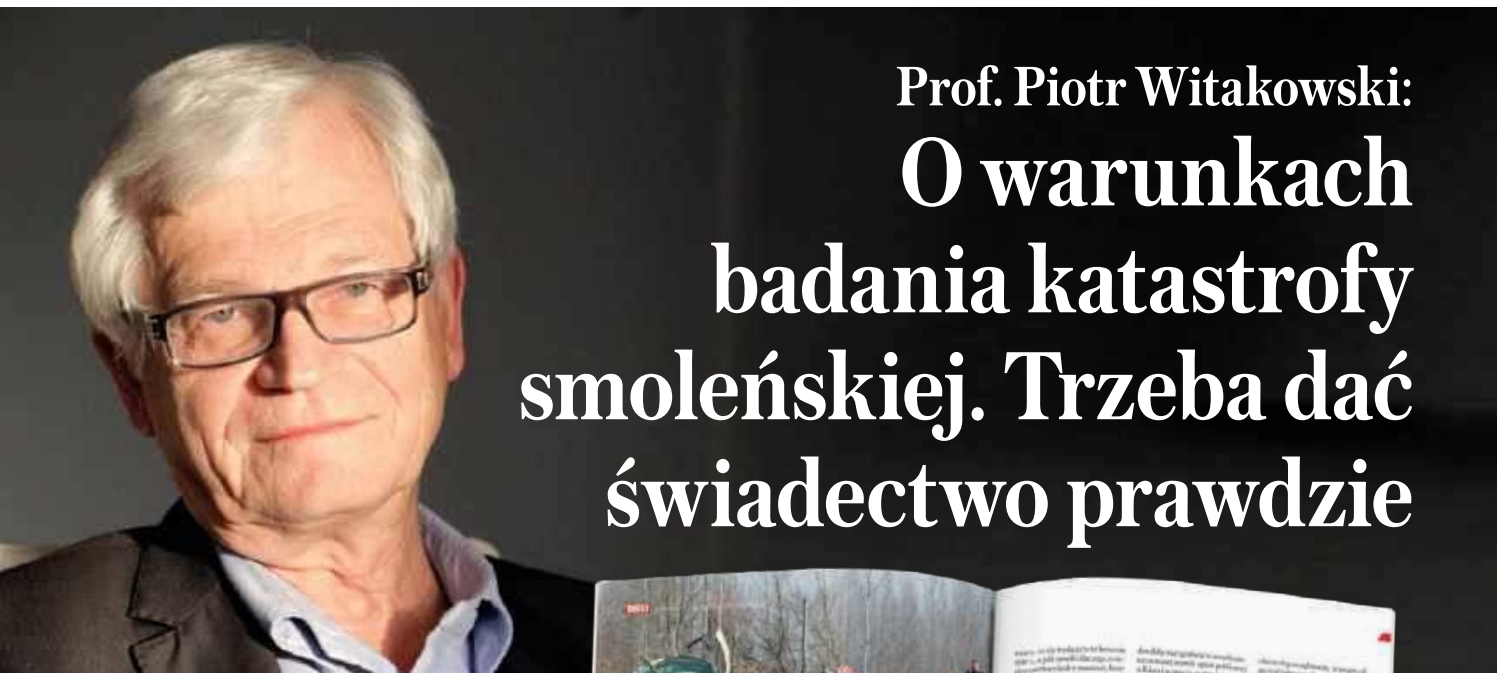

Prof. Piotr Witakowski:

O warunkach badania katastrofy smoleńskiej. Trzeba dać świadectwo prawdzie

Badanie tragedii smoleńskiej – co się dzieje?

Publikujemy list nadesłany do redakcji przez prof. Piotra Witakowskiego, organizatora konferencji smoleńskich i byłego członka podkomisji działającej przy MON

Z uwagą przeczytałem artykuł „Badanie tragedii smoleńskiej – co się dzieje?" autorstwa Glenna Jorgensena, jaki ukazał się w tygodniku „Sieci". Autor porusza w nim szereg spraw dobrze znanych wszystkim członkom Podkomisji Smoleńskiej. Po rezygnacji z członkostwa w Podkomisji zapewne nie zabierałbym w tej sprawie głosu, gdyby nie oburzające Oświadczenie, jakie na stronie Podkomisji umieściła Sekretarz Podkomisji, pani Marta Palonek. W swym Oświadczeniu napisała „Zamieszczony w tygodniku »Sieci« nr 8 (2021) artykuł Glenna Jorgensena jest zbiorem nieprawdziwych informacji, insynuacji i kłamstw nie mających nic wspólnego z prawdą". Te słowa zmuszają mnie do zabrania głosu w sprawie trybu prac Podkomisji Smoleńskiej, której pozostawałem członkiem do września 2018 r.

Nie znajduję w artykule Glenna Jorgensena nic sprzecznego z prawdą. Nie przedstawia też w swym artykule żadnych „wyników badań" lub „wiadomości uzyskanych w związku z badaniem", o czym mówi ustawa Prawo lotnicze, lecz ogranicza się do przedstawienia przeszkód w prowadzeniu badań i dotychczasowych prób usunięcia tych przeszkód. Nie byłoby ujawnieniem żadnej tajemnicy badawczej domaganie się wyjaśnienia, dlaczego z udziału w Podkomisji zrezygnowało tak wielu członków i współpracowników. Nie byłoby też złamaniem tajemnicy badawczej ujawnienie przyczyn, dla których Frank Taylor z Wielkiej Brytanii odmówił dalszej współpracy z Podkomisją. Wśród wielu takich spraw na szczególną uwagę zasługuje zablokowanie przez ówczesnego Ministra Obrony Narodowej konferencji naukowej przygotowanej przez WAT na dzień 17 maja 2017 r. i zablokowanie dostępu do wy-

Fot. Fratria

eprasa.pl 1b410a6e1a

drukowanych już przez WAT materiałów konferencyjnych.

Artykuł Jorgensena skłania do ogólniejszej analizy spraw związanych z badaniem katastrofy smoleńskiej i funkcjonowaniem Podkomisji Smoleńskiej. Trzeba tu koniecznie oddzielić trzy różne aspekty:

– medialne ataki na wszelkie niezależne badania naukowe katastrofy, w tym i na członków Podkomisji;

– wyniki prac członków Podkomisji;

– tryb prac Podkomisji i warunki do badań, jakie w niej pracownikom naukowym stworzono.

Do każdego z tych aspektów trzeba się odnieść oddzielnie.

Ataki medialne

Ataki medialne na badania naukowe katastrofy smoleńskiej i związane z tym personalne ataki na każdego zaangażowanego w takie badania są powszechnie znane wszystkim niezależnym badaczom jeszcze od czasu Konferencji Smoleńskich, jakie odbyły się w latach 2012–2015 (http://konferencjasmolenska.pl). Ataki te sprowadzają się zawsze do dwóch nurtów:

a) wszystko o katastrofie już wiemy, więc nie są dopuszczalne jakiekolwiek badania,

b) ci, którzy zajmują się badaniem katastrofy smoleńskiej są pozbawieni kwalifikacji, więc uzyskane wyniki powinny być zignorowane.

Nie sądzę, aby jakakolwiek polemika z tymi zarzutami miała sens. Ataki medialne mogłyby zniknąć lub stracić ostrze, gdyby w analizę wyników niezależnych badań zaangażował się świat akademicki. Jednakże jazgot medialny jest tak zniechęcający, że ani PAN, ani żadna uczelnia nie ma odwagi dołączyć do badań. Apele, aby oficjalne instytucje nauki polskiej zechciały zainteresować się wynikami niezależnych badań i poddać je choćby naukowej recenzji, są stale ignorowane. Taki los spotkał m.in. „Apel Akademickich Klubów Obywatelskich im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Poznaniu, Warszawie, Krakowie, Łodzi, Gdańsku, Katowicach, Lublinie, Toruniu i Olsztynie do polskich środowisk naukowych w sprawie wyjaśnienia katastrofy smoleńskiej", jak też mój „List otwarty do profesorów Tadeusza Słomki i Jana Szmidta".

Wyniki prac członków Podkomisji

Uważam, że wiele wyników prac członków Podkomisji ma nie tylko wielkie znaczenie dla ustalenia okoliczności katastrofy smoleńskiej, lecz otwiera wręcz nowe możliwości badawcze. Dotyczy to w szczególności badań aerodynamicznych i symulacji komputerowej. Należą do nich badania z zakresu inżynierii odwrotnej, symulacji zderzeń (crash testy), komputerowej analizy eksplozji, budowa modeli numerycznych złożonymi metodami skanowania i fotogrametrii, budowa fizycznych modeli samolotów w technologii druku 3D, eksperymentalne badanie w tunelu aerodynamicznym wpływu uszkodzeń na parametry lotu, wirtualne odtwarzanie wraku na podstawie zdjęć szczątków i inne.

Niejako zebraniem tych metod był program LARE (ang. Large Aircraft Reverse Engineering) realizowany przez konsorcjum złożone m.in. z Wojskowej Akademii Technicznej, Instytutu Lotnictwa i Instytutu Technicznego Wojsk Lotniczych (program był blokowany przez 1,5 roku w okolicznościach, które nie przynoszą chwały decydentom z MON i Podkomisji). Perspektywiczne znaczenie ma też „Porozumienie o współpracy" („Cooperation Agreement") zawarte między Wojskową Akademią Techniczną a Wichita State University w stanie Kansas (USA). Niektóre z wyników były przedstawiane na konferencjach „Mechanika w lotnictwie" organizowanych co dwa lata przez Polskie Towarzystwo Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej. M.in. w roku 2020 przedstawiono referat „Eksperymentalne badania wpływu utraty końcówki skrzydła samolotu Tu-154M na jego równowagę poprzeczną". Inne, nie mniej ważne wyniki są publikowane w międzynarodowych periodykach naukowych „International Journal of Crashworthiness" lub „Journal of Aerospace Engineering".

Wszystkie takie publikacje nie mają autorstwa Podkomisji, lecz zawsze są indywidualną publikacją członka lub współpracownika Podkomisji. Podkomisja jako taka też niekiedy przedstawia wyniki. Przedstawienie takie ma wówczas formę publicystyczną. Do takich należy np. raport techniczny Podkomisji z roku 2018 lub film przygotowany w roku 2020.

Wszystkie badania podejmowane przez członków Podkomisji nie są realizacją jakiegoś ogólnego planu badawczego (bezskuteczne starania o jego przyjęcie to odrębna opowieść). Nie są też efektem pracy zespołowej. Stanowią zawsze wynik inicjatywy, osobistego zaangażowania i indywidualnej pracy konkretnego członka. Pod względem metodyki badań naukowych jest to swoiste curiosum. Jest skądinąd zdumiewające, że tak wspaniałe wyniki badawcze zostały uzyskane w wyniku szeregu indywidualnych badań. Co więcej, jednoosobowe kierownictwo niechętnie patrzy na nadmierne znaczenie jakiegoś badacza i stara się go „sprowadzić do parteru". Glenn Jorgensen, który dla potrzeb badania w NIAR (USA) jednoosobowo wykonywał wszelkie prace związane z pomiarami stojącego na lotnisku w Mińsku Mazowieckim samolotu Tu-154, dostał zakaz wjazdu na lotnisko. Gdy się o zgodę na wjazd upominał, dostał zakaz dostępu do jakichkolwiek informacji w Podkomisji. Protestował, więc został usunięty ze składu Podkomisji.

Tryb prac Podkomisji i warunki do badań, jakie pracownikom naukowym stworzono

Ten aspekt jest opinii publicznej właściwie nieznany, a ma kluczowe znaczenie dla końcowego efektu pracy Podkomisji. Jakakolwiek osobista relacja nie byłaby tu na miejscu, gdyż można by ją podejrzewać o brak obiektywizmu w ocenie warunków do badań, jakie stworzono w Podkomisji. Sądzę, że sytuację najlepiej ilustruje list, jaki członkowie Podkomisji po wewnętrznej dyskusji przekazali Przewodniczącemu Podkomisji po roku pracy w dniu 1 marca 2017 r. List zawiera szereg postulatów i próśb pod adresem Przewodniczącego (od redakcji: dokument został opublikowany na portalu wPolityce.pl i tam jest dostępny w zakładce „Smoleńsk"). Proszę zwrócić uwagę, o co zabiegają członkowie. To takie problemy trapiły członków Podkomisji.

Odrębną sprawą jest wyjaśnienie, czy cokolwiek z tych postulatów i próśb zostało spełnione. Nieco wyjaśnień w tej sprawie zawiera moje wystąpienie na forum Klubu Ronina.

Piotr Witakowski

eprasa.pl 1b410a6e1a

Hollywood i terapia

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Narcystyczny show i zemsta za utratę przywilejów czy próba wstrząśnięcia skostniałą brytyjską monarchią, pogrążoną w rasistowskiej bigoterii? Światowe media są podzielone w ocenie głośnego wywiadu księcia Harry'ego i jego żony Meghan z Oprah Winfrey

„Polityka, religia, informacja, sport, edukacja, a nawet handel zostały przekształcone w sympatyczny dodatek do show-biznesu, w zasadzie bez żadnego protestu ze strony opinii publicznej, która zdaje się tego nawet nie zauważać. W rezultacie jesteśmy ludźmi, którzy są bliscy zabawiania się na śmierć" – pisał amerykański filozof, medioznawca i krytyk kultury Neil Postman w 1985 r. w swojej książce pt. „Zabawić się na śmierć: Dyskurs publiczny w epoce show-biznesu" („Amusing Ourselves to Death: Public Discourse in the Age of Show Business").

Patrząc przez ten właśnie pryzmat na poniedziałkową rozmowę księcia Harry'ego i jego małżonki Meghan Markle z Oprah Winfrey, należałoby uznać, że była ona nad wyraz udana. Dostarczyła widzom rozrywki, a przy okazji pozwoliła narcystycznym Sussexom na kolejną autoinscenizację. Były łzy, oskarżenia o rasizm (mgliste i niepodparte żadnymi dowodami), przyznanie się do problemów psychicznych i właściwa dawka politycznej poprawności, w sam raz dla świadomego społecznie odbiorcy za oceanem. Szóstemu w kolejce do brytyjskiego tronu i jego mał-

eprasa.pl 1b410a6e1a

żonce udała się przy tym nie lada sztuka: będąc utożsamieniem białego przywileju, przybrali szaty ofiar dyskryminacji w postaci skostniałych reguł i krzywdzącej dworskiej etykiety, która zamieniła marzenie Meghan o byciu księżniczką rodem z bajek Disneya w koszmar. Tym była aktorka serialowa zaskarbiła sobie sympatię liberalnych amerykańskich mediów. Brytyjczycy byli mniej wyrozumiali. W końcu swoimi elukubracjami Sussexowie wpędzili rodzinę królewską „w najgorszy kryzys od 85 lat".

W komunikacie wydanym we wtorek późnym popołudniem – niemal dobę po emisji głośnego wywiadu w Wielkiej Brytanii i półtorej doby po jego emisji w USA – pałac Buckingham napisał, że cała rodzina jest zasmucona, dowiedziawszy się, jak trudne było kilka ostatnich lat dla Harry'ego i Meghan, a poruszone przez nich kwestie, zwłaszcza dotyczące rasy, „są bardzo niepokojące i zostaną rozpatrzone przez rodzinę prywatnie". Podkreślono też, że „niektóre wspomnienia mogą się różnić" oraz że „Harry, Meghan i Archie zawsze będą bardzo kochanymi członkami rodziny". Nie było to wprawdzie otwartym oskarżeniem wnuka królowej Elżbiety II i jego żony o kłamstwo, ale komunikat Windsorów zawierał jednak delikatną sugestię, że mówiąc o rasizmie na dworze (ktoś z rodziny królewskiej miał się zastanawiać nad tym, jak ciemną skórę będzie miał syn pary Archie), Sussexowie nieco mijają się z prawdą.

MIECZEM WOKE W MONARCHIĘ

Bądź co bądź, za Meghan i Harrym wstawił się sam prezydent Joe Biden. W poniedziałek Jen Psaki, rzeczniczka prasowa Białego Domu, powiedziała, że przyznanie się do zmagania się z kondycją psychiczną wymaga ogromnej odwagi. „Joe Biden jej [Meghan] wierzy" – dodała, kontynuując, że prezydent nie omieszkał przy tej okazji wspomnieć o tym, jak ważne jest dbanie nie tylko o stan fizyczny, lecz i psychiczny. Amerykańskie media podzieliły się przy tym na pół: liberalne poparły Sussexów, konserwatywne Windsorów.

Zdaniem liberałów – jak pisze portal Politico – Meghan stała się ofiarą problemu znacznie większego niż ona sama. Jej małżeństwo z Harrym zostało zawarte albo z niewiedzą na temat tego, jak działa rodzina królewska – ponieważ trudno jest dostrzec zimną rzeczywistość poprzez pryzmat romantycznej bajki – lub z nadzieją, że przestarzała instytucja będzie gotowa na prawdziwą zmianę, którą ciemnoskóra księżna sobą reprezentuje. Zgodnie z tym poglądem katastrofa, która nastąpiła, jest wyłączną winą instytucji i jej sztywnych zasad. Monarchia nie była gotowa na zmiany. A ktoś taki jak Markle, idealistyczny i mający dobre intencje, nigdy nie miał w starciu z nią najmniejszych szans. „Ale wielu amerykańskich konserwatystów widzi to zgoła inaczej: Meghan powinna ich zdaniem była dokładnie wiedzieć, w co się pakuje, i właściwie powinna być wdzięczna za zdumiewający przywilej, jaki otrzymała. Narzekania Sussexów na pieniądze – żałosne, biorąc pod uwagę, że mieszkali w pałacach i nosili designerskie ubrania" – czytamy na łamach Politico. Prawicowy publicysta Ben Shapiro napisał wprost na Twitterze: „Mówiliśmy ci, żebyś nas nie prowokował, Grzegorzu III. A teraz uwolniliśmy nasz najniebezpieczniejszy zasób: aktorkę telewizyjną klasy B wymachującą mieczem woke. Wyobraź sobie, że jesteś księciem Filipem: walczyłeś z nazistami, współrządziłeś Wielką Brytanią w czasie zimnej wojny i zmagań gospodarczych lat 70. XX w., a teraz patrzysz, jak twój zepsuty wnuk nazywa instytucję, której po cichu poświęciłeś swoje życie, podłym repozytorium bigoterii".

Tak więc „Washington Post" pisał o niespełnionej nadziei, że wejście do rodziny królewskiej Mulatki i feministki „zmieni ją na lepsze", o rasizmie brytyjskiej prasy i Windsorach, którzy żyją mentalnie w XIX w., tymczasem Markle to „idealna ambasadorka wielorasowego Commonwealthu". Według „WP" trudno nie dostrzec podobieństwa byłej aktorki do księżnej Diany (na którą się zresztą usilnie stylizuje) i jej trudnych chwil w rodzinie królewskiej. Wtedy Windsorowie „nic nie rozumieli i teraz też nie rozumieją". Według „The American Conservative" to nie monarchia jest problemem, tylko jej milenialsowska progenitura. „Królowa Elżbieta II to utożsamienie poczucia obowiązku. Przez siedem dekad stawiała naród i służbę ponad swoim osobistym interesem. Harry i Meghan nie chcą lub nie potrafią tego zrobić. Chcą odgrywać role celebrytów bez nudnych obowiązków do spełnienia. Chcą prowadzić kosmopolityczne życie będące antytezą monarchii, ugruntowanej w jednym narodzie. Dołączyli do małej, wybranej grupy celebrytów, żyjącej w niewyobrażalnym wręcz bogactwie, a jednocześnie pouczającej nas maluczkich o tym, jak powinniśmy żyć. Z pozycji moralnej wyższości. To zderzenie wartości – starych i nowych – między Wielką Brytanią a Hollywoodem doprowadziło do megxitu" – czytamy.

NARCYZM I HIPOKRYZJA

Także w Wielkiej Brytanii prasa była podzielona w ocenie rozmowy Harry'ego i Meghan z Oprah Winfrey. Zgoda panowała tylko w jednej kwestii: że szkody powstałe wskutek wywiadu telewizyjnego będą trudne do naprawienia, a relacje Sussexów z resztą brytyjskiej rodziny królewskiej zostały „dokumentnie przekreślone". „The Times" uważa, że bardziej palącym pytaniem niż los Harry'ego i Meghan, który sami sobie wybrali, jest to, jak sama monarchia powinna odpowiedzieć na tę sprawę. „Oskarżenie o rasizm jest zbyt toksyczne, by je zignorować, ale problemem dla rodziny królewskiej jest to, że nie ma zbyt wielu rzeczy, które mogłaby powiedzieć, by wyjaśnić lub załagodzić sytuację, które nie wiązałyby się z ryzykiem jej pogorszenia" – wskazuje gazeta. Według „Timesa" monarchia „musi się przystosować do obecnych czasów". Konserwatywny „The Daily Telegraph" nie ma wątpliwości, że brytyjska monarchia przetrwa ten kryzys, choć przyznaje, że skutki wywiadu będą dalekosiężne. Wskazuje także, że wypowiedzi Meghan i Harry'ego to tylko jedna strona relacji, tzn. „ich prawda". Nie da się według gazety ustalić ani prawdziwości, ani kontekstu rzekomych rasistowskich uwag o kolorze skóry syna książęcej pary. „Nazwanie tego oskarżenia toksycznym byłoby niedopowiedzeniem" – pisze „Daily Telegraph". Inne konserwatywne media były jeszcze bardziej dosadne. Według Freddy'ego Greya z tygodnika „The Spectator" użalanie się nad sobą Harry'ego i Meghan jest irytujące – ale o to chodzi. „Ludzie lubią oglądać niezwykle uprzywilejowanych

Fot. Alex Todd/Avalon/East News

eprasa.pl 1b410a6e1a

ludzi mówiących o tym, jak trudne jest ich życie. A gdy sławni ludzie zaczynają traktować występy w telewizji jako sesje terapeutyczne, nie mogą przestać. Takie właśnie jest Hollywood. Harry i Meghan mogą być szalenie irytujący, ale w świecie, w którym królują celebryci i terapia, ich logika jest nieomylna" – uważa publicysta. Według Greya Meghan jest aktorką, a aktorki grają. Zawsze. „Harry i Meghan są wyznawcami Nowego Tysiącletniego Kościoła Sprawiedliwości Społecznej, znanego również jako Kościół woke, który jest znacznie potężniejszą siłą [niż Kościół Anglii – przyp. red.]. Dla przebudzonego tysiącletniego umysłu staromodne chrześcijańskie poglądy naprawdę są przekleństwem. To, jak się czujesz, jest prawdziwe. Harry stwierdził podczas wywiadu, że lubi zabierać swojego syna Archiego na przejażdżki rowerowe, „czego nigdy nie był w stanie robić, gdy był młody". Mniejsza o fotograficzne dowody przedstawiające małego Harry'ego na rowerze z księciem Karolem i księżną Dianą. Jeśli czuje, że jako chłopiec nigdy nie jeździł na rowerze z rodzicami, kim jesteśmy, by twierdzić inaczej?" – przekonuje Grey. W ten sposób Sussexowie, a szczególnie Meghan, stali się „sprawą społeczną", do której odnieśli się liczni politycy.

Była kandydatka na prezydenta USA i polityk demokratów Hillary Clinton stwierdziła, że brak akceptacji Meghan przez rodzinę królewską „złamał jej serce", a lider laburzystów sir Keir Starmer mówił o „poważnych problemach monarchii", o których należy dyskutować. Lewicowy „Guardian" nawet zasugerował, że kraje Commonwealthu powinny się poważnie zastanowić, czy chcą być rządzone przez tak „rasistowski dwór". Współzałożycielka ruchu Black Lives Matter Opal Tometi zaapelowała wręcz o bojkot Windsorów.

CZAS NA EMANCYPACJĘ?

Znamienne jest to, że królowa Elżbieta II wygłosiła orędzie w telewizji zaledwie kilka godzin przed emisją wywiadu z Meghan i Harrym. 7 marca przypada bowiem doroczny dzień Commonwealthu. Przy tej okazji Elżbieta II podkreśliła, jak ważne jest zaangażowanie i poświęcenie dla dobra innych. Podczas uroczystości królową wspierali książę Karol, księżna Kamila, książę William, księżna Kate i Zofia hrabina Wessex. Było to wystąpienie dobrze przemyślane, które miało podkreślić jedność rodziny królewskiej oraz powagę służby, którą pełni na poczet państwa i narodu. Niemniej jednak były premier Australii Malcolm Turnbull skorzystał z okazji wywiadu Sussexów, by zachęcić kraje Wspólnoty Narodów do „zerwania konstytucyjnych więzi z monarchią brytyjską". „Po zakończeniu panowania królowej Elżbiety II nadejdzie czas, abyśmy powiedzieli: OK, przekroczyliśmy tę granicę" – powiedział Turnbull dla Australian Broadcasting Corp. A News Americas, właściciel mediów na Karaibach, opublikował artykuł wzywający narody Commonwealthu do „wyzwolenia się z psychicznego niewolnictwa i ostatnich oków kolonializmu".

> Były premier Australii Malcolm Turnbull skorzystał z okazji wywiadu Sussexów, by zachęcić kraje Commonwealthu do „zerwania konstytucyjnych więzi z monarchią brytyjską"

W Ugandzie felietonista Nicholas Sengoba podkreślił, że wywiad Sussexów „jeszcze bardziej otworzył nam oczy", i wyraził wątpliwość, czy przywódcy krajów Commonwealthu dalej powinni być „dumni z jedzenia obiadu" z członkami brytyjskiej rodziny królewskiej. Idayat Hassan, szef Centrum Demokracji i Rozwoju w Nigerii – najbardziej ludnego kraju we Wspólnocie, powiedział londyńskiemu „Timesowi", że Nigeryjczycy są „rozczarowani". Asanda Ngoasheng, południowoafrykańska działaczka antyrasistowska, stwierdziła, że ma nadzieję, że wywiad Harry'ego i Meghan „sprawi, iż obudzimy się wreszcie i zapytamy, czy rzeczywiście potrzebujemy rodziny królewskiej?". „To ona przewodziła projektowi kolonializmu/imperializmu. Nie powinniśmy być zaskoczeni, że są rasistami" – powiedziała Ngoasheng brytyjskiemu „Timesowi". Podobne reakcje odnotowano także na Jamajce, kraju, który od wielu lat mówi o staniu się republiką, oraz w Kanadzie, gdzie lider opozycji Jagmeet Singh przekonywał, że „systematyczny rasizm monarchii pokazuje, iż nie jest ona w żaden sposób korzystna dla Kanadyjczyków".

Pierwszą (prawdziwą) ofiarą wywiadu Harry'ego i Meghan jest jednak nie Commonwealth czy Windsorowie, ale brytyjski publicysta i prezenter telewizyjny Piers Morgan, który po tym, jak spadły na niego gromy za krytykę Meghan, odszedł z programu telewizji ITV „Good Morning Britain". Morgan stwierdził podczas programu, że nie wierzy żonie księcia Harry'ego, a jej zarzuty o rasizm wobec rodziny królewskiej określił mianem „bzdury". Na Twitterze nazwał ją ponadto „księżniczką Pinokio". Widzowie złożyli 41 tys. skarg na jego zachowanie. Od jego wypowiedzi natychmiast zdystansowała się szefowa ITV Dame Carolyn McCall, prywatnie przyjaciółka Meghan. Powiedziała, że całkowicie wierzy księżnej, a stacja jest w pełni zaangażowana we wspieranie zdrowia psychicznego. Morgan miał przeprosić księżną, ale odmówił. Wolał odejść ze stacji w imię „wolności słowa".

Brytyjczycy zresztą w większości źle przyjęli głośny wywiad. W sondażu YouGov za niestosowny uznało go 47 proc. ankietowanych, a za stosowny tylko 21 proc. Sondaż wykazał również, że starsi Brytyjczycy (powyżej 65 lat) popierają rodzinę królewską w o wiele większym stopniu (55 proc.) niż młodzi (15 proc.), którzy o wiele większą sympatię czują do Sussexów. Niemniej jednak najbardziej popularnym członkiem rodziny królewskiej wciąż pozostaje Elżbieta II, co zapewne jest jednym z powodów, dla których ani Meghan, ani Harry nie zaatakowali jej osobiście w swoim wywiadzie. To na niej opiera się monarchia brytyjska. Ale co będzie, gdy w końcu odejdzie, obecnie nikt nie jest w stanie przewidzieć.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock

Polityczny zamach stanu prezydent Mołdawii

eprasa.pl 1b410a6e1a

Po tym, co przy unijnym błogosławieństwie zrobiła ostatnio Maia Sandu, nikt już w Mołdawii nie będzie traktować serio ani ustroju parlamentarnego, ani reguł dyktowanych przez konstytucję

JAN ROKITA

Na początek kompletnie zwariowane ćwiczenie z wyobraźni politycznej. Bez niego bowiem trudno pojąć surrealistyczną grę, jaka właśnie toczy się w Mołdawii – lub raczej o Mołdawię.

Wyobraźmy więc sobie Polskę jesienią roku 2023, po następnych wyborach do Sejmu. I załóżmy, że wygrała je centrolewica pod przywództwem Szymona Hołowni. Jednak prezydent Andrzej Duda w żaden sposób nie zamierza oddać władzy nowej większości. Co więc czyni? Najpierw powołuje świeżo wybranego posła Daniela Obajtka na premiera, apelując zarazem do posłów PiS, aby tę propozycję odrzucili, gdyż takim fortelem otworzą mu drogę do rozwiązania Sejmu. PiS idzie za tą radą i Obajtek nie dostaje w Sejmie ani jednego głosu.

Ale teraz do Dużego Pałacu zgłasza się Hołownia, przedstawiając listę 250 posłów deklarujących swymi podpisami poparcie dla jego kandydatury na szefa rządu. Duda na to, że podpisy i sejmowa większość mało go obchodzą, bo i tak nie odda władzy lewicy, którą tworzą niegodziwcy i złodzieje. I że poczeka jeszcze chwilę, by minęły trzy miesiące bez rządu, a wtedy i tak ogłosi usunięcie Sejmu niezdolnego do skutecznego wyłonienia władzy. Przeciwko poczynaniom Dudy jednoznacznie występuje Trybunał Konstytucyjny pod wodzą sędzi Julii Przyłębskiej. Ale sytuację zmienia przybycie do Warszawy szefa Rady Europejskiej Charlesa Michela (pełniącego jeszcze swą drugą kadencję), który deklaruje, iż Unia Europejska stoi murem za decyzjami Dudy, a Hołowni dopuścić do władzy w żadnym razie nie wolno. Jeszcze unijny ambasador dołącza swoje trzy grosze, poświadczając, iż jemu również wiadomo, że wśród posłów podpisanej pod Hołownią sejmowej większości znajdują się złodzieje.

BEZPRAWNE METODY MAI SANDU

Niemożliwe? Oczywiście więcej niż niemożliwe: zwariowane i surrealistyczne. Ale tylko w Polsce, a nie w Mołdawii. W tej małej i zapóźnionej w rozwoju postsowieckiej republice dokładnie takie zdarzenia miały miejsce w lutym 2021 r. Tyle tylko że ich protagonistą nie jest konserwatywny prezydent Polski, lecz ulubienica Brukseli – liberalna prezydent Mołdawii 49-letnia Maia Sandu. Posłem Obajtkiem z naszego ćwiczenia z wyobraźni jest partyjna koleżanka pani prezydent – 43-letnia Natalia Gavriliţa (wiceszefowa liberałów), niedoszłym premierem Hołownią jest zaś również kobieta, tyle że z wrogiej Sandu filorosyjskiej partii socjalistycznej – 40-letnia Mariana Durleşteanu (była minister finansów i ambasador w Londynie).

Najzupełniej poprawna jest analogia z polskim Trybunałem Konstytucyjnym, gdyż w Kiszyniowie z zarzutem łamania konstytucji przez Sandu wystąpili sędziowie znani z sympatii dla partii liberalnej i posadzeni na swych krzesłach niedawno, po czystce przeprowadzonej w tamtejszym trybunale. A już absolutnie najprawdziwszy jest Charles Michel, który 28 lutego wylądował w Kiszyniowie, aby w imieniu Unii wręczyć pani prezydent bukiet różowych kwiatów, ośmielając ją i zachęcając zarazem, by żadną miarą nie pozwoliła na stworzenie rządu przez większość parlamentarną. A żeby dopełnić miary dziejącej się groteski, Michel bez zmrużenia oka zastrzegł przy tym, iż polityczne wsparcie Unii dla poczynań Sandu „jest związane ze ścisłymi uwarunkowaniami dotyczącymi praworządności i standardów demokratycznych" (cytuję za portalem Politico, bo początkowo sam nie mogłem w to uwierzyć). No cóż, niekiedy w polityce tak się zdarza, że mężowie stanu nie są w stanie pozbyć się swoistego sarkastycznego poczucia humoru.

Z perspektywy praworządności Sandu próbuje przeprowadzić pokojowy zamach stanu, pozaprawnymi metodami odsuwając od władzy parlamentarną większość. Jednak ten obraz trzeba uzupełnić o dodatkowe okoliczności, które rozjaśniają motywy Sandu i jej europejskich patronów. Sandu została dopiero co – w listopadzie 2020 r. – wybrana na urząd głowy państwa, pokonując w głosowaniu powszechnym lidera prorosyjskiej lewicy – byłego prezydenta państwa 46-letniego Igora Dodona. Zwycięstwo liberalnej kandydatki było wyraźne, uzyskała ona 58 proc. głosów, jej konkurent zaś tylko 42 proc.

W trakcie zwycięskiej dla siebie kampanii Sandu obiecała przede wszystkim pokonanie korupcji (czyli rzecz w Mołdawii niewykonalną), a pierwszym ku temu krokiem miałoby być rozwiązanie obecnego parlamentu, zdominowanego przez lewicę. Ten postulat ma duże społeczne poparcie (w granicach 2/3), a partia liberalna, której Sandu jest faktyczną liderką, zdobyłaby mniej więcej dziesięciomandatową przewagę nad socjalistami, gdyby wybory odbyły się teraz. Rywal Sandu – Igor Dodon – świadom takich społecznych nastrojów nie kwestionuje samej idei przyspieszonych

eprasa.pl 1b410a6e1a

wyborów, ale w praktyce próbuje je choć trochę opóźnić, licząc na to, że Sandu swoimi bezprawnymi posunięciami na tyle się skompromituje, że do czasu wyborów jej partia liberalna utraci obecną sondażową przewagę.

Okoliczność druga to geopolityka. Do 2019 r. Mołdawią rządził potężny oligarcha Władimir Płachotniuk, który z jednej strony ugruntował na poły mafijny charakter państwa, z drugiej jednak był ostatnim przywódcą zdolnym do zapewnienia Mołdawii rzeczywistej suwerenności. Zaprzyjaźniony z przywódcami Turcji i Ukrainy, doprowadził do realnego wydobycia się kraju spod politycznej, wojskowej i gospodarczej kontroli Kremla. Jednak latem 2019 r. dyplomacje USA i Unii Europejskiej wsparły Rosję w skutecznym obaleniu Płachotniuka i zmuszeniu go do emigracji. Pod presją wysłanników Brukseli i Waszyngtonu mołdawscy liberałowie zostali szantażem zmuszeni do sojuszu z Dodonem, co wkrótce zakończyło się (jak łatwo było przewidzieć) ich klęską i powrotem kraju pod nadzór Kremla.

W wyborach prezydenckich 2020 r. Sandu – jako kandydatka liberałów – została otwarcie wsparta przez szefową niemieckiej chadecji Annegret Kramp-Karrenbauer, a także przez Donalda Tuska. W odpowiedzi Władimir Putin wygłosił apel do mieszkańców Mołdawii, prosząc ich o wyborcze poparcie Dodona. Zarówno Unia, jak i Ameryka mają niejakie zobowiązania wobec mołdawskich liberałów, których dwa lata temu nie tylko wystawili na porażkę, ale także wespół z Rosją zagrali Mołdawią jak swoim protektoratem. Do jakiegoś stopnia obecna misja Michela w Kiszyniowie próbuje przełamać fatalne geopolityczne skutki akcji sprzed dwóch lat.

POLITYCZNA GRA SZCZEPIONKAMI PRZECIW COVID-19

Ofiarą geopolityki padło również teraz zdrowie Mołdawian. Lewicowa większość parlamentarna i liberalna pani prezydent prowadzą bowiem batalię na śmierć i życie o zablokowanie dostępu dla niepoprawnej geopolitycznie (z perspektywy każdej ze stron) szczepionki przeciw wirusowi COVID-19. Dodon próbował skłonić lekarzy, aby odmówili wykonywania szczepień angielsko-szwedzką Astrą-Zeneką, co częściowo mu się udało, gdyż samorząd lekarski w tradycyjnie prorosyjskiej prowincji Gagauzja zabronił używania europejskiej szczepionki udostępnionej Mołdawii przez rząd Rumunii. W odwecie zatem Sandu zakazała używania rosyjskiej szczepionki Sputnik V w publicznej ochronie zdrowia, co oznacza, że można się nią zaszczepić jedynie za spore (jak na kieszeń przeciętnego Mołdawianina) pieniądze, w prywatnych lecznicach. Sytuację lewicy komplikuje to, że (przynajmniej do chwili kiedy to piszę) 200 tys. szczepionek rosyjskich zostało dopiero obiecanych przez Moskwę, podczas gdy dostawa rumuńska jest już faktycznie dostępna dla Mołdawian. W geopolityce szczepionek Sandu jak na razie zatem wyprzedza Dodona.

W wyborach prezydenckich 2020 r. Sandu – jako kandydatka liberałów – została otwarcie wsparta przez szefową niemieckiej chadecji Annegret Kramp-Karrenbauer, a także przez Donalda Tuska

POD PARASOLEM UNII EUROPEJSKIEJ

W szerszej perspektywie można zrozumieć, z jakich powodów prounijna liberałka Maia Sandu z taką polityczną zaciętością odmawia uznania konstytucyjnych reguł ustroju, skoro przyniosłyby one doraźny sukces jej politycznym wrogom. Nie odważyłaby się zapewne na to, gdyby nie tak bezceremonialne wsparcie Unii dla jej próby antykonstytucyjnego zamachu. Ostra konfrontacja polityczna w Kiszyniowie zapewne potrwa jeszcze jakiś czas. I wcześniej czy później wynikną z niej wybory parlamentarne, które i tak w żaden sposób owej konfrontacji nie zakończą. Od czasu upadku Płachotniuka Mołdawia nie jest bowiem państwem prowadzącym suwerenną politykę, a jej polityczni liderzy to po prostu narzędzia w rękach Kremla i Brukseli. Samo zaś państwo jest zbyt słabe i zbyt przeżarte stosunkami mafijnymi, aby jego ustrój czy praworządność miały budzić respekt u któregoś z tych mocodawców.

Dwa wnioski z tych dziwnych zdarzeń już dziś jednak nie budzą wątpliwości. Po tym, co przy unijnym błogosławieństwie zrobiła ostatnio Maia Sandu, nikt już w Mołdawii nie będzie traktować serio ani ustroju parlamentarnego, ani reguł dyktowanych przez jakkolwiek brzmiącą konstytucję. W tym sensie zarówno Sandu, jak i wspierająca ją Unia przyłożyły rękę do trwałej destrukcji i tak słabego ładu demokratyczno-liberalnego w Mołdawii, zapewne zresztą zupełnie wbrew swym intencjom.

Drugi wniosek dotyczy UE, a ściślej rzecz biorąc, politycznego języka używanego przez najwyższych funkcjonariuszy unijnych. Im bardziej z jakichś racji politycznych Unia angażuje się przeciw praworządności i konstytucji jakiegoś kraju, tym mocniej eksponuje slogany o „ścisłych standardach praworządności i demokracji" (jak Michel w Kiszyniowie). Można zrozumieć, że interesy polityczne Unii wymagają czasem zlekceważenia prawa i demokracji, w imię ważniejszych celów politycznych, tak jak dzieje się to teraz w Mołdawii. Tylko czy naprawdę właśnie wtedy należy najgłośniej i z największym namaszczeniem głosić ów pryncypializm zasad, wywołując efekt surrealistycznej politycznej groteski?

eprasa.pl 1b410a6e1a

Krajobraz po bitwie

Od wyborów na Białorusi z 9 sierpnia 2020 r. minęło już ponad siedem miesięcy. To okres, który pozwala na pewne podsumowania, niezależnie od tego, co dalej będzie się działo. Po rozlewie rzeka polityczna wróciła do starego koryta. W znacznej mierze stało się tak za sprawą milczącej i neutralnej większości, często nazywanej „bagnem"

Powstanie się nie udało. Co gorsza, bardziej przypominało chaotyczny bunt ludowy. Brak planu i medialnej obudowy, przypadkowi liderzy nieprzygotowani na walkę bez zasad, co świadczyć może w najlepszym razie o ich politycznej naiwności.

Najbardziej boli jednak to, że swoją naiwnością polityczną porwali tłumy, które dziś płacą drogo za manifestację swoich poglądów. Niektórzy nawet życiem, inni długimi wyrokami w więzieniach. A cel wydaje się dalej, niż był przed sierpniem 2020 r.

Przestrzeń wolności na Białorusi, chociaż była zawężona, została sprowadzona do absolutnego minimum. Ataki na niewinne przejawy solidarności w postaci wstążek lub czytania białoruskich książek w wagonach kolejowych, pacyfikacja prywatnych imprez, choćby palenia marzanny w kolorach flagi państwowej Republiki Białorusi, to wszystko, co trzeba wiedzieć o obecnym zakresie opresji.

ZŁUDZENIE WIĘKSZOŚCI

W okresie „spokojnego Łukaszenki" pole wolności dało się rozszerzyć w takim stopniu, że na niwie kultury można było robić praktycznie wszystko bez ostentacji i epatowania. Książki „nieprawomyślnych" pisarzy Marcinowicza i Horwata leżały na regałach państwowych księgarni, Opera Narodowa pokazywała „Witolda" – panegiryk na cześć księcia litewskiego, stawiano pomniki Giedymina i Olgierda, działały rozmaite centra i przestrzenie aktywności społecznej, w których odbywały się liczne spotkania. Sklep Symbal.by bez problemu sprzedawał symbolikę w kolorach biało-czerwonych, a Wiktar Babaryka sponsorował wydarzenia kulturalne.

Teraz na jakiś czas można o tym wszystkim zapomnieć. Myślę, że głównym złudzeniem mas, bo niesłusznie byłoby szukać źródeł ubiegłorocznych protestów tylko w działaniach liderów, stało się przeświadczenie, że jest nas większość. Bez wątpienia sprzyjało temu powstawanie rozmaitych baniek w mediach społecznościowych, gdzie jaskrawą tendencją jest zawężanie koła znajomych do osób, które mają identyczne upodobania i poglądy, oraz banowanie tych nielicznych, z którymi się nie zgadzamy.

Nowe pokolenie Białorusinów nabrało się na tę socjotechnikę, która stworzyła przed nimi iluzoryczny obraz, tzw. 3 proc. do 97 proc. – znany mem kampanii wyborczej 2020 r., mający świad-

eprasa.pl 1b410a6e1a

Fot. qwret/Shutterstock.com

czyć o poparciu dla Łukaszenki i jego przeciwników. Nikt nie chciał zdać sobie sprawy z tego, że realny stosunek sił może rażąco się nie zgadzać z propagandową narracją opozycji, przy czym nawet niekoniecznie na korzyść obecnego przywódcy, lecz przynajmniej świadczyć o wciąż jeszcze znaczącym poparciu dla zachowania status quo.

Koniec końców, po rozlewie rzeka polityczna wróciła do starego koryta. W znacznej mierze stało się tak za sprawą milczącej i neutralnej większości, często nazywanej „bagnem". Nie zmienia to faktu, że to „bagno" swoim brakiem działania po tej lub tamtej stronie zaznaczyło niedwuznacznie swoją pozycję i nawet konkretne postulaty polityczne.

NIEUFNY LUD

Przede wszystkim takim postulatem jest „Starego nie ruszyć, nowego nie wprowadzać", powtarzając znane hasło księcia Giedymina. Dla milczącej większości jest jasne, że mimo iż system gospodarczy obiektywnie jest niewydolny, zmiana bije bezpośrednio w ich interesy. Jeśli państwo chce dopłacać do pensji, to niech to robi dalej, bo co zrobimy, jak system się załamie, przecież mamy na głowie rodziny i kredyty – tak myślą.

I nic tu nie pomogą zapewnienia nowych działaczy opozycji, że mają cudowny plan restrukturyzacji dużych białoruskich przedsiębiorstw. Jest jasne, że po transformacji czeka je los mniej więcej taki, jak polskich ZPC Ursus, FSO czy PZL Mielec. A to wiąże się bez wątpienia z masowymi zwolnieniami. Dzisiejsi robotnicy dużych białoruskich przedsiębiorstw są tego świadomi, dlatego nie kwapią się do strajku generalnego, który naprawdę mógłby zagrozić reżimowi.

Milcząca większość rozumie, że transformacja ustrojowa jest bardzo kosztownym przedsięwzięciem, a jej sukces wcale nie jest przesądzony. Wie też, że koszty tej transformacji najprawdopodobniej spadną na nią. Pięknie brzmi narracja: otwarta gospodarka zrównoważy popyt i podaż na rynku pracy, w okresie przejściowym państwo zagwarantuje szkolenia oraz zasiłki i wszystko się uda. Tylko że lud białoruski jest bardzo nieufny i w takie perspektywy nie wierzy. Raczej oczekuje, że każda transformacja przynosi chaos i duże bezrobocie, z którego do dobrobytu prowadzi długa droga.

Jak już zaznaczałem, reakcja milczącej większości na narrację nowej opozycji nie oznacza, że system zbudowany przez Łukaszenkę jest stabilny. Jego chwianie się jest zauważalne i stało się bardzo ważnym czynnikiem niepokojów społecznych. Większość sądzi jednak, że teraz jest nadal lepiej, niż być mogło. Tylko absolutna niewydolność systemu, przy której rozpadłby się on z dnia na dzień, mogła doprowadzić do zmian na najwyższym szczeblu władzy. Ale – jak widzimy – do tego nie doszło.

WYRAFINOWANA GRA ROSJI

Rosja, która jest głównym „dobrodziejem" systemu białoruskiego, chciałaby zmian, ale takich, które nie pociągną za sobą znacznych kosztów. Z jednej strony nie jest dla niej wygodna dalsza konserwacja systemu łukaszenkowskiego, ale z drugiej jeszcze bardziej niebezpieczny scenariusz to zmiana niekontrolowana, po której nie zostanie zapewniona ciągłość sojuszu militarnego, a na czele Białorusi staną osoby, na które Kreml nie będzie mógł wywrzeć bezpośredniego wpływu.

Dlatego działania Rosji na tym etapie są bardzo ostrożne. Przyjęta taktyka koncentruje się na niezbędnym wsparciu dla funkcjonowania białoruskiego reżimu, ale bez „rodzynek". To wsparcie jest połączone z presją na Łukaszenkę w kwestiach kardynalnych dla rosyjskiej kontroli: dotyczy najważniejszych przedsiębiorstw, współpracy militarnej, szerzenia ideologii „ruskiego mira". Ale nawet ta presja ma swoje ograniczenia: nie może doprowadzić do publicznego upokorzenia Łukaszenki, co zostałoby odebrane jako absolutna kapitulacja. Tak więc kroki mają być stawiane powoli i niezauważalnie dla nieprzychylnych mediów i społeczeństwa.

Węzłem niezgody między Białorusią i Rosją jest także uwięzienie Wiktora Babaryki. Rosja chciałaby jego uwolnienia przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, by pokazać, że swoich się nie opuszcza i stawianie na Rosję ma sens. Po drugie, by dać Babaryce czas na zbudowanie własnego ruchu politycznego, który miałby być zalążkiem przyszłej partii mającej zabezpieczać interesy rosyjskie po odejściu Aleksandra Łukaszenki.

JESZCZE NIE TERAZ

W świetle tych informacji niedawne oświadczenie Swiatłany Cichanouskiej, że Łukaszenka ma odejść w wyniku wiosennych protestów, jest nierozsądne, bo wielce nieprawdopodobne. W tym momencie Rosja jest absolutnie nieprzygotowana na zmianę. Uwięzienie Nawalnego, niepokoje wewnętrzne – chociaż nie tak potężne jak na Białorusi – tworzą sytuację, w której Kreml nie może otwierać „frontu białoruskiego". Także alternatywne wobec Łukaszenki siły prorosyjskie na Białorusi w wyniku radykalnego zawężenia pola politycznego w kraju nie były w stanie przygotować się na zmianę władzy. W takiej sytuacji nie zostaje nic innego, jak pozostawić na razie Łukaszenkę w spokoju, chociaż na krótszej smyczy.

z Mińska
Aleksander Stralcov-Karwacki

eprasa.pl 1b410a6e1a

Papież Franciszek odprawia modlitwę w intencji ofiar wojny na gruzach kościoła w Mosulu, 7 marca 2021 r.

eprasa.pl

Historyczna pielgrzymka

Dla jednych głównym punktem tej pielgrzymki było spotkanie z duchowym przedstawicielem świata muzułmańskiego. Dla innych wizyty u chrześcijan i podtrzymanie ich na duchu w tym arcytrudnym dla nich rejonie świata. Jeszcze inni patrzą na tę historyczną wizytę przez pryzmat bezpieczeństwa: w trakcie pielgrzymki nie doszło do żadnego incydentu. To także spory sukces

To wcale nie było takie oczywiste. Wręcz przeciwnie. Z szacunków wynika, że w Iraku i sąsiadującej Syrii wciąż może żyć nawet 10 tys. bojowników spod znaku ISIS. Eksperci na wiele dni przed historyczną, bo pierwszą, pielgrzymką głowy Kościoła katolickiego do Iraku spodziewali się, że w trakcie wizyty może dojść na przykład do zamachu, którego zadaniem będzie zwrócenie oczu całego świata na tragedię i tym samym odwrócenie ich od pielgrzymki i jej przesłania. Na dwa dni przed wizytą rakietami została zaatakowana baza wojskowa w prowincji Anbar. W efekcie jedna osoba zmarła na zawał. To mogła być prowokacja, której zadaniem było wystraszenie Ojca Świętego i zmuszenie go do odwołania wizyty. Tak się nie stało. Dwa dni później samolot z papieżem Franciszkiem na pokładzie wylądował w Bagdadzie.

POKÓJ I POJEDNANIE

Bez wątpienia właśnie takie było przesłanie tej pielgrzymki. O pokój i pojednanie papież Franciszek na irackiej ziemi apelował niemal na każdym kroku, a odwiedził przecież miejsca symboliczne i dla chrześcijan, i dla muzułmanów. – Papież chce powiedzieć: chcę, by tutaj był pokój, chcę, by tutaj była zgoda. Dlatego spotkał się i z irackimi politykami i z przedstawicielami muzułmanów – uważa ks. prof. Józef Kloch z Uniwersytetu im. kard. Stefana Wyszyńskiego.

Z wielkim ajatollahem Alim as-Sistanim papież Franciszek spotkał się w Nadżafie, czyli miejscu świętym dla szyitów. As-Sistani jest wymieniany jako jedna z najbardziej wpływowych osób w życiu publicznym w Iraku.

Dwa dni później, gdy Franciszek wracał już do Watykanu, na pokładzie samolotu tak relacjonował dziennikarzom to kurtuazyjne, trwające trzy kwadranse spotkanie: „Był pełen szacunku podczas spotkania. Czułem się zaszczycony. Podczas powitania nigdy nie wstaje, ale wstał, aby mnie powitać, i to dwa razy. Człowiek bardzo pokorny i mądry. To spotkanie dobrze zrobiło mojej duszy" – opowiadał papież Franciszek. Tuż po wizycie Ojca Świętego w Nadżafie pojawiła się informacja, że już niedługo delegacja szyitów pojedzie do Watykanu, aby kontynuować dialog po spotkaniu Franciszka z as-Sistanim. Trudno więc nie traktować tego jako bardzo konkretny efekt pielgrzymki papieża do Iraku.

Franciszek wziął również udział w spotkaniu międzyreligijnym w Ur, biblijnym miejscu narodzin Abrahama, które łączy przecież trzy religie: chrześcijaństwo, judaizm i islam. Ogromne wrażenie zrobiły na papieżu wizyty w miejscach, w których chrześcijanie byli barbarzyńsko prześladowani przez bojowników tzw. Państwa Islamskiego.

Reklama | 35/0221/F

Fot. AP Photo/Andrew Medichin

eprasa.pl 1b410a6e1a

OBYWATELE TRZECIEJ KATEGORII

Ogłoszone w 2017 r. zwycięstwo z tzw. Państwem Islamskim wcale nie oznacza, że w Iraku, a tym bardziej w pogrążonej w wojnie Syrii, nie ma bojowników ISIS. Wręcz przeciwnie. Szacuje się, że w tych dwóch państwach (więcej w Syrii) wciąż może się znajdować nawet 10 tys. dżihadystów. Część z nich jest aktywnych, a inni czekają w „uśpieniu" na lepsze dla nich czasy. – Sporo takich osób może być w Mosulu – mówi mi wolontariusz z organizacji wspierającej w Iraku chrześcijan. – Jak to się dzieje, że wiecie o ich istnieniu i nikt w żaden sposób na to nie reaguje – pytam. – Na papierze wszystko się zgadza. Po wojnie kupili sobie dokumenty, które zaświadczają, że nigdy nie mieli nic wspólnego z ISIS. To kłamstwo, ale w zdestabilizowanym wojną Iraku takie zaświadczenia od skorumpowanej policji można było kupić za ok. 500 dol. – wyjaśnia mi wolontariusz.

Jak dziś wygląda sytuacja chrześcijan w Iraku? – Jesteś obywatelem trzeciej kategorii. Nie możesz zdobyć pracy, masz kłopoty, jeśli chodzi o edukację, nie możesz spokojnie się poruszać, jesteś w pewnym sensie szantażowany, bo jesteś chrześcijaninem – opowiada ks. Andrzej Halemba z Pomocy Kościołowi w Potrzebie, który od lat wspiera chrześcijan w Iraku. Warto zaznaczyć, bo to być może najlepiej obrazuje historię ostatnich lat, że w 2003 r. w Iraku mieszkało ok. 1,5 mln chrześcijan, dziś to maksymalnie 250 tys. osób. – Gdy do jakiejś miejscowości wpadali bojownicy ISIS, chrześcijanie mieli tylko taki wybór: albo przejść na islam, albo płacić podatek, na który mało kogo było stać, albo iść na tak zwany miecz, czyli zginąć. Setki tysięcy chrześcijan na zawsze uciekło wtedy z Iraku – opowiada jeden z mieszkańców Karakosz, miasta na północy kraju, przez jakiś czas kontrolowanego przez ISIS. Ci, którzy uciekli, mieszkają dziś głównie na innych kontynentach.

Mosul i Karakosz – to dwa miejsca, które podczas wojny zajęli dżihadyści. Dwie miejscowości, w których chrześcijanie byli mordowani i wypędzani, a zabytki i kościoły niszczone. To w końcu dwa miasta, które podczas pielgrzymki odwiedził papież Franciszek. – W Mosulu zatrzymałem się przed zniszczonym kościołem i po prostu brakło mi słów. To jest coś, w co nie możesz uwierzyć – relacjonował dziennikarzom Franciszek, który w Mosulu modlił się za ofiary wojny. Wcześniej był w Karakosz, do którego również udało nam się dotrzeć. Na miejscu o sytuacji opowiadał nam Fadi, miejscowy inżynier, który pamięta, jak miasto zaatakowali bojownicy ISIS. – Rano uderzyli bombami, które zabiły kobietę i dwoje dzieci, więc ludzie byli w szoku, byli wystraszeni. Po tym, co się wydarzyło, uciekli do Kurdystanu – opowiada, nie kryjąc emocji, Fadi.

> Franciszek zrobił to, o czym marzył Jan Paweł II. Bardzo chciał złożyć wizytę w Iraku w 2000 r. To miała być pierwsza papieska pielgrzymka nowego tysiąclecia. Wówczas nie zgodził się na to dyktator Saddam Husajn

POLSKA POMAGA

Dziś w Karakosz można zobaczyć jeszcze skutki wojny, ale 80 proc. miasta udało się już odbudować. Mieszkańcy są najbardziej dumni z pięknego kościoła, który spalili dżihadyści. – W świątyni urządzili sobie nawet strzelnicę do ćwiczeń dla nowych bojowników – opowiada Fadi.

Odbudowę udało się rozpocząć w 2019 r. dzięki wsparciu, jakie popłynęło ze świata. Także od Polaków, którzy nie po raz pierwszy okazali się hojni wobec prześladowanych. Za pośrednictwem Pomocy Kościołowi w Potrzebie udało się nie tylko odbudować świątynie zniszczone przez dżihadystów w wielu irackich miastach. Także domy, szkoły tymczasowe, stołówki dla potrzebujących. – Niezmiernie ważna jest edukacja. Jednym z projektów, który będziemy wspierać, a który ma już swoje zaczątki w Irbilu, jest katolicki uniwersytet. Chcemy kształcić elity: lekarzy, inżynierów, nauczycieli – opowiada ks. prof. Waldemar Cisło, szef polskiej sekcji Pomocy Kościołowi w Potrzebie. – Łącznie udało się już zrealizować w Iraku projekty warte 50 mln euro. Irak pod tym względem jest rekordowy – dodaje ks. Andrzej Halemba.

JAN PAWEŁ II MARZYŁ O IRAKU

Punktem kulminacyjnym historycznej pielgrzymki Franciszka była msza święta na stadionie w Irbilu, czyli stolicy irackiego Kurdystanu. Na obiekcie mogącym pomieścić prawie 30 tys. osób mniej więcej połowa miejsc była zajęta. Stadion wypełniłby się pewnie po brzegi, ale nie było to możliwe ze względu na pandemię koronawirusa. Także pod tym względem była to historyczna pielgrzymka. Pierwsza Franciszka od wybuchu pandemii. – To był dla mnie powrót do życia po miesiącach więzienia z powodu pandemii – przyznał później w rozmowie z dziennikarzami.

Bez wątpienia ta wizyta zapisze się na kartach historii z kilku powodów. Pierwsza pielgrzymka głowy Kościoła katolickiego do Iraku, pierwsza papieża Franciszka od czasu wybuchu pandemii. Jako pielgrzymka, która przebiegła bardzo spokojnie, mimo że Irak sam w sobie wciąż jest miejscem niespokojnym i niestabilnym.

W końcu Franciszek dokonał tego, o czym marzył Jan Paweł II. Bardzo chciał złożyć wizytę w Iraku w 2000 r. To miała być pierwsza papieska pielgrzymka nowego tysiąclecia. Wówczas nie zgodził się na to dyktator Saddam Husajn. Dziś Irak jest już w całkowicie innej, choć także niełatwej sytuacji. Historyczną pielgrzymkę udało się zorganizować. Teraz warto obserwować, czy dzięki niej zmieni się sytuacja chrześcijan w tej części świata.

Marcin Tulicki
dziennikarz „Wiadomości" TVP1, z Iraku

eprasa.pl 1b410a6e1a

Polacy poza horyzontem

SIECI

odc. 2

Wśród Indian i Aborygenów

PARTNERZY DODATKU

KGHM POLSKA MIEDŹ

ORLEN

eprasa.pl 1b410a6e1a

W dziesięć lat dookoła świata

Mniej więcej w 1817 r. Strzelecki zakochał się w Aleksandrze Turno. Nie było w tym nic szczególnego. Był wówczas przystojnym, 20-letnim hulaką, który „celował w podtrzymywaniu ochoczej zabawy" – jak dyplomatycznie ujmowała to spokrewniona z nim Narcyza Żmichowska. Ale był też kompletnie spłukany, a w dodatku najprawdopodobniej musiał się ukrywać po dezercji z armii pruskiej. Ona zaś była piękną dziewczyną o włoskich korzeniach, posiadającą niemały majątek w Wielkopolsce.

Ojciec panny Turno, Adam, miał zwyczaj wywodzić swój ród od etruskiego króla Turnusa. Na pewno jednak od średniowiecza rodzina związana była z Polską. Żmichowska zapewnia, że „rad widywał Strzeleckiego u siebie". Być może jako kompana do wspólnej zabawy lub po prostu uroczego młodzieńca – z pewnością jednak nie wiązał z nim żadnych poważniejszych planów. Gdy bowiem Strzelecki oświadczył się Aleksandrze, zwanej też Adyną, zdecydowanie odmówił mu jej ręki.

Dla obojga młodych był to poważny cios. Zdecydowali się więc wspólnie na rozwiązanie bardzo charakterystyczne dla tej epoki – czyli porwanie. Miało ono nastąpić, jak plotkowała dalej Żmichowska, w „dębinie za parkiem", w majątku Objezierze. Rzecz jednak zaplanowano tak nieporadnie, że ojciec niedoszłej „ofiary" wszystkiego się domyślił, w odpowiedniej chwili interweniował i Edmund Paweł Strzelecki odjechał z Objezierza sam, w dodatku w dużym pośpiechu.

Nie tylko objechał cały świat, ale też wszędzie, gdzie się pojawiał, przeprowadzał pionierskie badania geologiczne, klimatyczne i etnograficzne. W początkach XIX w. Paweł Edmund Strzelecki był jednym z najbardziej cenionych odkrywców Imperium Brytyjskiego

W życiu przyszłego podróżnika był to naprawdę ważny moment. Po pierwsze, wtedy właśnie doszedł do wniosku, że w rodzinnych stronach nic go już nie trzyma i nie ma żadnych przeszkód, by wyruszyć w świat. Po drugie, niesłabnące nawet po latach uczucie do Adyny sprawiło, że pisał do niej sporo, dzięki czemu do dziś posiadamy liczne i niezwykle barwne relacje z odwiedzanych przez niego egzotycznych i często dziewiczych ziem.

Ani ona, ani on nigdy nie założyli rodzin.

Papuga, małpka i Strzelecki

Tak naprawdę nie do końca wiadomo, co działo się ze Strzeleckim przez kilka kolejnych lat. Z pewnością bywał we Włoszech, gdzie poznał kolejną postać bardzo dla siebie znaczącą – Franciszka Sapiehę. „Nienawidził wszelkiej wystawności i etykiety, rzadko, mimojazdem tylko, przebywał w swoim przepysznym pałacu" – charakteryzowały magnata pamiętniki z epoki. Ale był też człowiekiem bardzo wykształconym i chętnie w naukę inwestującym – to z jego kieszeni w znacznej mierze utrzymywało się choćby słynne Liceum Krzemienieckie. Choć więc kpiono, że Sapieha „przywiózł sobie z Włoch papugę, małpkę i Strzeleckiego", można założyć, że pod wpływem protektora rozrastała się nie tylko sakiewka, ale i horyzonty przyszłego podróżnika.

Fot. Polona.pl

eprasa.pl 1b410a6e1a

Niezrównany popularyzator wiedzy o nauce polskiej Zbigniew Wójcik sugeruje, że po śmierci Sapiehy (w 1829 r.) przebywał w Paryżu, być może studiując geologię. „Nie tylko znał podstawy wiedzy z tego zakresu, lecz również posiadał umiejętności wykonywania analiz chemicznych kopalin, także w warunkach terenowych" – zauważał badacz. Natomiast w początkach lat 30. można było Strzeleckiego spotkać w Londynie.

Już mieszkając w Anglii, sporo podróżował i z wypraw tych spisywał drobiazgowe relacje, nawiązał też pierwsze kontakty naukowe – jak choćby podczas wycieczki do Szkocji czy na Wyspy Zielonego Przylądka. Prawdopodobnie stał się też postacią w Londynie dość popularną, skoro redaktorzy tygodnika „The Times Literary Supplement" sugerują, że był „jednym z tych świetnych cudzoziemców", którzy natchnęli Karola Dickensa do stworzenia postaci hrabiego Smorltorka w „Klubie Pickwicka". Dla Strzeleckiego było to jednak mało.

„Nie wiadomo, kiedy Strzelecki powziął plan wyruszenia w tę podróż, która stać się miała w rzeczywistości podróżą naokoło świata i czy zdawał sobie od pierwszej chwili sprawę z jej zasięgu, trasy, oczekujących go trudów... (...). Może traktował ją jako kontynuację swoich badań geologicznych rozpoczętych w Anglii, a świat jak wielkie laboratorium, w którym można zużytkować nabytą wiedzę" – zastanawiał się Wacław Słabczyński, autor jego biografii. Na pewno wiemy tyle, że 8 czerwca 1834 r. wsiadł w liverpoolskim porcie na statek płynący do Ameryki. Miał wówczas 37 lat. Przygoda jego życia właśnie się zaczynała.

Niewolnicy i Indianie

Początkowo nie miał chyba precyzyjnych planów, bo ruszył w podróż śladami swoich idoli: Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego. W liście do Adyny wspominał, że odwiedził Boston, Nowy Jork, Filadelfię, Baltimore, Waszyngton, Richmond i Charleston, a następnie udał się w kierunku Kanady. „Przez cały czas sporządzał mapy, szkice, dokonywał obserwacji geologicznych, notując wszystko starannie w swoim dzienniku" – mówił sto lat później prof. J.P. Coleman z nowojorskiego Uniwersytetu Columbia. Początkowo rzeczywiście zajmował się głównie geologią, ale właśnie w Kanadzie pierwszy raz rozszerzył zakres swoich badań. „Żyłem długo pomiędzy różnymi szczepami krajowców Kanady, Stanów Zjednoczonych, Kalifornii" – wspominał, dodając, że dość szczegółowo obserwował życie i zwyczaje plemion lokalnych Indian, jeszcze wówczas całkiem pierwotnych i nieprzetrzebionych przez białych osadników. Ale nie tylko. Już w Szkocji interesowała go ekonomia, a konkretnie wydajność gospodarstw rolnych i jakość produkowanej żywności, teraz zainteresowania te nabrały rozmachu. „Przeprowadzał analizy nad wyjałowieniem gleby i nad zawartością glutenu w pszenicy" – pisał Słabczyński o jego pobycie w Illinois.

Nie wiadomo, jak to osiągnął, ale i tu stał się szybko osobą dość znaną. Jeśli nie przesadzał w liście do Adyny, w każdym niemal mieście spotykał Polaków żyjących w wyjątkowo nędznych warunkach i interweniował w ich sprawie u prezydenta Jacksona, a nawet przemawiał w Kongresie. Wydaje się to jednak dość mało prawdopodobne. Niektórzy badacze sugerują, że rozmawiał nie z urzędującym prezydentem, lecz z jego poprzednikiem, słynącym z życzliwości wobec Polaków, Johnem Quincym Adamsem. Wrażliwość społeczna stanie się jednak cechą bardzo charakterystyczną dla jego działań i pism.

Kiedy w 1836 r. zdecydował się opuścić USA i rozpocząć penetrację Ameryki Południowej, pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, były nie minerały i wydajność upraw, lecz los czarnych niewolników. „Pióro wypada z ręki, twarz ukrywam ze wstydu i upokorzenia na myśl o klęskach spowodowanych przez występki moich bliźnich" – pisze z przerażeniem na widok rozładunku porwanych z Afryki i po wielotygodniowej podróży kompletnie zmaltretowanych czarnych niewolników. A właściwie tych nielicznych, którzy podróż przetrwali. Co prawda ta epoka dobiegała już końca, ale handel żywym towarem praktykowany był jeszcze długo – zwłaszcza w młodych państwach Ameryki Południowej, rządzonych przez nieliczących się przesadnie z prawem międzynarodowym dyktatorów. Tu, podobnie jak w Kanadzie, interesuje go także życie rdzennych plemion – nie tylko bada je pod względem etnograficznym, ale stara się także interweniować w sprawie poprawy warunków ich życia.

Nieustannie zmieniał miejsca pobytu. Z Brazylii dostał się do Argentyny, którą przemierzył w poprzek, a następnie przekroczył Andy i – dwa lata przed Ignacym Domeyką – zajmował się badaniami Chile. Z pewnością był w Ekwadorze i Salwadorze, najdłużej zatrzymał się w Meksyku, który badał blisko półtora roku.

Australijska kronika cudów

Kolejny etap jego podróży zawiódł go na wyspy Oceanii, gdzie znalazł się w 1838 r. Na pokładzie statku „Fly" zwiedził Markizy, następnie przebywał na Hawajach, gdzie badał największe wulkany świata. Był też na Tahiti.

Wszystko to jednak było wstępem, rodzajem aklimatyzacji, przed podjęciem szerszych badań Nowej Zelandii oraz Australii. Na pierwszej z nich zainteresował się głównie badaniami etnograficznymi lokalnego plemienia Maorów – był tu jednak zbyt krótko, by podjąć jakieś pogłębione prace. Wkrótce nadrobi to z nawiązką w Australii, której stanie się jednym z najwybitniejszych odkrywców. Pierwsze kolonie na kontynencie powstały zaledwie 50 lat wcześniej, jakiekolwiek osiedla europejskie znajdowały się wówczas w części południowo-wschodniej, większość kontynentu pozostawała zaś całkowicie dziewicza, penetrowana nieinwazyjnie co najwyżej przez Aborygenów.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Początkowo miał poważne obawy. Tak jak syberyjski Sachalin dla Rosjan, tak Australia dla Wielkiej Brytanii była po prostu więzieniem – miejscem zsyłki przestępców. „Tego wieczora, kiedy wylądowałem w Sydney, podjąłem wszelkie możliwe kroki ostrożności. Zostawiłem zegarek i portmonetkę na statku i uzbroiłem się w laskę" – wspominał. Był już wówczas znanym podróżnikiem, co bardzo ułatwiało mu załatwianie wszelkich spraw i organizowanie ekspedycji. „Jego sława jako podróżnika wyprzedziła go" – zauważał australijski autor J. Reynolds, co miało tłumaczyć entuzjastyczne przyjęcie Polaka przez gubernatora G. Gippsa, który zadeklarował pokrycie połowy lub nawet całości kosztów wyprawy. Zachęcony tym niemal natychmiast ruszył w teren, który wręcz oszołomił go jako badacza.

Jak wspominał: „Oglądany okiem geologa (kraj), przybrał od razu postać historycznej księgi, w której, wobec braku zabytków i zapisków ludzkich pokoleń, przyroda zapisała kronikę cudów (...). Przystąpiłem więc z zapałem do geologicznych badań Nowej Południowej Walii".

Odbył w sumie trzy wyprawy w głąb kontynentu. Przebadał gruntownie Wielkie Góry Wododziałowe, opisał Góry Błękitne, Góry Śnieżne, całą Tasmanię, w zasadzie odkrył te tereny, które w uznaniu dla sakiewki hojnego gubernatora nazwał Ziemią Grippsa... Brzmi to niby prosto, ale trzeba pamiętać, że wszystkie te obszary były wówczas całkowicie dzikie, trudno dostępne i pozbawione jakiejkolwiek infrastruktury, Strzelecki zaś był już jednak mężczyzną po czterdziestce i bynajmniej nie miał doświadczenia we wspinaczce wysokogórskiej. „Między grzbietami leżą bezdenne czeluście, głębokie, kręte wąwozy i grozę budzące przepaście. Wąskie mroczne i głębokie, te zdumiewające rozpadliny w łonie ziemi, zamknięte są olbrzymimi piaskowcowymi ścianami skalnymi, raz rozstępującymi się, to znów groźnie zwisającymi ponad mrocznym dnem jaru i jego ciemnymi topielami lub pienistymi nurtami" – opisywał codzienne widoki.

Tym razem jego badania były kompleksowe. Oprócz geologii zajął się fauną i florą, oprócz mineralogii – badał klimat i ustalał wysokości szczytów. A między Wellington i Bathurst znalazł złoto – co uznaje się za jedno z najważniejszych wydarzeń w dziejach Australii. W Górach Śnieżnych odkrył też pewien szczyt, który przypominał mu usypany całkiem niedawno, krakowski kopiec Kościuszki. Korzystając więc z prawa odkrywcy, ochrzcił to najwyższe australijskie wzniesienie Górą Kościuszki.

Strzelecki stanie się jednym z najwybitniejszych odkrywców Australii. Pierwsze kolonie na kontynencie powstały zaledwie 50 lat wcześniej

Koniec romansu

Kiedy w 1843 r. opuszczał Australię, cieszył się już międzynarodowym uznaniem odkrywcy i pioniera, a wysyłane przez niego do Europy kolekcje zasilały zbiory największych muzeów. To był dziewiąty rok jego podróży, która kosztowała go wiele wysiłku fizycznego. Sam określał wówczas swoje zdrowie jako „nadszarpnięte i zrujnowane" – i z tego też powodu postanowił powrócić do Europy.

Decyzja ta nie oznaczała jednak końca odkryć. Po drodze zaczepił o Wyspy Sundajskie, był na Jawie, Bali i Lomboku – wszędzie tam prowadził swoje standardowe badania, przy czym tutaj kładł duży nacisk na etnografię i lingwistykę pierwotnych plemion. Podobnie było na Timorze, Borneo i Filipinach. Zwykle badania te nikną w cieniu jego australijskich osiągnięć – w rzeczywistości są one do dziś żelaznym kanonem etnografii i religioznawstwa, tym cenniejszymi, że Strzelecki uchwycił jeszcze pierwotną strukturę tych ludów. Następnie przez Chiny i Indie dotarł jesienią 1843 r. do Europy.

Rzecz ciekawa, jedną z pierwszych jego czynności po wyokrętowaniu się w Londynie było skreślenie listu do Adyny Turno. Wiadomo, że padła propozycja małżeństwa, z jakiś powodów i tym razem nic z tego nie wyszło. Chcąc nie chcąc, Strzelecki pozostał więc kawalerem, co być może dobrze zrobiło jego naukowej aktywności. Wiele publikował, spisywał wyniki swoich badań, z czasem stał się jednym z najbardziej cenionych badaczy Imperium Brytyjskiego – wielokrotnie nagradzanym i chwalonym powszechnie, przez takie choćby sławy jak Karol Darwin. Na wysiłek podróży zdobył się jeszcze raz – nie była ona jednak daleka ani nie miała charakteru naukowego.

W połowie lat 40. XIX w. ludność Irlandii dziesiątkował tzw. Wielki Głód – potworna klęska nieurodzaju, połączona z wybuchającymi co i rusz epidemiami. W Strzeleckim znów odezwała się tak charakterystyczna dla niego żyłka filantropa i całkowicie zaangażował się w zwalczanie kataklizmu. Organizował zbiórki żywności i osobiście ją dostarczał, podobnie z lekarstwami. Nie mniejsze znaczenie miała także jego działalność publicystyczna w tej sprawie, a także konkretne rady dotyczące rozwiązania problemów rolniczych. Jak wprost określał to brytyjski autor P. Curwen: „Ocalił tysiące istnień ludzkich".

Mimo słabego stanu zdrowia Strzelecki żył jeszcze dość długo – zmarł w 1873 r., w wieku 76 lat. Adyna Turno przeżyła go zaledwie o pięć lat. Ciekawostką jest to, że oboje zabrała ta sama choroba: nowotwór umiejscowiony za uchem.

Wojciech Lada

Reklama | 54/0121/F

eprasa.pl 1b410a6e1a

stop cafe

ORLEN

BUDZI APETYT NA ŻYCIE

NOWOŚĆ

Twoje śniadanie na ciepło!

Dostępne na wybranych stacjach ORLEN, o ofertę zapytaj sprzedawcę.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Filomata po drugiej stronie świata

W marcu 1831 r. Domeyko zanotował: „Na umówiony dzień czekaliśmy tylko hasła i rozkazu z Wilna, a wnet mieli się zgromadzić ze wsi, z okolic szlacheckich i ze znajomszych dworów ochotnicy i łączyć się w trzy punkta (...) O dalszych planach powstania nie wiedziałem. Zamieszkały na wielkim gościńcu wileńskim winienem był przyjąć hasło i dalszym dowódcom je rozdać. Wyglądałem z Wilna posłańców: miałem na pogotowiu broń i konia; strzelby i pistolety pod pomostem w spichlerzu, proch w pustym ulu w dworskiej pasiece".

Zapisek ten mówi o wielu ciekawych rzeczach. Choćby o tym, że już w marcu istniały dość starannie opracowane plany powstania listopadowego i ludzie trwali w pełnej gotowości co najmniej przez dobrych kilka miesięcy. Ale informuje nas też, że Ignacy Domeyko – powszechnie już wówczas postrzegany jako erudyta i pierwszej wody intelektualista – miał jednocześnie naturę krewkiego rewolucjonisty, bez większego problemu sięgającego po karabin lub szablę. Życie ułoży mu się ostatecznie tak, że pracować będzie głównie głową. Ale ta druga natura sprawi, że do wszystkiego, czego się tknie, podchodzić będzie z niepospolitą wręcz energią.

W Polsce jego postać niknie nieco w cieniu wielkich przyjaciół – Adama Mickiewicza, Tomasza Zana i innych filomatów. Za to w Chile Ignacy Domeyko jest bohaterem narodowym. Od podstaw stworzył tam przemysł wydobywczy, system oświaty, a nawet meteorologię. Usiłował też ocalić co się dało z kultury tamtejszych Indian

Żegota w podziemiu

Na uniwersytecie wileńskim doskonale poznał nauki przyrodnicze. Szczególnie pociągały go jednak matematyka i historia naturalna Ziemi z naciskiem na mineralogię. Nauka musiała jednak poczekać. Podczas studiów zaangażował się w działalność Towarzystwa Filomatów, nawiasem mówiąc, jako bodaj najmłodszy. Tam też poznał Adama Mickiewicza, z którym zaprzyjaźnił się blisko, co z kolei zaowocowało tym, że Domeyko przeszedł do kanonu światowej literatury jako pierwowzór postaci Żegoty z trzeciej części „Dziadów". Zresztą istotnie przez przyjaciół nazywany był Żegotą.

Po wykryciu towarzystwa musiał odpokutować działalność patriotyczną. Dzięki wstawiennictwu rodziny uniknął co prawda zesłania, ale na kolejne sześć lat został uwiązany w rodzinnym majątku Zapole, gdzie ciążył na nim stały dozór policyjny. „Zatapiając się w świecie umysłowym, razem co chwila wywoływany byłem do świata zmysłowego, do ciągłych śledztw i inkwizycji" – wspominał później. Dla młodego, targanego temperamentem i wiecznie głodnego nowych doznań chłopaka, było to z pewnością bolesne, ale dla Zapola i jego mieszkańców z pewnością nie. Administrując majątkiem, Domeyko znacznie ograniczył pańszczyznę, założył szkołę dla chłopów, a także wspaniałą hodowlę koni. I być może dożyłby swoich dni jako wzorowy ziemian,

Fot. Polona.pl

eprasa.pl 1b410a6e1a

gdyby nie wybuch powstania listopadowego. Do oddziału Skrzyneckiego co prawda nie dotarł, ale wkrótce potem dołączył do gen. Dezyderego Chłapowskiego. I tu jednak nie powalczył zbyt długo – kampania litewska była w zasadzie z góry skazana na porażkę i po rozbiciu oddziałów wraz z niedobitkami Domeyko przekroczył granicę Prus. W tym momencie rozpoczął tułacze życie emigranta. Trudne, ale przynajmniej pozbawione kontroli rosyjskiej policji.

Apostoł nauki

Początkowo osiadł w Dreźnie, gdzie spotkał Mickiewicza. Były to beztroskie miesiące, w czasie których przyjaciele głównie podróżowali w malownicze zakątki Alp. To zapewne w tym momencie Domeyko ponownie zainteresował się geologią i mineralogią, bo wkrótce, po kolejnym okresie tułaczki, rozpoczął na tych kierunkach studia na paryskiej Sorbonie, w Collège de France i wreszcie w Szkole Górniczej. Nie było łatwo. Jak wspominał: „Za przyjazdem naszym do Paryża (...) żyliśmy oszczędnie w hoteliku Metz bez pozwolenia policji. Potem dano mi pozwolenie żołd emigrancki, ale Adam [Mickiewicz – przyp. aut.] się o to nie starał i nie miał żołdu; cierpiał częstokroć wielki niedostatek i nie mówiąc nikomu, zastawił Mont-de-Piété zegarek". Domeyko był z natury bardziej zaradny niż przyszły wieszcz, musiał też wykazywać się dużymi zdolnościami na studiach, skoro wkrótce został zatrudniony przy poszukiwaniu złóż minerałów w Alzacji, a w 1837 r. otrzymał propozycję prowadzenia wykładów w Coquimbo w Chile.

Każdy polski migrant w Europie czuł na plecach oddech Rosji. Tajne służby wszystkich państw podjęły w tym okresie ścisłą współpracę przy zwalczaniu ruchów rewolucyjnych, a Polacy cieszyli się wówczas zasłużoną opinią „producentów rewolucji" i „profesorów barykad". Domeyko nie zastanawiał się więc długo i po czteromiesięcznej podróży znalazł się w Ameryce Południowej. I właśnie w Chile znalazł drugą ojczyznę. Zaaklimatyzował się tu natychmiast. Na co dzień wykładał na uniwersytecie, ale każdą wolną chwilę poświęcał na wyprawy w głąb kraju. Odkrywając i badając złoża minerałów, składając projekty ich eksploatacji – w zasadzie tworząc tu podwaliny przemysłu górniczego. Tak opisywał swój zachwyt nad chilijską naturą: „Daleko ku Kordylierom widać ciągnące się wały, jakby wstęgi pomalowane, a dalej jeszcze rozmaitego kształtu kopuły i igły bielejące od śniegu i jakby kominy starożytnych wulkanów. Tu leżą zwaliska ogromnych, jak domy nasze runiowych kamieni, opodal poszczepiane góry, jakby walące się ściany nad przepaścią, a tuż poziome warstwy białych, jakby dziś złożonych muszli, na kilkaset stóp nad morzem; prawdziwa rozkosz dla geologa".

Był niezwykle pracowity, a efekty jego dokonań na tyle imponujące, że bardzo szybko docenił to rząd – najpierw mianując go głównym sędzią górniczym, a wkrótce potem przyznając obywatelstwo chilijskie. „Mało jest przykładów życia tak pracowitego, pełnego zaparcia siebie, tak zupełnie poświęconego nauczaniu i postępowi nauki. Pan Domeyko był więcej niż profesorem – był apostołem nauki w Chile" – odnotowano w jednej z rządowych laudacji.

Ale jednocześnie zyskiwał sławę na Starym Kontynencie. Wysłał do Paryża ok. 4 tys. znalezionych przez siebie minerałów, z których wszystkie były omawiane na posiedzeniach akademickich, a omówienia te regularnie publikowano. W latach 40. XIX w. zyskał już sławę o globalnym zasięgu. Tym bardziej że napisane przez niego podręczniki wydawane były na całym świecie i pozwalały wykształcić kolejne roczniki młodych geologów.

Podróż bez końca

Pierwotnie zamierzał po wypełnieniu kontraktu wrócić do Francji, skąd chciał obserwować wydarzenia w Polsce. Zwłaszcza wówczas, kiedy wybuch Wiosny Ludów znów wzbudził nadzieję na odzyskanie niepodległości. Ale od wyjazdu powstrzymywał go jednocześnie chilijski rząd i... serce. Pierwszego by może nie posłuchał, choć oferowano mu zaszczyty, stanowiska i pieniądze. Serce jednak przeważyło – Domeyko poślubił wkrótce ponad 30 lat młodszą Enriquettę. Został więc w Chile i zrobił dla tego kraju więcej niż jakikolwiek cudzoziemiec. Nie tylko przebadał go pod kątem geologicznym, ale stworzył również podstawy badań meteorologicznych, usprawnił rolnictwo, a także zreformował oświatę, co przyczyniło się do znacznego ożywienia intelektualnego, tego dość zacofanego wówczas państwa. „Mieszkam w moim laboratorium, gdzie niejedna północ zastaje mnie przy tyglu lub retorcie smażącego dziwnie ciekawe kruszce tutejsze. W dzień jestem z moimi uczniami; perorują po hiszpańsku o rzeczach, o których nikt tu przede mną nie wiedział" – zanotował kiedyś.

Na powrót zdecydował się dopiero w mocno już podeszłym wieku 82 lat. Wtedy się przekonał, jaką cieszy się sławą. Cała trasa jego przejazdu była jedną wielką fetą na jego cześć, która w Warszawie i Krakowie przemieniła się w tłumne manifestacje. Kiedy w końcu dotarł na Litwę, gdzie zamierzał osiąść w majątku rodziny, stwierdził, że mimo wieku wcale nie chce nigdzie osiadać. Zdążył jeszcze odwiedzić Paryż, we Włoszech wdrapać się na Wezuwiusza, nie wspominając o nieustannych wycieczkach po Małopolsce. Zmarł w 1889 r.

Ale nie całkiem. Oprócz wszystkich swoich badań naukowych przez całe życie był wybitnym społecznikiem o bardzo demokratycznych przekonaniach. Tak zapamiętano go również w Chile, gdzie starał się poprawić warunki życia Indian, a pamięć tę podsyciła jeszcze bardziej zmarła w 2007 r. wnuczka Ignacego i Enriquetty, Ana Domeyko Alamos de Salazar – wybitna działaczka na rzecz biedoty i emigrantów, zwłaszcza podczas II wojny światowej. Czuła też spory związek z Polską. Założyła m.in. Towarzystwo im. F. Chopina i zgrupowała wokół siebie całkiem liczną w Chile Polonię.

Wojciech Lada

eprasa.pl 1b410a6e1a

Traperzy znad Warty

Walczył z Indianami, samotnie eksplorował dzikie lasy amerykańskie. Jako pierwszy wytyczył wiele szlaków Dzikiego Zachodu. Jakub Sadowski wiódł życie jak z westernu

Kto był pierwszym Polakiem w Ameryce? Czy – jak przekonywał Joachim Lelewel – polski żeglarz w służbie króla duńskiego, Jan z Kolna? Według tej teorii miał on dotrzeć do amerykańskich wybrzeży 16 lat przed Kolumbem. A może był nim Franciszek Warnadowicz – towarzyszący Kolumbowi? Z całą pewnością grupa polskich robotników, która przybyła w 1608 r. do osady Jamestown. Produkowali tam smołę, walczyli z Indianami, zorganizowali pierwszy na świecie strajk.

Tak czy inaczej do XVIII w. Polaków było tam jak na lekarstwo i choćby z tego powodu dość szczególną rolę odgrywa rodzina Sadowskich, która przybyła do Ameryki w 1730 r.

Podobno pochodzili z okolic Poznania. Pewnie dlatego niektórzy autorzy brali ich za Niemców, byli też protestantami, a ich nazwisko uległo zangielszczeniu na Sandousky. Już ojciec – Antoni Sadowski – doskonale odnalazł się w dziczy Ohio, Wirginii i Pensylwanii. Błyskawicznie nauczył się kilku narzeczy miejscowych Indian, co zapewniało mu względne bezpieczeństwo i pozwalało zarabiać na handlu. Jednak głównym źródłem jego utrzymania były futra. Pędził półdzikie życie trapera, nieustannie wędrując po preriach, polując, śpiąc pod gołym niebem, a w napotkanych osadach sprzedając zdobycze.

Nic dziwnego, że mając taki wzorzec, dwaj jego synowie, Jakub i Józef, szybko nabrali podobnie nomadycznych zwyczajów. O ile jednak Antoni, jak się wydaje, po prostu cieszył się wolnością

– tak uderzającą wszystkich, którzy wyrwali się z feudalnej Europy – chłopcy podchodzili już do permanentnej włóczęgi z pasją odkrywców i eksploratorów. Zaczęło się w 1773 r., kiedy obaj przyłączyli się do wyprawy badawczej rzeką Ohio w głąb Kentucky – gdzie nie istniały jeszcze żadne osady białych. „Indianie zwali Kentucky »ciemnymi i krwawymi polami«. Ciemnymi, bo potężne drzewa zarastały je tak gęsto, iż promienie słońca rzadko przebijały się przez listowie na ziemię, a krwawymi dlatego, że kraina ta była odwiecznym pobojowiskiem indyjskim. Najwięcej zaś krwi wytoczyli sobie wzajemnie Czerokizowie z Tennessee i Georgii i śmiertelni ich wrogowie, Szanisowie znad rzeki Scioto. Co roku wojownicy obu szczepów wpadali do Kentucky przez wydeptane ścieżki wojenne (...) i mordowali się wzajemnie dla zaspokojenia żądzy krwi i zemsty" – pisał w latach 30. XX w. polski emigrant w USA Mieczysław Haiman.

Nie przejmując się tym zbytnio, w następnym roku bracia wzięli udział w podobnej wyprawie, tym samym szlakiem. W 1773 r. wybuchła tam tzw. wojna Dunmore'a i Indianie walczyli już nie tylko ze sobą nawzajem, ale też z białymi. Być może właśnie ryzyko sprawiło, że jeśli dotychczas bracia byli nierozłączni, to od tego momentu Jakub będzie już przemierzać Dziki Zachód samotnie. Najpierw przebył niezbadane puszcze aż do rzek Cumberland i Ohio, spłynął zbudowaną przez siebie łodzią do Missisipi i jej nurtem podążył aż do Nowego Orleanu. „Stamtąd przejechał okrętem do Baltimore i wrócił wreszcie do Wirginii. Jest on uważany za pierwszego białego, który przepłynął te rzeki, wyjąwszy Francuzów i Hiszpanów" – wspominali jego bratankowie. Oni też przekonują, że mimo awanturniczej żyłki Jakub był człowiekiem całkiem nieźle, jak na warunki ówczesnej Ameryki, wykształconym. „Robił zapiski o osadnictwie krainy i posiadał wielką ich ilość" – wspominali bratankowie. I zamierzali je opublikować, co byłoby dziełem całkowicie wyjątkowym. „Jednakowoż drukarz, któremu ci oddali rękopisy celem wydawnictwa (...), zgubił je, wyrządzając przez to niepowetowaną szkodę pamięci stryja" – wspominał Haiman. Może nawet większą amerykańskiej historii, bo – jak przekonywali bratankowie – Jakub „znał dobrze historię osadnictwa w Kentucky i zawsze potępiał w wielu szczegółach wszystkie ogłoszone teorie, gdyż wiedział, że były niedokładne".

Co ciekawe, cała rodzina Sadowskich, dziś bardzo rozrzucona po Stanach, przetrwała w pamięci osadników. Przynajmniej topograficznej. Jak streszcza Haiman: „Pierwsi angielscy handlarze, którzy zapuszczali się w te strony, wspominają o rzece St. Dusky i St. Sandoske. Holenderska mapa z roku mniej więcej 1750 nazywa dzisiejszą zatokę Sandusky – Lac Sandouske, a na mapie drukowanej w Londynie w 1773 r. zatoka ta nazywana jest Lake Sandoski". Mniej więcej do roku 1849 nazwę Lower Sandusky nosiło dzisiejsze miasto Fremont.

Wojciech Lada

Reklama | 38/0221/F
Fot. Wikipedia

eprasa.pl 1b410a6e1a

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com

eprasa.pl 1b410a6e

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

wSIECI HISTORII

100 płyt w prezencie

*Piękna płyta **„Słynne włoskie arie operowe”** w wykonaniu obdarzonej niezwykłym głosem znakomitej polskiej sopranistki **Anity Rywalskiej-Sosnowskiej***

Producent płyty: BONGO media production

Partner płyty: PZU

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Fot. Shutterstock

ZAMÓW LUB PRZEDŁUŻ ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł,
a płytę **Słynne włoskie arie operowe** otrzymasz **GRATIS**!

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Maria Matejko z serialu „Komisarz Mama" jest dla Pauliny Chruściel najlepszą przyjaciółką. Jako policjantka i szefowa pokazuje, że w zdominowanym przez mężczyzn świecie zawodowo lekko nie jest, ale prawie na wszystko znajdzie się sposób. Wystarczy popatrzeć na siebie przez pryzmat swoich atutów, a nie słabości

Pokaż, na co cię stać

Fot. Polsat

4/0321/F

eprasa.pl 1b410a6e1a

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Maria Matejko ma parę spraw do załatwienia (i radzi sobie z nimi tak, że koledzy z planu bardzo muszą się nastarać, by ich nie przytłumiła). Jako mama mówi innym mamom nie tylko „dasz radę", ale też „każde doświadczenie – nawet to z czasu bycia panią domu – jest ważne i może się przydać".

Jako policjantka i szefowa pokazuje, że w zdominowanym przez mężczyzn świecie zawodowo lekko nie jest, ale kto powiedział, że musi być łatwo. I jak się zastanowić, to na wszystko – no, prawie na wszystko – znajdzie się sposób. Jeśli odpowiednio podejdzie się do sprawy. Popatrzy na siebie przez pryzmat swoich atutów, a nie słabości.

Z takiej perspektywy nawet dziesięcioletnie bycie kurą domową to etap rozwoju, a nie zawodowej degradacji. Jeśli dodać do tego umiejętności wejścia w interakcje, dystans do siebie, pozytywne myślenie i parę atutów (z zawodowej przeszłości) w rękawie... mamy podnoszącą na duchu, sympatyczną bohaterkę i jej historię. W sam raz na miłe środowe wieczory przed telewizorem.

MARIA CZY CANDICE

Maria Matejko musi jeszcze – choć nie w przypadku każdego widza – skonfrontować się z bohaterką francuskiego formatu (który posłużył za podstawę polskim realizatorom, a emitowany od 2013 r. doczekał się ośmiu sezonów). Fani kryminalno-obyczajowej serii „Candice Renoir" (do obejrzenia na kanale AXN White) już na podstawie zwiastunów „Komisarz mamy" potrafili kąśliwie wytknąć polskiej bohaterce m.in. „przaśność" i w tym tonie porównywać francuską aktorkę Cécile Bois do Pauliny Chruściel.

Sądząc jednak po internetowej reakcji na pierwszy odcinek polskiej wersji formatu, komisarz Matejko znajdzie spore grono zachwyconych nią rodzimych odbiorców. Dzięki niej grono wielbicieli zwiększy też Paulina Chruściel.

JUŻ NIE SINGIELKA

Aktorka (po sześciu latach) znów pojawia się w budzącej sympatię tytułowej, odcinkowej roli. Poprzednio była na ekranie „Singielką" – samotną trzydziestoparoletnią dziennikarką, która w formule telenoweli przez 274 dni szukała prawdziwej miłości. Teraz jako „Komisarz mama" (na razie w ramach ośmiu odcinków) rozszerza uczuciowe i zawodowe pole działania. Nadal jednak – sądząc po pierwszych emisjach – ma wiele wdzięku, poczucia humoru i, przede wszystkim, pozytywnej energii.

Najnowszą produkcję Paulina Chruściel opisuje jako „Miłe połączenie kryminału i komedii obyczajowej". O swojej bohaterce mówi, że jest bardzo empatyczna i nie buduje dystansu w kontaktach z ludźmi. Często działa intuicyjnie i pozornie nielogicznie, ale także dzięki niestandardowym metodom pracy okazuje się skuteczną policjantką. To również, starająca się ogarnąć dom i czwórkę dzieci, wciąż atrakcyjna 40-latka.

OGROM MIŁOŚCI

Prywatnie Paulina Chruściel jest mamą siedmioletniej Marianny. Mówi, że potrafi się przyznać przed swoim dzieckiem do błędów i tego, że bywa bezradna. Jednocześnie ponad wszystko stara się, by Marianna czuła się bezwarunkowo kochana. To dla córki kilka miesięcy temu zdecydowała się wziąć psiaka ze schroniska (nowa domowniczka wabi się Lucyna).

Swoje własne dzieciństwo, urodzona w 1980 r. w Wołominie, aktorka wspomina z wielką wdzięcznością wobec dziadków. Mieszkała u nich przez pierwsze sześć lat życia i otrzymała ogrom miłości. Młodzi rodzice – jak opowiadała w jednym z wywiadów – dużo wyjeżdżali, a babcia wspaniale prowadziła dom. Wspomnienie „wyjątkowego klimatu polskiej wsi, a także prostego, trudnego, a zarazem pięknego życia" – przywołane, gdy przychodzą gorsze chwile – pozwala jej „odnaleźć wewnętrzną moc".

SZTUKA UŻYTKOWA

W 2004 r. ukończyła Akademię Teatralną w Warszawie. Grała w serialach, m.in. „Pensjonat pod Różą", „Klinika samotnych serc", „Na dobre i na złe". Występowała w stołecznych teatrach: Współczesnym i 2. Strefa oraz Nowym w Poznaniu. Przed pandemią można ją było oglądać na scenach: 6. Piętra i Och-Teatru.

Od 12 lat jest żoną reżysera Łukasza Wiśniewskiego. Zakochani, również w Afryce, pobrali się, patrząc na Kilimandżaro. Wzięli ślub konkordatowy w misji w Tanzanii, gdzie spędzili kilka miesięcy, pomagając franciszkanom.

Poza aktorstwem Paulina Chruściel pasjonuje się też inną sztuką – użytkową. Od katalogów mody woli te pokazujące nowe trendy w aranżacjach przestrzeni. Dlatego, nie rezygnując z grania, zdecydowała się na kolejne studia. Tym razem na wydziałach architektury wnętrz oraz wzornictwa w Wyższej Szkole Ekologii i Zarządzania.

Fot. Polsat

eprasa.pl 1b410a6e1a

Fot. materiały prasowe

Przewartościowałam swoje życie

O muzyce, operze, pandemii, planach na przyszłość i nowej płycie rozmawiamy z jedną najbardziej utalentowanych polskich śpiewaczek operowych Anitą Rywalską-Sosnowską

Niedawno była premiera najnowszej pani płyty „Słynne włoskie arie operowe". To pozycja obowiązkowa dla wszystkich wielbicieli muzyki operowej. Jak długo trwała praca nad płytą?

Anita Rywalska-Sosnowska: To pozycja dla tych, którzy kochają operę i lubią, tak jak ja, słuchać różnych wykonań wielkich arii operowych. W każdym wykonaniu można znaleźć coś innego, interesującego, porywającego, wzruszającego. Każdy śpiewak jest żywym organizmem, w którym drzemie indywidualna osobowość oraz cała gama emocji. W związku z tym ta sama aria będzie zawsze brzmiała inaczej w zależności od tego, kto ją wykonuje, jaki ma warsztat wokalny, zasób środków ekspresji i emocji. Dzięki temu zawsze jest ciekawie i inspirująco, gdy słucha się różnych wykonań i odnajduje się te, które najbliższe są sercu słuchacza. To czyni operę sztuką wiecznie żywą, którą można nieustannie wykonywać.

Nagrywanie materiału orkiestrowo-wokalnego trwało kilka dni. Spotykaliśmy się dwa razy w ciągu dnia po kilka godzin, rano i po południu, i nagrywaliśmy. Do tego dodajmy kolejnych kilka dni pracy nad miksowaniem i masteringiem całości.

Jak w ogóle wygląda nagrywanie muzyki klasycznej?

Do nagrania muzyki operowej potrzebne jest duże studio z wielką salą, która pomieści cały zespół orkiestry wraz chórem. W tym przypadku było to Smecky Music Studios w samym centrum Pragi. Jest to studio z długą historią – nagrywa się tam od 1943 r. Jest tak przestronne, że może pomieścić cały wielki zespół muzyków operowych. Bez problemu zmieścili się tam wszyscy wspaniali muzycy z FILMharmonic Orchestra Prague pod kierownictwem dyrygenta Praskiej Opery Narodowej Richarda Heina, z którymi nagrywałam album. Wielkim atutem studia są warunki akustyczne pierwszego stopnia. Doceniło to wielu twórców – na ścianie znajduje się imponująca kolekcja zdjęć wybitnych międzynarodowych artystów, którzy mieli okazję tam tworzyć.

Samo nagranie nie jest procesem łatwym. Wymaga od wszystkich wielkiego skupienia. Gdy pojawi się jakiś błąd w partii orkiestry czy partii wokalnej, trzeba to poprawić. Nad całością nagrania czuwali specjaliści. Byli nimi kierownik muzyczny płyty pan Rafał Paczkowski, wybitny reżyser dźwięku, kompozytor

eprasa.pl 1b410a6e1a

i muzyk, a także Petr Pycha, kierownik muzyczny orkiestry praskiej, oraz asystenci Vitek Kral i Michael Hardisky.

Następnie surowy nagrany materiał podlega zmiksowaniu, czyli wyrównaniu poziomów oraz proporcji między nagranymi ścieżkami, a na sam koniec masteringowi, czyli wydobyciu różnych niuansów brzmieniowych.

Na pani płycie możemy usłyszeć najważniejsze dzieła Verdiego, Pucciniego czy Mascagniego – jednak kilku szlagierów, o ile można tak mówić w przypadku opery, zabrakło. Co zdecydowało o takim, a nie innym wyborze utworów?

Odpowiedź jest prosta. Na płycie znalazły się jedne z moich najbardziej ukochanych arii. Są to arie, które za każdym razem nieustannie mnie poruszają. Oczywiście nie oznacza to, że inne arie nie są bliskie memu sercu, jak najbardziej są i będą nagrane w następnej kolejności. Jeżeli chodzi o arie z płyty, zawsze marzyłam, aby nadszedł ten dzień, w którym mój warsztat wokalny, środki artystycznego wyrazu i ekspresji oraz dojrzałość emocjonalna pozwolą mi na podjęcie się ich wykonania. Już w pierwszych latach studiów wokalnych próbowałam swych sił oraz mierzyłam się z dramatyzmem postaci arii najsłynniejszych heroin opery, ale dopiero z czasem, gdy życie pogłębia i naznacza naszą psychikę, a dojrzałość emocjonalna, wokalna oraz narzędzia ekspresji ulegają rozbudowaniu, arie te zyskują nowe oblicze. Tak naprawdę arie te cały czas wymagają nieustannego wysiłku mentalnego oraz wokalnego, gdyż większość z nich to arie dotyczące postaci tragicznych, uwikłanych w wewnętrzne konflikty, obejmujące tak silne i skrajne sfery emocjonalne jak miłość, nienawiść, zdrada czy śmierć. Pod względem wokalnym i aktorskim stanowiły i stanowią wyzwanie dla niejednej z największych śpiewaczek świata. To dzięki takim śpiewaczkom jak Maria Callas, Leontyne Price, Renata Scotto czy Dolora Zajick zapałałam miłością do tych arii.

Fot. materiały prasowe

Pytanie może kuriozalne, ale muszę je zadać. Jak zostać artystką operową? Nie wystarczy przecież sam talent i nauka. To przecież kwestia wielu wyrzeczeń i ciężkiej pracy. Z czego najtrudniej było pani zrezygnować?

Żeby zostać artystką operową, oprócz talentu oraz nauki trzeba po prostu bardzo chcieć i kochać to, co się robi. Jeżeli człowiek ma pasję, to tak naprawdę ona go popycha do podejmowania różnych wyzwań i stawiania sobie coraz to nowych celów. Już od najmłodszych lat lubiłam śpiewać, geny muzyczne odziedziczyłam po moich rodzicach, zwłaszcza mamie, która grała na skrzypcach i uczyła m.in. muzyki. Moja babcia podobno śpiewała w radiu. Mój tata też lubił śpiewać i bardzo pięknie śpiewali często w duecie z mamą.

Na początku myślałam, że zostanę pianistką. Do czasu, kiedy mama przyniosła do domu nagranie „Barcelona" Montserrat Caballé z Freddiem Mercurym i usłyszałam jej niebiański głos. Chciałam śpiewać jak ona. Połknęłam operowego bakcyla. Od tego czasu śpiewałam wszędzie, w lesie, pod prysznicem etc. Gdy dostałam się na studia pedagogiczne, mama Norbiego pani Elżbieta Dudziuk, z którą mieliśmy emisję głosu, uświadomiła mi, że opera to moja przyszłość. Po studiach pedagogicznych dostałam się na Akademię Muzyczną w Gdańsku na wydział wokalno-aktorski. Tam pod kierunkiem prof. Wiesławy Maliszewskiej zdobywałam doświadczenie wokalne oraz zapoznawałam się z repertuarem operowym, biorąc udział w takich spektaklach jak „Carmen" Bizeta, „Cavalleria Rusticana" Mascagniego czy „Opera o żonie niemej" Kasserna. Po ukończeniu studiów od razu nawiązałam współpracę z Waldemarem Malickim i Filharmonią Dowcipu, a za chwilę z Operą w Szczecinie, gdzie kreowałam m.in. role Sylwii Varescu w „Księżniczce czardasza" Kalmana, Hrabiny w „Weselu Figara" Mozarta oraz Pięknej Heleny Offenbacha.

I tu nasuwa się odpowiedź dotycząca tego, z czego najtrudniej zrezygnować, będąc artystką operową prowadzącą bujne życie koncertowe w kraju i za granicą. Z rodziny, dzieci. Byłam w pewnym momencie w tak szaleńczym tempie życia koncertowego, że potrafiłam po koncercie jechać nocą z jednego końca Polski na drugi, żeby stawić się rano na próbach w operze do spektaklu. W którymś momencie

eprasa.pl 1b410a6e1a

byłam wykończona. Stwierdziłam wtedy, że coś chyba jest nie tak... kocham swój zawód, ale nade wszystko kocham moją rodzinę i nie będę eksploatować się kosztem tak naprawdę wszystkiego. Przewartościowałam swoje życie. Zaczęłam układać plany zawodowe w taki sposób, żeby nikt nie czuł się skrzywdzony, a przy tym żebym wciąż się spełniała.

Muszę przyznać, że bardzo trudno jest czasami oddzielić życie osobiste od artystycznego, zwłaszcza gdy pojawiają się problemy osobiste, np. zachoruje dziecko czy ktoś bliski etc. Trudno jest wówczas zostawić te wszystkie troski za kulisami, zapomnieć i doznać chwilowego rozdwojenia jaźni. Ale taka jest specyfika zawodów artystycznych.

Życie artystów to jednak nie tylko nagrywanie płyt, lecz przede wszystkim koncerty. Jak pandemia wpłynęła na pani karierę?

Niestety pandemia poczyniła ogromne spustoszenie nie tylko w życiu artystów. W każdej dziedzinie życia możemy dostrzec bardzo przykre jej konsekwencje. Nagle skończyło się wszystko, co było skrupulatnie zaplanowane daleko naprzód. Każdy z nas funkcjonował w jakimś swoim rytmie, w kołowrotku różnych spraw, planów. I nagle stop... wszystko ustało. Chyba każdy myślał, że nie będzie to trwało tak długo... Na początku nawet się cieszyłam z pobytu w domu, było mi cudownie, odczuwałam ukojenie i radość z przebywania z najbliższymi. Oglądałam seriale na Netflixie, czytałam książki, wysypiałam się jak nigdy dotąd, śpiewałam oczywiście dalej, bo nie potrafię przeżyć bez tego dnia.

W pewnym momencie przyszła jednak silna tęsknota za powrotem do normalności, do pracy na scenie, do tego, aby świat był zdrowy, aby nie bać się tak bardzo o siebie i innych, aby móc się znowu cieszyć swoją miłością nie tylko do najbliższych, lecz także do widzów. To też tęsknota za nawiązywaniem tej cudownej relacji z publicznością, dzieleniem się pięknem zawartym w muzyce i sztuce, spotykaniem się z widzami po koncertach, za uściskiem dłoni i wymianą miłych słów bez zakrytych twarzy.

Jakie są pani plany na najbliższą przyszłość?

Tak jak wszyscy marzę o końcu pandemii i spokojnym życiu, realizując swoje plany i zamierzenia na ścieżce zawodowej oraz prywatnej. Marzę o prowadzeniu działalności koncertowej tak jak dotychczas, o koncertowaniu w różnych pięknych miejscach w Polsce i za granicą, o spotykaniu, poznawaniu nowych ciekawych osobowości artystycznych i nie tylko... marzę o normalnym życiu.

Czasami bardzo trudno jest oddzielić życie osobiste od artystycznego, zwłaszcza gdy pojawiają się problemy osobiste, np. zachoruje dziecko czy ktoś bliski etc. Trudno jest wówczas zostawić te wszystkie troski za kulisami, zapomnieć i doznać chwilowego rozdwojenia jaźni. Ale taka jest specyfika zawodów artystycznych

W swojej bogatej artystycznej biografii ma pani również występy z dużo luźniejszym repertuarem, a nawet występ w serialu. Jak pani to wspomina?

Bardzo cenię sobie tego typu przygody, jak np. zagranie w serialu „Pensjonat nad rozlewiskiem". Było mi bardzo miło poznać wspaniałych aktorów: Joannę Brodzik, Ewę Pakulnis i wielu innych, i pracować z nimi na planie filmowym. Było to zdecydowanie nowe i bardzo ciekawe doświadczenie, różniące się od pracy na scenie.

Która z największych światowych gwiazd opery jest dla pani najlepszym wzorem? Z kim chciałaby pani zaśpiewać?

Bardzo lubiłam słuchać i podziwiać rosyjskiego śpiewaka operowego Dmitrija Chworostowskiego. Miał przepiękny głos – baryton o ciepłym, głębokim brzmieniu. Jego choroba oraz śmierć ogromnie mnie zasmuciły... Moim faworytem wśród śpiewaków jest także niemiecki tenor Jonas Kaufmann, ma przepiękny głos, również o ciepłym zabarwieniu. Właśnie tego typu głosy oraz ekspresja wokalna przemawiają do mojego serca. Młodym śpiewakiem, aczkolwiek nie operowym, ale wykazującym niesamowite predyspozycje do operowego śpiewania, jest Dimash Kudaibergen, jest piosenkarzem oraz multiinstrumentalistą. To ewenementem wokalny – potrafi łączyć i wykorzystać w sposób zapierający dech wszystkie rejestry, śpiewając w jednej piosence czterema różnymi głosami. Natomiast ze śpiewaczek na moje wielkie uznanie nieustannie zasługują od lat Elīna Garanča, Anna Netrebko oraz Diana Damrau.

Życie to jednak nie tylko praca, choćby najbardziej ukochana. Jakie są pani pasje oprócz muzyki? Co pani lubi robić w tzw. wolnym czasie?

Kocham tak jak chyba większość z nas podróże po świecie, zwłaszcza z rodziną. Uwielbiam pływać, zwiedzać, czytać, spać, smakować dania z różnych zakątków świata, wypożyczać na wczasach samochód i jechać przed siebie w najbardziej malownicze miejsca, podziwiając zapierające dech w piersiach widoki i delektować się tymi chwilami...

Oczywiście uwielbiam też długie spacery ze swoim ukochanym psem owczarkiem niemieckim – Luną.

eprasa.pl 1b410a6e1a

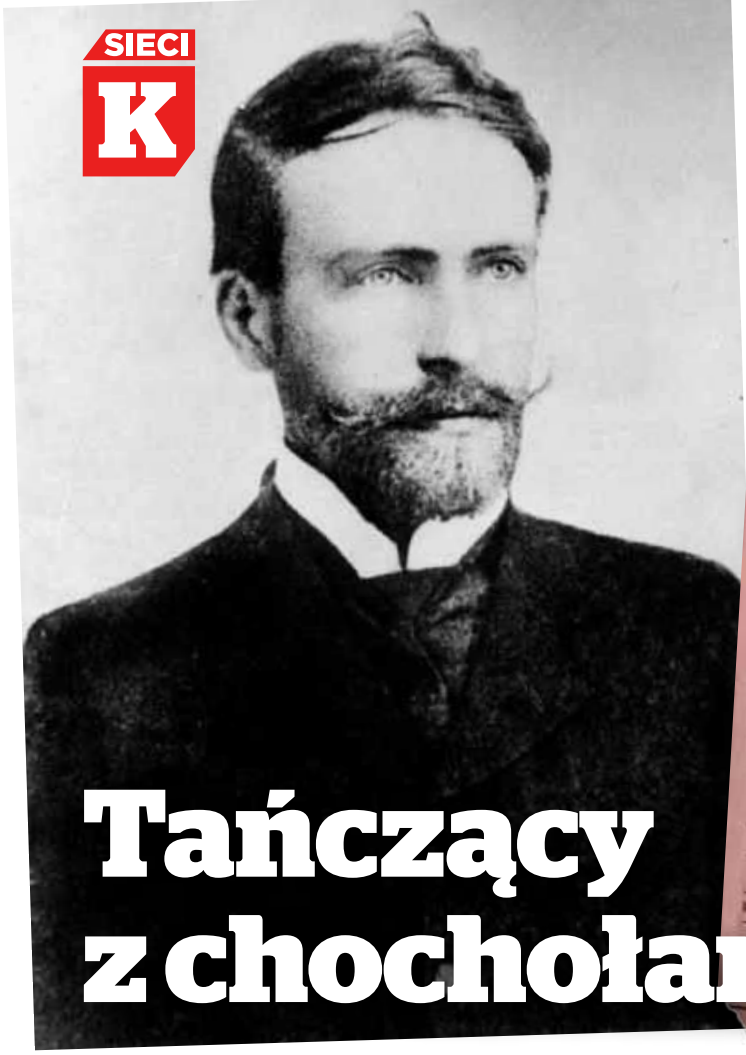

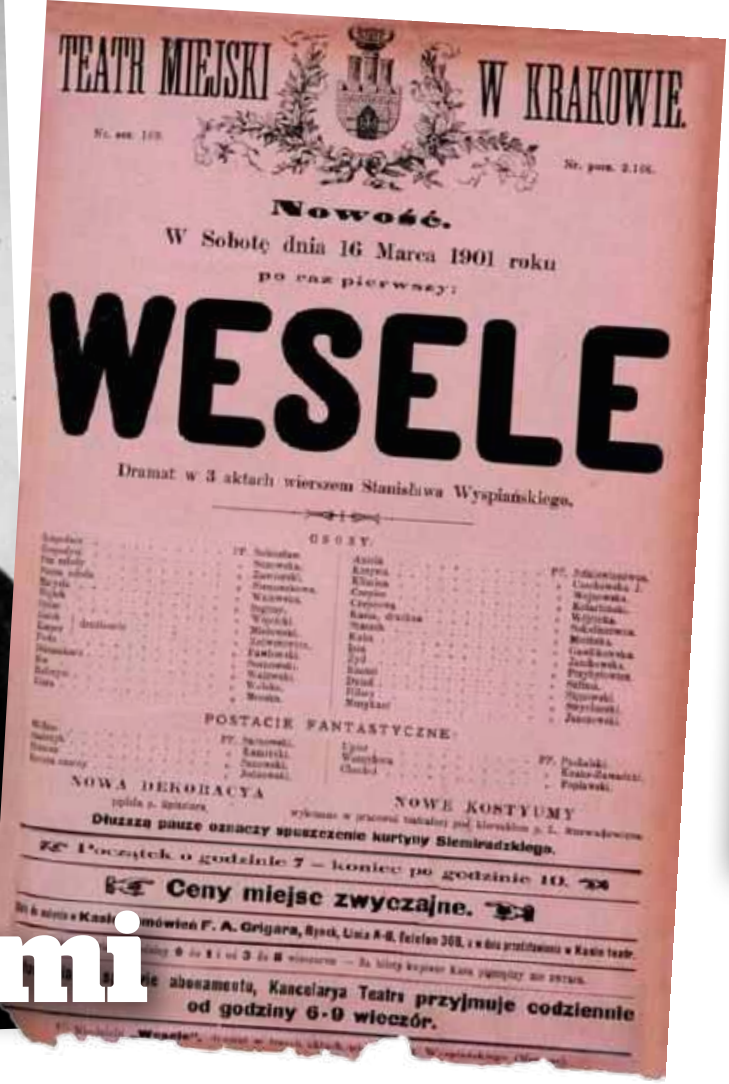
TEATR MIEJSKI W KRAKOWIE.

Nowość.

W Sobotę dnia 16 Marca 1901 roku

po raz pierwszy:

WESELE

Dramat w 3 aktach wierszem Stanisława Wyspiańskiego.

OSOBY.

POSTACIE FANTASTYCZNE.

NOWA DEKORACYA

NOWE KOSTYUMY

Dłuższą pauzę oznaczy spuszczenie kurtyny Siemiradzkiego.

Początek o godzinie 7 – koniec po godzinie 10.

Ceny miejsc zwyczajne.

...mówień F. A. Grigara, Rynek, Linia A-B, Telefon 308, ...

...abonamentu, Kancelarya Teatru przyjmuje codziennie od godziny 6-9 wieczór.

Tańczący z chochołami

120 lat temu odbyła się premiera „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego. Arcydzieło polskiej literatury powstało w rekordowo krótkim czasie, a jego inspiracje sięgają znacznie dalej niż tylko do chłopskiej chaty w Bronowicach

WOJCIECH LADA

W 1901 r. Kraków był miastem nieznośnie nudnym. Dawno już z jednego z najważniejszych ośrodków Polski spadł do roli prowincjonalnego miasta cesarstwa austro-węgierskiego, przecinające go dawniej szlaki handlowe się przesunęły, a nawet tak ważny niegdyś Uniwersytet Jagielloński na podzielonych rozbiorami ziemiach polskich musiał ustąpić miejsca równie łatwo dostępnym uczelniom Paryża, Berlina, Rygi czy Petersburga. W 1901 r. Kraków nie był już centrum czegokolwiek. Pozostała mu tylko, jak określał to historyk literatury Jan Zygmunt Jakubowski, „groteskowa pompa".

Przy kawiarnianych stolikach nie rozmawiano o niczym ważnym. W kwestii polskiej był to okres całkowitego marazmu, który dopiero za kilka lat mieli przerwać socjalistyczni bojówkarze Piłsudskiego. Na świecie też nic szczególnego się nie działo – od 30 lat nie prowadzono żadnej poważniejszej wojny, nie było ważnych tąpnięć dynastycznych ani nawet większych skandali. W zasadzie jedynym gorącym tematem, który poruszano wówczas w Krakowie, było otwarcie w tym właśnie roku wodociągów miejskich. I nie był to bynajmniej temat błahy. „Wystarczy się przejść po podmiejskich zaułkach, w których brak odpływu, nieczystości tworzą nigdy nie wysychające kałuże z zgniłymi wszelkiego rodzaju odpadami (...) Wszystko dusi w zaduchach i miazmatach" – pisał jeszcze w 1903 r. Józef Pakies.

I w takiej właśnie atmosferze zupełnie nieoczekiwanie coś zaiskrzyło. 16 marca odbyła się premiera dramatu Stanisława Wyspiańskiego „Wesele" i miasto dosłownie zawrzało. Mało kto, nawet aktorzy, mógł się połapać w wielopiętrowej, złożonej symbolice tego tekstu, lecz jednocześnie wszyscy mieli poczucie obcowania z czymś nowym i przełomowym. Nie wspominając o tym, że w bohaterach dramatu z łatwością rozpoznawano znane postaci krakowskiej bohemy – nawet więc nie rozumiejąc, można było o nim plotkować. Każdy spektakl miał więc

eprasa.pl 1b410a6e1a

Pocztówki ze spektaklu „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego, 1901 r.

Fot. NAC, Biblioteka Narodowa x3

zapewniony komplet widzów i każdy kończył się owacjami na stojąco. W ciągu pięciu sezonów zagrano go 49 razy – był to wówczas absolutny rekord, porównywalny tylko z niektórymi komediami Aleksandra Fredry. „Graliśmy »Wesele« kilkadziesiąt razy z rzędu przy wyprzedanej widowni" – wspominała z zachwytem Wanda Siemaszkowa, wcielająca się wówczas w rolę Panny Młodej.

HURAGAN OKLASKÓW

Do wypromowania spektaklu dołożył swoją cegiełkę sam Wyspiański, który po premierze... uciekł przed publicznością. „Grzmiący huragan oklasków walił w nieskończoność, a aktorzy już rozgrzani cudem wcieleń też bili w dłonie. Ja zaś par force z dyrektorem Kotarbińskim wyciągnęliśmy autora na scenę, wieniec złożono mu u stóp. On uciekł, wieńcem szurnął, zdaje się niezadowolony, wychodzić, kłaniać się nie chciał" – opowiadała Siemaszkowa. Krytyk literacki Tadeusz Nyczek dodawał, że zamknął się wówczas w garderobie aktorskiej i wpatrywał milcząco w przyniesione przez kogoś kwiaty i pudełko czekoladek.

Prawda jest taka, że nawet na tle ekscentrycznego towarzystwa artystycznego Krakowa Wyspiański miał wówczas opinię dziwaka. „Twarz blada, prawie przezroczysta, o piękności wygasających rodów. Jeden wąs zwieszony, drugi podkręcony w górę" – wspominał kolegę Stanisław Przybyszewski i dodawał: „Było w nim coś bezosobistego, wszystko co się naokoło niego działo, zdawało się go nie dotykać (...) Milczący, w sobie zamknięty, wsłuchany w to, co mu kto inny mówił – a wątpię, czy słyszał, co się do niego mówiło – rzadko zdradził się z tym, co rzeczywiście myśli". Zazwyczaj był zamknięty w sobie, zdarzało mu się jednak nagle wybuchać albo eksplodować niepospolitą energią. Z jednej strony był postacią bardzo melancholijną, może nawet depresyjną, z drugiej – bardzo zimnym i trzeźwym komentatorem otaczającego go świata. „Rówieśnicy sentymentalnie dumali, on precyzyjnie analizował. Oni głosili melancholię, on – gorzki pesymizm" – zauważał Nyczek.

Powody tego mogły być różne. Niektórzy podkreślają, że całe to niezrównoważenie Wyspiańskiego wynikało z wyboru, którego dokonał. Przebywając kilka lat w Paryżu, zachłysnął się zarówno otwarciem ludzi i radosną beztroską, w jakiej żyli, jak i śmiałymi eksperymentami ówczesnych impresjonistów spod znaku Paula Gauguina. Nie brakuje głosów, że śmiało mógł wówczas rywalizować z największymi z nich i oglądając dziś jego prace, trudno się z tym nie zgodzić. Jednocześnie jednak odczuwał coś w rodzaju patriotyzmu z obowiązku – nie chciał tego, ale czuł, że powinien jednak tworzyć dla Polaków. Być może zaraził go taką postawą Jan Matejko, u którego studiował?

Najprawdopodobniej tak, bo zbyt wielu wzorców osobowych ten wcześnie osierocony artysta nie miał, a był zbyt inteligentny, by zachłystywać się byle kim. Zawsze już jednak odczuwał pewien zgrzyt, gdy zestawiał cywilizacyjną głębię dorobku całej kultury łacińskiego świata z zaściankowymi tęsknotami współczesnych sobie Polaków, które tak skutecznie podgrzewał choćby bardzo wobec niego krytyczny Henryk Sienkiewicz. Odczuwał to zresztą nie tylko on. „Byli jeszcze młodzi, ale już czuli się przegrani. Jeszcze coś ich nosiło, czegoś chcieli, ale coraz mniej. Mieli dotkliwe poczucie tkwienia w stanie przejściowym, który paraliżuje wolę i unicestwia poważniejsze wysiłki" – analizował Nyczek całe ówczesne środowisko artystyczne miasta.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Większość – jak oceniał z kolei Przybyszewski – reagowała na to „adoracją chuci i pijaństwa", Wyspiański zaś permanentną depresją. Duszą towarzystwa nie był w każdym razie z pewnością. Jak wspominał Tadeusz Boy-Żeleński: „Bywał on często w »Paonie«, siadywał do późna, zwykle przysłuchiwał się w milczeniu rozmowom, czasem – choć na ogół nie pijał – wypijał duszkiem kilka kieliszków wódki". Inna sprawa, że przyczyną zarówno jego rzucającej się w oczy bladości, jak i towarzyskiego wycofania była nieubłaganie trawiąca go kiła – choroba w tamtym czasie nieuleczalna.

Jakkolwiek było, w 1897 r. w liście do przebywającego wówczas w Paryżu poety Lucjana Rydla napisał w dość ponurym tonie: „Ja się coraz więcej godzę z tą ideą pozostania (w kraju)".

DRAMAT JAK MALOWANY

W 1901 r. był więc Wyspiański postacią dziwną i neurotyczną, ale też w Krakowie znaną i cenioną. Wiadomo było powszechnie, że studiował malarstwo u Matejki i był na tyle dobry, że stary mistrz zaproponował mu współpracę przy malowaniu polichromii kościoła Mariackiego – gdzie błysnął samodzielnością głównie tzw. Linii Aniołów – i nazwał go „swoją prawą ręką". Wiadomo też było, że jest Wyspiański kierownikiem artystycznym tak ważnego pisma, jakim było założone przez Ludwika Szczepańskiego „Życie". Zresztą właśnie wspomnienia Szczepańskiego wiele mówią, jak cenionym już wówczas artystą, mimo niewielkiego dorobku, był Wyspiański. „Liczyłem sobie dwadzieścia pięć lat, a Wyspiański był trzy lata starszy, ale już wielce ceniony w nielicznym gronie młodych adeptów sztuki i literatury jako śmiały i oryginalny talent malarski o wielkiej fantazji i świetnej technice; ale nikt jeszcze wówczas nie przewidywał jego geniuszu poetyckiego" – wspominał po półwieczu. I trafiał w dziesiątkę.

Wyspiański zawsze był bowiem przede wszystkim malarzem. Malarskie początki ma nawet zapewne najsłynniejszy z jego dramatów. Przybyszewski tak wspominał jedną z pierwszych jego wizyt w swojej pracowni: „Wzrok jego błądził po ścianach i uporczywie wlepił się w obraz Muncha: o futrynę drzwi prowadzących do salonu oparł się młody człowiek i przypatruje się w zadumie tańczącym parom w głębi salonu. Ile razy czytam »Wesele«, bezustannie przypomina mi się Wyspiański, tak samo stojący na progu izby, w której wesele bronowickie się odbywa".

Nie wiemy dokładnie, kiedy nastąpiła ta wizyta, ale z pewnością przed listopadem 1900 r., kiedy odbywało się bronowickie wesele Lucjana Rydla z Jadwigą Mikołajczykówną – Edvard Munch istotnie mógł więc Wyspiańskiego zainspirować. Nie pił alkoholu, raczej też nie przepadał za tańcem, a już na pewno nie był rozmowny – można więc założyć, że podobnie jak bohater obrazu norweskiego ekspresjonisty podpierał futrynę, przyglądał się tańczącym, podsłuchiwał rozmowy, a przesycona tytoniowym dymem, połączona z mocnym niedospaniem atmosfera – o świcie mijało około 12 godzin, drugiego już dnia zabawy – tak jak w dramacie stopniowo się odrealniała. Tak w każdym razie zapamiętał to Boy-Żeleński: „Szczelnie zapięty w swój czarny tużurek, stał całą noc oparty o futrynę drzwi, patrząc swoimi stalowymi, niesamowitymi oczyma. Obok wrzało weselisko, huczały tańce, a tu do tej izby raz wchodziło po parę osób, raz po raz dolatywał jego uszu strzęp rozmowy".

Nie wiadomo, na ile można wierzyć Przybyszewskiemu. Między nim, Edvardem Munchem, Wyspiańskim, ale też wielkim norweskim dramaturgiem Henrykiem Ibsenem, a przy okazji Boyem-Żeleńskim i paroma innymi trwała... skomplikowana relacja, związana z postacią niezwykłej kobiety, Dagny Juel-Przybyszewskiej. Jakkolwiek było, malarskie postrzeganie świata przez Wyspiańskiego podkreślali jednak wszyscy. Aktorka Irena Solska, która wystąpiła w lwowskiej premierze „Wesela", wspominała, że „dawał informacje malarskie nadzwyczajne. Były to wskazówki nie pisarza, lecz malarza. Wystarczyło mu zawsze średnie wypowiedzenie słowa, natomiast zły, fałszywy gest irytował go ogromnie".

Zresztą o tym, że swój przyszły dramat Wyspiański „zobaczył" w całości już podczas weselnej nocy w Bronowicach, najlepiej mówią liczby. Wesele odbyło się 21 listopada 1900 r., do pisania zasiadł w połowie grudnia, w połowie lutego miał gotową pierwszą wersję, a już miesiąc później odbyła się premiera spektaklu. Jedno z największych dzieł polskiej literatury nie tylko XX w.,

eprasa.pl 1b410a6e1a

powstało więc w ciągu niewiele ponad trzech miesięcy. Dla porównania, „Pana Tadeusza" Mickiewicz pisał około dwóch lat, a absolutny rekord w tym zakresie należy do Goethego, który tworzył „Fausta" lat blisko 60.

MYŚLĄC TEATREM

Tuż przed premierą cesarska cenzura wykreśliła z dramatu blisko 70 wierszy. Dziś trudno zrozumieć, co tak bardzo nie spodobało się austriackim urzędnikom, skoro nawet Polacy mieli poważny problem z pełnym zrozumieniem tekstu. Ludwik Solski – już wówczas uznawany za wielkiego aktora – skarżył się: „Wyspiański nie chciał nic wyjaśniać. Małomówny, skromny i zażenowany, bronił się nawet złośliwą ironią przed wszelką indagacją na temat symbolów czy przenośni". Dodawał też, że ostatecznie poirytowany nie dał za wygraną, przyjechał do Wyspiańskiego i przez 24 godziny nie wypuszczał z domu, aż ten choć skrótowo objaśni mu, o co właściwie w „Weselu" chodzi. Jakim więc cudem tak trudny i do dziś rozmaicie interpretowany tekst mógł stać się natychmiast tak wielkim hitem? Solski był postacią wybitnie inteligentną – skoro on „Wesela" nie zrozumiał, co dopiero powiedzieć o innych, młodszych aktorach?

A przecież na wiadomość o ingerencji cenzury, świadomi, że może ich to kosztować niemało pieniędzy, w ramach protestu zdecydowali się odegrać pełny tekst. „Jakem to usłyszała... Piorun trzasł!!! Wrzeszczałam: będę mówiła, zapłacę!!! (...) Na to usłyszałam: cicho, cenzor na widowni. A niech słyszy, co mi tam! Jakieś ręce wciągnęły mnie za kulisę, to Wyspiański i doktorowa Pareńska – ściskali mnie, całowali. On błogosławił – ona, entuzjastka, i pani Lucyna Kotarbińska płakały – cenzor z teatru uciekł. Mówiliśmy na przedstawieniu wszyscy wszystko, bez określeń. To było prawdziwe wesele!" – opowiadała Siemaszkowa.

Nikt nigdy nie dał na to sensownej odpowiedzi, co – mimo niezrozumienia tekstu – tak bardzo pociągało w „Weselu" i aktorów, i publiczność. Ale może najbliżej był Stanisław Brzozowski, który w „Legendzie Młodej Polski" pisał: „Myśl Wyspiańskiego nie wyraża się nigdy przez słowo; nie myślał on słowami, myślał napięciami woli i wzruszeniem, wyrażającym się barwą, ruchem, dźwiękiem. Myślał teatrem...". I tak polska literatura rozpoczęła XX w.

W 1901 r. Kraków był miastem nieznośnie nudnym. Nie był już centrum czegokolwiek. Pozostała mu tylko, jak określał to historyk literatury Jan Zygmunt Jakubowski, „groteskowa pompa"

Sam Wyspiański jednak podczas premiery raczej żegnał się z tym stuleciem. Nie wiadomo, czy już wówczas wiedział, że umiera. Chyba jeszcze nie, skoro niespełna rok wcześniej wziął ślub i doczekał się potomstwa. Choroba jednak pochłaniała go w sposób nieubłagany. Może właśnie dlatego najbliższe lata były w jego życiu wyjątkowo płodne. „Bolesław Śmiały", „Akropolis", „Achilles", „Powrót Odysa" – powstają kolejne dramaty, nieustannie też szkicuje, maluje, a byle gdzie zapisuje krótsze wiersze, które docenione zostaną właściwie dopiero współcześnie. Zajmował się też dekoracją wnętrz i inscenizacjami teatralnymi, zdobnictwem książek i projektowaniem strojów – chwytał się życia, jak tylko mógł. Był w końcu wciąż bardzo młody – podczas premiery „Wesela" liczył sobie 32 lata. Złej formy nie dawało się jednak ukryć. Irena Solska wspominała, że „w rozmowach w cztery, sześć lub osm oczów był uroczy, natomiast przy obcych zaszywał się w kąt i obserwował z daleka. Umiał być wówczas bardzo mało uprzejmy" – tym też być może należy tłumaczyć ucieczkę ze sceny podczas wystawienia „Wesela".

Władysława Ordon-Sosnowska znała go dobrze. Grała w wielu jego dramatach, ją też namalował jako „Krasawicę" na obrazie z 1903 r. Była więc naocznym świadkiem jego postępującej agonii. „Na parę miesięcy przed jego śmiercią, w czasie prób jednego z jego dzieł, spotkałam go na schodach w teatrze krakowskim. Maszyniści teatralni wnosili go na krześle do kancelarii teatru. Wielki duch trzepotał się ledwie w tym zamierającym ciele" – wspominała. Nieco później odwiedził go w Węgrzcach Stefan Żeromski. Jak opowiadał, wówczas już tylko leżał na trawie w cieniu drzewa. „Był wtedy już ciężko, beznadziejnie chory. Mógł połykać tylko szynkę drobno siekaną, zawiniętą w opłatek, niełatwo mu było mówić, nie był w stanie rysować, gdyż trzy środkowe palce miał bezwładne. Zostały tylko te same oczy o przezroczystych, błękitnych tęczówkach, tak samo przenikliwie patrzące. Mówił tedy z trudem, a częściej pisał, trzymając ołówek miedzy wielkim i małym palcem".

Zmarł 28 listopada 1907 r., w wieku 38 lat. Jeszcze kilka lat wcześniej był niemal nieznanym, młodym twórcą – teraz żegnały go tłumy i pierwsze strony większości gazet. „Wesele" zaś jest do dziś jednym z najczęściej wystawianych dramatów polskich – z małą przerwą na przełom lat 40. i 50. – obecnym na scenach praktycznie cały czas.

Fot. Biblioteka Narodowa x2, NAC

eprasa.pl 1b410a6e1a

3 MIŁOŚCI

Nienormalność normalności

ROBERT TEKIELI

OBWE odnotowało w 2019 r. następującą liczbę przestępstw z nienawiści wobec LGBT: Polska – 16, Litwa – 2, Niemcy – 248, Holandia – 574, Belgia – 163. A mimo to dla europarlamentu najważniejsze jest LGBT w Polsce. Może powinniśmy wzorem Szwedów zaklinać rzeczywistość na użytek UE? Szwedzka Rada ds. Zapobiegania Przestępczości poradziła sobie bowiem z problemem przemocy seksualnej, uznając, że za dużą liczbę gwałtów ze strony imigrantów odpowiadają zgwałcone kobiety.

Co powinno dziś zajmować urzędników Unii i europarlamentarzystów? Poprawa systemu dostaw szczepionek? Tworzenie modelu rozwoju gospodarki po pandemii? Nie. Pochłaniają ich „strefy wolne od ideologii LGBT" w Polsce. W europarlamencie powinno wrzeć jak w ulu od debat w sprawie rozwoju i bezpieczeństwa. Ideolodzy zajmują się za to transformacją obyczajową Europy.

Cywilizacja zachodnia zdominowała świat dzięki samodyscyplinie, dowartościowaniu rozwoju technologicznego i postawieniu wartości duchowych na szczycie hierarchii. Dziś osoby, które odpowiadają za kondycję Zachodu, odlatują w obłędne ideologie całkowicie oderwane od rzeczywistych problemów ludzi. I stawiają Polskę pod pręgierzem bez zdania racji. Zakłamując bezwstydnie rzeczywistość.

W większości krajów europejskich karano za homoseksualizm. W Polsce nigdy. W Niemczech dopiero w 1994 r. Bundestag zniósł prawo, według którego za aktywność homo groziło 10 lat więzienia.

Jesteśmy narodem wyjątkowo tolerancyjnym, aczkolwiek nie zgadzamy się, by obsceniczne zachowania odbywały się na ulicy. Jednak mieszkańcy Starej Europy okazują wobec nas wyższość moralną. Niech Belgia wypłaci odszkodowanie za wymordowanie ośmiu milionów Murzynów w Kongu. Dlaczego nasi europarlamentarzyści nie zgłaszają projektu takiej uchwały? To otrzeźwiłoby Francuzów, Niemców, Brytyjczyków, Hiszpanów i Holendrów, mieszkańców krajów, które swój dobrobyt zbudowały na kolonialnej przemocy, i natychmiast ucichłby temat „prześladowania osób LGBT" i niszczenia wolnych mediów w Polsce.

Krajowi ideowi poplecznicy eurosocjalistów, w tym zwolennicy Strajku Kobiet, negują przypadki niszczenia kościołów. Jaka jest rzeczywistość? Od końca października 2020 r. do początku marca 2021 r. mieliśmy w Polsce 152 ataki na kościoły, w tym uszkodzenie mienia, niszczenie zabytków, zakłócanie nabożeństw, znieważanie pomników lub miejsc kultu oraz przypadków obrażania uczuć religijnych.

Armia współczesnych polityków, lekceważąc ataki na katolików, traktuje za to temat LGBT z religijną pasją. I tworzy atmosferę, w której absurd goni za absurdem.

Skunks podrywacz został usunięty z „Kosmicznego meczu 2". Dlaczego? Dziennikarz „New York Times" „odkrył", że Pepe Le Swąd jest symbolem kultury gwałtu. Uczelnia w Pensylwanii oferuje kurs analizujący „niebinarność" Jezusa, niedawno też zrekonstruowano „twarz" „kobiety" sprzed 3,2 mln lat i dokonano tego, jak podkreślają naukowcy, „bez opierania się na rasistowskich domysłach". Rada Języka Polskiego walczy ze słowem „Murzyn" i propaguje poradnik, który zaleca, by do akademiczek zwracać się „pani profesoro". Rada chce też, by zabroniono używania terminu „migrant ekonomiczny/migrantka ekonomiczna", ponieważ może nasuwać on krzywdzące skojarzenia z lenistwem czy wykorzystywaniem systemu pomocy społecznej. Izabela Leszczyna uznała natomiast, że lepsza jest aborcja niż życie w patologicznej rodzinie, z której krzywdzone dziecko można przecież zabrać. Śmierć okazuje się lepsza od adopcji.

Zgodnie z tą logiką sataniści z Teksasu ubiegają się o religijne prawo do rytualnych aborcji. To nie jest żart. Satanistyczne świątynie w Dallas, Fort Worth i Houston złożyły pozew w obronie swojego religijnego prawa do składania ofiar z dzieci. Świat stanął na głowie. Polska jest jeszcze wyspą normalności. Ale to, że mamy rację, nie wystarczy. Trzeba działań i technologii politycznej, która zatrzyma neomarksistowską rewolucję.

W USA Twitter blokuje Donalda Trumpa, dla równowagi blokuje też zdjęcia Bidena obściskującego małe dziewczynki. W tym samym kraju nie wolno obrażać uczuć 40-latka identyfikującego się jako nastoletnia koszykarka, obrażanie uczuć ludzi wierzących jest za to OK. Lewica jest wszędzie równie bezczelna. Synowie i wnuki tych z sowieckich czołgów, którzy mordowali wyklętych, mieli czelność atakować ich pamięć w dniu, kiedy Polacy oddawali niezłomnym cześć. Wieczna wam hańba.

Najgroźniejsze są jednak operacje na języku. Słowo „normalny" znika z etykiet kosmetyków, ponieważ „może prowadzić do poczucia wykluczenia". Normalność stała się formą dyskryminacji!

„Przyjdą takie czasy, że ludzie będą szaleni i jeśli zobaczą kogoś przy zdrowych zmysłach, to powstaną przeciw niemu, mówiąc: Jesteś szalony, bo nie jesteś do nas podobny". Świat oszalał. Nie ma nikogo, kto by tak nienawidził kobiet jak feministki.

eprasa.pl 1b410a6e1a

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

W miarę

Na szczycie Top 10 Netflixa mamy właśnie serial medyczny ***„New Amsterdam”***. Dwa sezony, 40 odcinków do obejrzenia w Polsce, i trzeci, już dostępny w USA. Wcześniej zrobiono z sukcesem kilka dobrych seriali o lekarzach, choćby „Dr House”, „Chirurdzy”, „Ostry dyżur”, „Na dobre i na złe” czy nieśmiertelny „Szpital na peryferiach”, o którym pamiętają już tylko najstarsi górale, a który dziesiątki lat temu oglądała cała Polska. „New Amsterdam” też daje radę. Jest serialem obyczajowym z pogranicza komedii i dramatu. Widz może się pośmiać, wzruszyć, rozpłakać czy nawet przestraszyć. To zręcznie zrobiona opowieść i dobrze zagrana. Publiczność przymyka więc oko na to, że jest zbyt słodka, odrealniona, wręcz ckliwa. Chorzy właściwie nie umierają. Lekarze toczą ciągłą wojnę o pieniądze ze złą górą, ale pacjenci leżą w luksusowych jedynkach, a życie człowieka w śpiączce jest podtrzymywane 14. rok. Jednak jest w tym wszystkim nuta, za którą bardzo tęsknimy. Każdy z nas chciałby bowiem być leczony przez doktora Judyma. Fabuła wzrusza i chwyta za serce, bo przedstawia lekarzy jako tych, którzy walczą do końca o ludzkie życie, a najważniejsze jest dla nich dobro pacjenta. „New Amsterdam” daje po prostu nadzieję, że są jednak gdzieś dobrzy lekarze z pasją i poczuciem misji ratowania ludzi.

Niestety serial jest też kwintesencją poprawności politycznej. I polityka, i ideologia są weń zręcznie wplątane. Mamy w nim prześladowanie czarnoskórych, pochwałę Obamacare, podskórną krytykę polityki byłego prezydenta USA Trumpa, mamy też różne wątki gender. Nie kłują one jednak w oczy, są bardziej w tle albo występują jako motyw poszczególnych wątków. Ale jeśli już mamy jakiegoś pozytywnego białego bohatera, to oczywiście jest homoseksualistą z czwórką adoptowanych dzieci. Połowa mądrych lekarzy jest czarnoskóra, a gdy znajdzie się wśród chorych imigrant, to jest nim bardzo szlachetny Latynos. Można się z tego wszystkiego śmiać. Ale dziś nasze dzieci PRL znają tylko z filmów Barei, a te były cenzurowane i nie służyły opisowi rzeczywistości. Kino jest najważniejszą ze sztuk. Rewolucjoniści pamiętają o tym dobrze.

„New Amsterdam” miał premierę w 2018 r., ale na Netflixa trafił dwa tygodnie temu. Obecnie jest najchętniej oglądaną produkcją tej platformy w Polsce.

Fot. Francisco Roman/NBC, materiały prasowe

POPKULTURA

Zobaczymy

Disney przerabia od kilku lat swoje klasyczne animacje na filmy w gwiazdorskich obsadach. Niestety reżyserzy tych produkcji z definicji odwracają klasyczne zasady. Źli bohaterowie są przedstawiani w dobrym świetle. Kolejna taka produkcja to film będący wariacją na temat „101 dalmatyńczyków”. Opublikowano niedawno w sieci zwiastun filmowej wersji tej bajki ***„Cruella”***, który ma mieć światową premierę 26 maja, w Polsce 28 maja. Wygląda na to, że „Cruella” będzie kolejną disneyowską przeróbką według wspomnianego schematu: czarny charakter dotąd uosabiający zło staje się superbohaterem, postacią, wokół której kręci się cała opowieść. Weźmy choćby przypadek „Śpiącej królewny”, w której zamiast Aurory zachwyt ma wzbudzać, tytułowa zresztą, czarownica. Odwrócenie hierarchii obowiązującej w baśniach dla dzieci to po pierwsze, zburzenie harmonii, która konstytuowała bajki, po drugie, uczenie dzieci albo, że zła nie ma, albo, co gorsza, że zło jest dobre.

Rewolucjoniści w wojnie cywilizacji wytyczyli nowy front. Bajki dla dzieci. A ja nie mogę zapomnieć podobnego postawienia świata wartości do góry nogami w jednym z raportów ONZ, w którym rodzina okazała się najbardziej niebezpiecznym i toksycznym miejscem dla kobiet. Rewolucjoniści obyczajowi podporządkowują świat swoim ideologiom. Dobrali się nawet do Disneya. 80 lat temu zła macocha w „Kopciuszku” była zła, dziś niosłaby sztandar walki ze światem stworzonym przez białe patriarchalne świnie. Ciekawe, czy z tęczową flagą i odsłoniętymi piersiami?

Ciepłe światło reflektorów wydobywa dziś zło na piedestał. Cóż, przyzwyczailiśmy się już niestety do popkultury na usługach ideologii.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 1b410a6e1a

Adamski

Nowy wspaniały świat już tu jest?

Stojący na czele politpoprawnego pochodu Netflix zabiera się do ekranizacji Aldousa Huxleya i bierze na widelec dystopijną antyutopię, która najmocniej uderza dziś w rewolucyjny pochód lewicy? Można było mieć obawy, że „Nowy wspaniały świat" będzie bezczelnym przemeblowaniem albo przynajmniej wypaczeniem tak bardzo proroczej wizji Huxleya z 1932 r. A jednak dostaliśmy wizję zaskakująco zgodną z wymową dzieła ekscentrycznego brytyjskiego pisarza.

Na świecie zapanowało powszechne szczęście. Nie ma już więzów starego świata. Nie ma już przestarzałej rodziny. Dzieci są produkowane w próbówkach i tam się decyduje, do jakiej kasty społecznej będą należeć. Będą Alfą, Betą albo od razu zostają przeznaczone do niższych warstw wykonujących pracę fizyczną. Człowiek od zapłodnienia należy do państwa zwanego Nowym Londynem. Skoro nie ma rodzicielstwa, to nie może też być małżeństwa. Zakazane są związki monogamiczne. Nie ma podziału na heteroseksualność i homoseksualność. Wszyscy są biseksualni i regularnie biorą udział w orgiach seksualnych. A co z miłością? Jest regulowana tak jak każde inne uczucie. Jak? Tabletkami, które obywatele „wspaniałego świata" łykają z prędkością kul lecących z kałasznikowa. Nie ma bólu. Nie ma złości. Nie ma zazdrości. Nie ma miłości.

Internet

Obywatele Nowego Londynu mogą zobaczyć stary świat, który jest zamknięty w rezerwatach. Tam żyją ludzie, którzy nie łykają tabletek. Ograniczają się do monogamii. Rodzą dzieci w sposób naturalny. Jak zwierzęta w zoo zapewniają rozrywkę mieszkańcom Nowego Londynu, którzy jeżdżą ich obserwować jak na safari. Kraina płynąca orgiami, tabletkami i panującą wszędzie sztucznie kontrolowaną szczęśliwością zostaje jednak „zbrukana" przez buntowników z krainy dzikusów. I tutaj mamy kolejny smaczek. Oto buntownikami są typowi mieszkańcy południa USA, zwani dziś przez lewicę pogardliwie redneckami. A więc bunt przeciwko krainie wyjętej z wizji niektórych lewicowych utopistów jest wywołany przez stereotypowych wyborców amerykańskiej prawicy? Rasa panów mówi tutaj z angielskim akcentem. Dzicy mówią z akcentem amerykańskim. Krytyka kolonializmu? Tak, ale tym razem to jankesi są prześladowani. Europejski snobizm w szatach nowej arystokracji kontra poczucie amerykańskiej wolności z opuszczonych prerii? Ciekawy powrót do pierwotnej wizji Anglika Huxleya, który potem odnalazł szczęście w Kalifornii. Szkoda, że to nie wybrzmiewa do końca.

Świat, jaki widzimy na ekranie, jest nam coraz bliższy. Obywatele Nowego Londynu są na stałe podłączeni do jednej wielkiej platformy społecznościowej, która podpowiada im, kto przynależy do jakiej klasy społecznej. Nie ma czegoś takiego jak prywatność. Voyeryzm jest oficjalnym wyznacznikiem życia. Czy jesteśmy daleko od tego świata? Wszechobecny monitoring, kontrola każdego aspektu naszego życia przez wielkie korporacje, zgoda na poddanie się manipulacji algorytmom. Czyż nie uzależniamy się od kolejnych antydepresantów, które tępią nasze emocje? Czyż każdego dnia nie poświęcamy kolejnych skrawków wolności w imię bezpieczeństwa? Antyutopia Huxleya dlatego zawsze bardziej mnie przerażała niż antyutopia Orwella „Rok 1984", bo to Amerykanin, który potem wyważał narkotykami „drzwi percepcji", pokazał, czym jest niewola, którą niewolnik szczerze kocha. Zachodnie społeczeństwa właśnie taką niewolę dziś wybierają, dając sobie narzucać kolejne normy politycznej poprawności i sprzedając wolność za opiekę „państwa niańki". Serial Netflixa nie dotyka aż tak problemu dyktatury poprawności politycznej jak zapomniana wariacja na temat huxleyowskiego świata z 1993 r. pt. „Człowiek demolka" z Sylvestrem Stallone'em i Wesleyem Snipesem, ale w zaskakująco ostry sposób obnaża dążenie do powszechnej szczęśliwości w kontrze do tradycji.

Nie mam pretensji, że serial jest efekciarski i dosłowny (momentami absurdalne nagromadzenie scen orgii seksualnych), ale ubolewam, że produkcja jest nie do końca spełniona artystycznie. O ile znany m.in. z roli Hana Solo w spin-offie „Gwiezdnych wojen" Alden Ehrenreich jest na tyle charyzmatycznym „dzikim", że przejmuje mnie jego misja rozsadzenia od środka Nowego Londynu (poruszająca jest też jego relacja z matką, graną przez zapomnianą dziś divę lat 90. Demi Moore), o tyle dwójce (Jessica Findlay Brown i Harry Lloyd) „budzących się" z totalitarnych kleszczy mieszkańców utopijnego miasta brak magnetyzmu. Zupełnie pozbawiona wyrazu jest też Nina Sosanya, grająca demiurga rozdartego między potrzebą zmian w Nowym Londynie a pozostawieniem krainy szczęśliwości nietykalną.

Serial nie okazał się komercyjnym sukcesem. Pierwotny jego producent, stacja NBCUniversal, skasowała go po jednym sezonie. Jego krytyka jest jednak przesadzona. „Nowy wspaniały świat" nie ma może poziomu „Westworld", gdzie maszyny buntują się przeciwko ludziom (u Huxleya jest w zasadzie odwrotnie), ale jest na tyle wyrazistą wizją, że każe nam postawić sobie pytanie o to, ile nowego wspaniałego świata jest już obok nas. Odpowiedź jest upiorna.

SERIAL DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 1b410a6e1a

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Groza rozpadającej się rodziny

VOD/DVD

Przegapiłem w zeszłym roku ten film w kinach. Szkoda, bo na pewno trafiłby na moją listę najlepszych filmów 2020 r. „Gniazdo" Seana Durkina jest osadzone w latach 80., czyli erze reaganizmu i thatcheryzmu. Jednak w czasie dzisiejszych coraz ostrzejszych napięć klasowych ma on wymiar bardzo współczesny i uniwersalny. Zaczyna się jak opowieść o dwójce pięknych, pełnych sukcesu ludzi, mieszkających na północy stanu Nowy Jork. Rory (Jude Law) i Allison (Carrie Coon) mają wszystko, co potrzeba im do szczęścia – okazały dom, pracę i dwójkę dzieci (Oona Roche, Charlie Shotwell). Niespodziewanie Rory oznajmia żonie, że jeszcze mocniej poprawią swój los, gdy wrócą do jego rodzinnej Anglii. Zmiana już w swoim zewnętrznym wymiarze jest totalna. Typowy amerykański dom zostaje zamieniony na przytłaczającą i zupełnie zdumiewającą swoim rozmachem podlondyńską posiadłość. Czy małżeństwo stać na taki luksus? Rory jest wschodzącą gwiazdą rynków finansowych, wypuszczonych ze smyczy przez rządzących liberałów z obu krajów po dwóch stronach Atlantyku. Alison ma swoje obawy i wątpliwości, ale Rory szybko karmi jej miłość do hodowli koni, budując w wielkiej posiadłości prywatną stajnię. Co jednak z dziećmi? Młodszy syn jest przerażony starym, gotyckim domem, który przypomina mu obrazy z horrorów. Nastoletnia córka natomiast szybko stapia się ze zbuntowanymi przeciwko thatcheryzmowi rówieśnikami. W obojgu, choć z innych powodów, rośnie więc pretensja do ojca – człowieka nowej ery turbokapitalizmu.

Akcja „Gniazda" od samego początku płynie dwutorowo. Z jednej strony jest to film o ambicji bycia jakąś wersją przerysowanego Gordona Gekko z „Wall Street" Olivera Stone'a, który przekonywał, że „chciwość jest dobra". Rory jest chłopakiem z biednego domu. Chce bogactwa pokazanego w popkulturze i książkach o kolejnych mutacjach Wielkiego Gatsby'ego. Jest więc „Gniazdo" opowieścią o przeobrażeniu się Wielkiej Brytanii pod rządami Margaret Thatcher. Do tej pory filmowcy skupiali się głównie na perspektywie robotników i tych, którzy stracili socjalne bezpieczeństwo przez jej reformy. Teraz oglądamy, jak otwarcie londyńskiego City i szybkie fortuny tych, którzy pierwsi dostrzegli siłę globalizacji, wpłynęły na kastowe i klasowe przeobrażenie się całej Wielkiej Brytanii. Rory chce właśnie takiego sukcesu. Wbrew tym, którzy przez całe życie patrzyli na niego protekcjonalnie z pozycji uprzywilejowanych dziedziców fortun. On chce być jak oni już teraz. Tyle że jego wyobrażenie o bogactwie jest bardziej jankeskie. Stąd amerykańska żona i pałac pod Londynem. A że się rozsypuje? Ważne, że można się nim pochwalić przed partnerem biznesowym. Również Alison przykuwa się do wizji bogactwa. Godzi z rolą rozpieszczanej drogimi prezentami żony, zajmującej się końmi i dziećmi. No, ale nie może doczekać się na zbudowanie stajni. Bo Rory nie jest wcale tak bogaty, jak mówi?

Od samego początku czujemy napięcie, które potęgują mroczne korytarze starej posiadłości. Nie przez przypadek autorem zdjęć jest tutaj Węgier Mátyás Erdély. Wcześniej w niezwykle sugestywny sposób pokazał obóz koncentracyjny w oscarowym „Synu Szawła". Durkin ma natomiast na koncie jeden z najbardziej przenikliwych filmów o uwikłaniu w sektę, czyli „Martha Marcy May Marlene" (2011). Niepokój, jaki nam towarzyszy od pierwszych minut filmu, zwiastuje katastrofę. Nie wiemy jednak jaką. Czy to rozpad małżeństwa? Kłamstwo podmywające fundamenty rodziny? A może chodzi o śmierć, która też pojawia się w tej historii? Durkin mistrzowsko prowadzi akcję. Myli tropy i delikatnie bawi się filmowymi gatunkami. Robi to jednak bez efekciarstwa. Kanadyjski filmowiec mieszkał zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i USA. Wie dobrze, jak zderzyć z sobą zmitologizowane, amerykańskie przedmieścia, otoczone białym, plastikowym płotkiem z zatopionymi w historii przedmieściami Londynu. Te dwa światy ścierają się z sobą, jak coraz większa niechęć między małżonkami.

W jednej z recenzji przeczytałem, że o ile Carrie Coon doskonale oddaje zaciskający się dramat żony, o tyle Jude Law został źle obsadzony. Nic bardziej mylnego. Coon jest bardzo dobra w roli „amerykańskiej księżniczki" wpadającej do świata, który ją przytłacza, ale to Law tworzy kolejną po „Młodym papieżu" bardzo złożoną i tajemniczą postać. W „Gnieździe" w równym stopniu przeraża i żenuje. Wzbudza nasze współczucie i gniew. Jest oprawcą i jednocześnie ofiarą. Jest niejednoznaczny jak cały film Durkina, który wygląda jak gotycki film grozy. A jest to przecież kino o grozie rozpadającej się rodziny.

„GNIAZDO" DOSTĘPNE NA VOD I DVD

eprasa.pl 1b410a6e1a

Jak rozwijać firmę w czasie pandemii

Cyfryzacja ma być najskuteczniejszym sposobem na uodpornienie naszej rzeczywistości na zdarzenia kryzysowe – choćby takie jak wybuch pandemii. Aż 20 proc. środków w ramach tzw. Krajowego Planu Odbudowy ma pochłonąć właśnie cyfryzacja. Czy ten kierunek rozwoju rzeczywiście okaże się skuteczny? Na wiele pytań odpowiedź dopiero poznamy, ale już dziś możemy stwierdzić, że najbardziej odporne na kryzys wywołany COVID-19 są te biznesy, których właściciele i zarządcy postawili na cyfryzację swoich usług

Jednym z najbardziej jaskrawych przykładów, w jaki sposób nie tylko przetrwać bezboleśnie pandemię, lecz nawet utrzymać w jej trakcie dynamikę wzrostu, jest Totalizator Sportowy (TS). Spółka na długo przed wybuchem pandemii SARS-CoV-2 rozpoczęła modernizację swoich usług, skupiając się przede wszystkim na budowie szerokiej dostępności dla klienta. Jeszcze kilka lat temu jedynym sposobem na zagranie w popularnego „lotka" było osobiste odwiedzenie kolektury, a opłacenie zakładu było w większości punktów możliwe jedynie w formie gotówkowej. Można być pewnym, że utrzymanie takiej formy dystrybucji gier losowych jako jedynie dostępnej bardzo negatywnie odbiłoby się na wynikach finansowych TS za 2020 r., kiedy przez długi czas wiele punktów handlowych było zamkniętych, a klienci świadomie rezygnowali z używania gotówki z obawy przed zakażeniem. Tymczasem Totalizator Sportowy nie tylko nie zanotował obniżenia wyników, lecz ustanowił kolejny historyczny rekord przychodów.

Ten niewątpliwy sukces był możliwy właśnie dlatego, że spółka konsekwentnie wzmacniała swoją obecność w świecie cyfrowym, oferując klientom wciąż nowe gry, sposoby płatności za nie, odświeżając swoją stronę czy stale usprawniając interfejs na urządzeniach mobilnych.

Należące do TS jedyne legalne kasyno internetowe – Total Casino – jest jednym z przykładów skutecznego wejścia spółki w obszar cyfrowy. Nie tylko umożliwiło firmie wzrost przychodów, lecz – co najważniejsze – znacząco wpłynęło na zmniejszenie poziomu szarej strefy w grach świadczonych przez internet. Jak wskazało w ostatnich dniach Ministerstwo Finansów, 2020 to pierwszy rok, w którym szara strefa w Polsce w zakresie gier kasynowych online kształtowała się poniżej średniej UE, a działające w ramach monopolu państwa Total Casino w okresie dwóch lat swojej działalności, dynamicznie odbierając klientów nielegalnym podmiotom, objęło już blisko 60 proc. polskiego rynku!

Przypadek Totalizatora Sportowego jest o tyle krzepiący, że konkretne działania wzmacniające cyfryzację spółki i zwielokrotniające jej dochody przekładają się także na znaczący wzrost dotacji dla instytucji kultury i sportu. TS aktywnie wspiera również walkę z COVID-19, a tylko w 2020 r. wsparcie to wyniosło ponad 25 mln zł. W kwocie tej zawierają się przede wszystkim środki pochodzące z programu przekazywania 10 proc. ze sprzedaży gier na lotto.pl na rzecz walki z koronawirusem i jego skutkami.

Historyczny rekord Totalizatora

W 2020 r. sprzedaż wygenerowana przez Totalizator Sportowy była warta łącznie 15 380 989 tys. zł, co oznacza wzrost o prawie 5,5 mld zł w stosunku do roku 2019! Jeśli doliczyć do tego rekordowe dopłaty, jakie spółka przekazała m.in. na wsparcie sportu i kultury, które wyniosły 1 103 297 tys. zł, to mówimy o przychodach w łącznej kwocie aż 16 484 287 tys. zł.
Spółka przekazała również rekordowe 1 182 819 tys. zł z tytułu podatku od gier (w 2019 r. było to 1 082 373 tys. zł), nie tylko po raz kolejny przekraczając historyczny pułap 1 mld zł, lecz także przekazując o 100 mln zł więcej niż w roku ubiegłym. W sumie wpływy do budżetu państwa w 2020 r. z tytułu dopłat i podatku od gier wyniosły 2 286 117 191 zł.

BANKI SILNIEJSZE NIŻ OBAWY

Pozytywne przykłady na to, że warto inwestować w cyfrową transformację, płyną także z sektora bankowego. Choć

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1b410a6e1a

czynniki makroekonomiczne zadziałały ogólnie negatywnie na wyniki sektora, to i tak okazywały się one daleko lepsze od oczekiwań ekspertów, którzy byli zaskakiwani faktem, jak bardzo odporne okazywały się banki w Polsce na covidową zawieruchę. I znów głównej przyczyny takiego stanu rzeczy należy upatrywać w znaczącej informatyzacji usług bankowych w Polsce. Im bardziej zaawansowany technologicznie bank, tym łatwiejszy dostęp zdalny do jego usług posiadają klienci. Efekty? Widać je chociażby w wynikach Alior Banku czy PKO BP, które konsekwentnie stawiają na cyfryzację swoich usług. I choć wyniki obydwu banków za 2020 r. były dalekie od rekordowych, to znacznie przekraczały konsens oczekiwań ekspertów.

„Zysk netto grupy Alior Banku w czwartym kwartale 2020 r. wyniósł 120,3 mln zł – wynika z wyliczeń PAP Biznes na podstawie raportu rocznego. Konsens oczekiwań zakładał wypracowanie przez bank zysku na poziomie 71,5 mln zł. Oczekiwania 12 biur maklerskich, co do zysku banku za czwarty kwartał, wahały się od 40 mln zł do 97 mln zł – Alior zaprezentował mocny zestaw wyników, które zostały obciążone jednorazowymi pozycjami. Uważamy, że wyniki są pozytywne, ponieważ bank wykazuje odporność na warunki pandemiczne. Bank ogłosił też program oszczędnościowy, który powinien pomóc obniżyć koszty o ok. 100 mln zł w 2021 r. – napisali analitycy BM mBanku" – ten cytat nie pochodzi ze strony prowadzonej przez bankowych marketingowców, ale z portalu bankier.pl.

Cyfryzacja usług, tworzenie nowych wygodnych kanałów dostępu, rozszerzanie katalogu spraw możliwych do załatwienia w sposób zdalny to naturalne wyzwania stojące przed Polską. Podmioty, które biorą aktywny udział w tym rozwoju, muszą jednak pamiętać o zagrożeniach, jakie niesie z sobą aktywność w świecie cyfrowym. Tutaj znów warto pokazać dobry przykład Totalizatora Sportowego, który jako spółka angażująca środki pieniężne swoich klientów bardzo dba o to, by korzystanie z jej cyfrowych usług było pozbawione ryzyka stania się ofiarą cyberprzestępców. Grający na stronie lotto.pl oraz na uruchomionym przez Totalizator Sportowy Total Casino zyskali w ubiegłym roku możliwość łatwej, ale jednocześnie bezpiecznej rejestracji dzięki usłudze mojeID, którą TS wprowadził dzięki współpracy z Krajową Izbą Rozliczeniową. Właściciel marki LOTTO był pierwszą firmą na rynku rozrywki, która wykorzystała mojeID do rejestracji klientów.

Wątek bezpieczeństwa i „cyfrowej edukacji społecznej" jest podnoszony także w trakcie konsultacji Krajowego Planu Odbudowy. Trzeba bowiem pamiętać, że przeprowadzenie cyfryzacji kraju zakończy się sukcesem jedynie wówczas, gdy oprócz zinformatyzowanych nowoczesnych firm czy urzędów uda się nam doprowadzić do nich miliony znakomicie radzących sobie w cyfrowym świecie klientów i petentów. Na cyfryzację i naukę jej obsługi Polska ma wydać w najbliższych latach ponad 10 mld euro.

Bartosz Życiński

Wybrane projekty związane z cyfryzacją w ramach Krajowego Planu Odbudowy*

Zapewnienie powszechnego dostępu do szybkiego internetu poprzez wyeliminowanie tzw. białych plam, czyli problemu wykluczenia cyfrowego i całkowitego braku dostępu do sieci.

Zwiększenie dostępności e-usług publicznych, tak aby zmaksymalizować liczbę spraw możliwych do załatwienia drogą elektroniczną.

Zwiększenie wykorzystania technologii przełomowych: sztuczna inteligencja (AI), blockchain, internet rzeczy (IoT). Dzięki przetwarzaniu wielkich zbiorów danych (Big Data) oraz szerszemu wykorzystaniu systemów sztucznej inteligencji – w tym uczenia maszynowego, automatyzacji i robotyzacji produkcji i usług – włączymy Polskę w nurt tzw. czwartej rewolucji przemysłowej. W rezultacie powstaną możliwości kreowania zupełnie nowych usług, produktów i rodzajów działalności gospodarczej.

Podnoszenie kompetencji cyfrowych Polaków. Wraz z rozwojem przemysłu 4.0 etaty w wielu branżach będą wypierane przez nowoczesne technologie, podczas gdy na znaczeniu zyskają nowe kategorie umiejętności związane z technologiami przyszłości. Obecność nowoczesnych technologii w przedsiębiorstwach i instytucjach będzie stałym impulsem do podnoszenia kompetencji. Wyposażanie pracowników w odpowiednio wysokie umiejętności, na miarę wyzwań gospodarczych i technologicznych, będzie kompensować spadek zapotrzebowania na pracę ludzką. Finalnie możliwy będzie wzrost produktywności i płac.

**Źródło: www.gov.pl/web/cyfryzacja/cyfryzacja-w-krajowym-planie-odbudowy*

eprasa.pl 1b410a6e1a

W oczekiwaniu na dostawy szczepionek

W ubiegłym tygodniu dotarło do Polski 146 tys. dawek preparatu AstryZeneki, w tym przyjedzie 210 tys. dawek Moderny. Mało jak na nasze potrzeby i zawarte umowy. Z czego wynikają opóźnienia w dostawach szczepionek przeciw COVID-19 do magazynów Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych?

EDYTA HOŁDYŃSKA

Chiny i Rosja zezwoliły na własne szczepionki już w lipcu i sierpniu ubiegłego roku, zanim zostały w pełni przetestowane. Drugie w kolejności były Stany Zjednoczone, potem Wielka Brytania. Na dziś w 114 krajach podano ogółem ponad 304 mln dawek. Dużo, ale w skali globalnej to jednak mało zadowalający poziom. To średnio 7,93 mln dziennie. W tym tempie osiągnięcie znacznego poziomu odporności na świecie zajęłoby niecałe cztery lata. Odsetek jednak stale rośnie i wkrótce mogą być dostępne nowe szczepionki od dodatkowych producentów. Także w Polsce.

Kampania szczepień jest ogólnoświatowa, ale tylko kilka krajów świata może się poszczycić jej ekspresowym tempem. Wygrywa Izrael z 96 dawkami podanymi na każde 100 osób. Większość krajów nie wykonała jeszcze ani jednego zastrzyku. Dostarczenie miliardów szczepionek w celu powstrzymania rozprzestrzeniania się COVID-19 na całym świecie jest jednym z największych wyzwań logistycznych, jakie kiedykolwiek podjęto.

LOGISTYKA

Jak radzi sobie Polska? Na 6 tys. punktów szczepień trafia tygodniowo około 30 dawek szczepionek. Początkowe 360 tys. dawek preparatu Pfizera podzielono na dwie części tak, by każdemu zaszczepionemu pierwszą dawką pacjentowi wystarczyło preparatu także na drugą. Charakterystyka produktu leczniczego – czyli informacje w ulotce – mówiła o konieczności jej przyjęcia od 21 do 42 dni po pierwszej iniekcji. W Polsce przyjęto, że druga dawka będzie podawana po trzech tygodniach, czyli po minimalnym czasie, jaki dopuszcza producent. Do tego były informacje o konieczności przechowywania szczepionki w temperaturze minus 180 stopni. W miarę upływu czasu i większej liczby badań naukowych okazało się, że szczepionka może być przechowywana również w wyższej temperaturze. A także, że odroczenie podania drugiej dawki szczepionki do 42 dni nie ma wpływu na jej obserwowaną skuteczność. Na podstawie tych informacji Ministerstwo Zdrowia postanowiło w ubiegłym tygodniu o przesunięciu iniekcji drugą dawką preparatu Pfizera do sześciu tygodni.

EWIDENCJA

W obliczu informacji, że składy nie otrzymują szczepionek, pomimo zgłaszanego Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych zapotrzebowania, ta zadecydowała, że centralna rejestracja będzie działała w inny niż dotychczas sposób. Ścisła ewidencja zapotrzebowania zgłaszanego przez punkty szczepień ma zapobiegać nieprawidłowościom.

Jak mówi Michał Kuczmierowski, prezes Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, zdarzało się, że punkty obok oficjalnie zarejestrowanych osób dopisywały „do zeszytu" dodatkową listę. Na tej podstawie otrzymywały szczepionki także dla osób, które mogły nie być w grupie oficjalnie przeznaczonej na danym etapie do szczepienia.

– Z tej sytuacji mamy naukę, że trzeba ustalać limit liczby pacjentów dla placówki. Na tydzień dla punktu szczepień do 30 osób, dla szpitala węzłowego 240 osób, a dla szpitala tymczasowego 240 dziennie – informuje Kuczmierowski.

OPÓŹNIENIA

Skąd biorą się opóźnienia w dostawach szczepionek do krajów unijnych, skoro USA, Izrael czy Wielka Brytania, która ze wspólnoty wystąpiła, szczepią bez zbędnej zwłoki? Okazuje się, że producenci wysyłają konkretną liczbę szczepionek krajom unijnym, bo w umowie negocjowanej przez Komisję Europejską zabrakło zapisów o karze umownej, która obligowałaby producentów do dostaw bez opóźnień. Wobec czego mogą bezkarnie kierować większą część dawek tam, gdzie zrobią na tym lepszy biznes. Izrael najprawdopodobniej zapłacił producentom więcej niż UE. Do tego przekazuje dane medyczne o zaszczepionych pacjentach. Włochy zatrzymały ostatnio wywóz do Australii szczepionek przeznaczonych dla Unii.

Mimo problemów w dostawach program szczepień w Polsce trwa nieprzerwanie. Jesteśmy na drugim miejscu spośród największych krajów Unii, z wynikiem 10,8 zaszczepionych osób na 100 mieszkańców. Wyprzedzamy Hiszpanię, Niemcy, Szwecję, Włochy czy Francję. Do 10 marca w Polsce zostało wykonanych ponad 4 mln szczepień. Pierwszą dawką zaszczepiono już przeszło 2,6 mln osób, a ponad 1,4 mln dawką drugą.

Rozmowa z Michałem Kuczmierowskim, prezesem Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, dostępna na wPolsce.pl

eprasa.pl 1b410a6e1a

Hit tygodnia

Sony A1

Firma Sony – w to już chyba nikt nie wątpi – rozdaje karty na rynku aparatów bezlusterkowych. To też znak czasów, spadająca od lat sprzedaż kompaktów, które właściwie zostały wyparte przez telefony komórkowe, jak również coraz słabsza sprzedaż i oferta tradycyjnych lustrzanek na rzecz bezlusterkowców. Sony obok całej gamy tego typu aparatów z matrycą APS-C powiększa sukcesywnie swoje portfolio urządzeń pełnoklatkowych. Co można powiedzieć o Sony A1? Specyfikacja aparatu, delikatnie mówiąc, niemalże deklasuje konkurencję na każdym polu. Matryca 50 Mpix – ogromna rozdzielczość i szczegółowość zdjęć, nagrywanie filmów w rozdzielczości 8K – bardzo duże możliwości „cropowania" ze względu na wielkość klatki filmowej. Tryb seryjny to 30 kl./s – żadna reporterska lustrzanka nawet nie zbliża się do tego wyniku. Plus oczywiście inne najświeższe technologie. Być może ta recenzja przypomina nieco laurkę, ale prawda jest taka, że Sony pokazało to, co ma najlepsze w tym momencie i krótko mówiąc, zostawia konkurencję w tyle. Oczywiście każdy kij ma dwa końce. Rodzi się pytanie, czy japoński producent nie przeszarżował? No i cena, w Polsce ok. 35 tys. zł. Ale taki jest koszt nowości.

premiera

Plusy i minusy

+ jednym słowem: możliwości
– również jednym słowem: cena

Kruger & Matz Drive 9

Od dłuższego czasu rynek telefonów komórkowych jest zdominowany przez azjatyckich producentów z Korei Południowej bądź Chin. Ale również nasi krajowi producenci mają się czym pochwalić. Tak jest w przypadku smartfona Drive 9 firmy Kruger & Matz, urządzenia, które poradzi sobie w trudnych warunkach. Porty oraz przyciski w Drive 9 zostały uszczelnione, dlatego nie zaszkodzi mu nawet pełne zanurzenie w wodzie. Smartfon ma klasę odporności IP68, co oznacza, że jest także pyłoodporny. Smartfon został wyposażony w duży wyświetlacz 6,5" HD+, w proporcjach 19:9. Urządzenie ma 8-rdzeniowy procesor, 4 GB RAM oraz 64 GB pamięci wewnętrznej. Drive 9 działa z wykorzystaniem systemu Android 10.

Cena: 799 zł

Razer Kiyo Pro

W dzisiejszych, trudnych czasach spowodowanych pandemią często pracujemy zdalnie, dlatego zwracamy większą uwagę na sprzęt komputerowy, na jakim pracujemy. Chodzi po prostu o wygodę pracy. Firma Razer, znana głównie z wysokiej jakości produktów dla graczy komputerowych, ma swojej ofercie również urządzenia, które są przeznaczone do zdalnej pracy. Kamera internetowa Razer Kiyo Pro powstała z myślą o wideokonferencjach. Kamerka zapewnia bardzo dobrą jakość i szczegółowość obrazu w nieskompresowanym Full HD 1080p 60 kl./s, tryb HDR 30 FPS zwiększa zaś zakres dynamiczny. Z kolei obiektyw szerokokątny pozwala na wybór trzech pól widzenia o różnym stopniu: 103°, 90° lub 80°, dzięki czemu nadaje się do wideokonferencji lub przesyłania strumieniowego. Dzięki elastycznym opcjom montażu na monitorze, blacie stołu czy statywie, Kiyo Pro można ustawić niezależnie od dostępnej przestrzeni. Kiyo Pro wykorzystuje połączenie USB 3.0 do przesyłania sygnału 5 GB/s. Do kamerki dołączana jest oddzielna osłona, która chroni obiektyw i zapewnia prywatność użytkownika, kiedy Kiyo Pro nie jest używana.

Cena: 210 euro

Przygotował
Paweł Gadaczek

eprasa.pl 1b410a6e1a

AGNIESZKA MIELCZAREK*

Pięknie przyprawiona

Pięknie przyprawiać nie tylko można, ale warto, a nawet trzeba. Przyprawy są jednym z najzdrowszych dodatków w kuchniach świata. Odmładzają. Nie tylko skórę. Służą poszczególnym organom i całemu organizmowi. W trudnym czasie – zarówno pandemii, jak i znacznie dłużej uprzykrzających nam życie chorób cywilizacyjnych – są wręcz nieocenione.

Wspaniale jest poznawać, próbować czegoś nowego, ale dobre jest też to, co sprawdzone, co już znamy. Nie wyobrażam sobie współczesnej kuchni bez tradycyjnych przypraw i stale ich używam. Nie zawsze w oczywisty sposób.

Zastanówmy się np., co fani smalcu tak naprawdę lubią w tym wysokokalorycznym tłuszczu. Nasze babki dodawały do niego liść laurowy, ziele angielskie, majeranek, pieprz, sól... A co, jeśli zamienimy odzwierzęcy składnik na białą zmiksowaną fasolę i połączymy z przesmażoną cebulą oraz wspomnianymi przyprawami? Otrzymamy coś przepysznego na śniadanie – zamiast pasztetów, wędlin, żółtych serów. Zdrowe białko i całą gamę witamin. Oczywiście nakładamy taką pastę na ciemne pieczywo.

Wśród przypraw, które nie tak dawno stały się powszechne w naszych kuchniach, bardzo lubię kurkumę. Dodaję ją np. do sałatki śledziowej z jajkiem i jabłkiem (jest składnikiem sosu jogurtowego – z odrobiną majonezu i posiekanych daktyli). Często używam jej do zup i – zdradzę tu mój sekretny przepis – ekspresowego bulionu. Żeby nie używać kostki rosołowej, możemy do zagotowanej wody dolać sosu sojowego oraz wsypać odrobinę kurkumy i mamy już dodającą głębszego smaku bazę do zupy, np. kremu warzywnego.

Kurkuma łączona z imbirem to popularny w ostatnim czasie składnik mikstur wspomagających odporność. Ja staram się odkrywać też polskie odpowiedniki podobnych produktów. Świetnym prozdrowotnym zamiennikiem imbiru jest świeżo starty chrzan. To bomba antyoksydacyjna i odmładzająca. Znakomicie działa też na ścianki żołądka, jelita, cały układ pokarmowy.

Nie tylko na zdrowy początek dnia proponowałabym taką mieszankę: ciepła woda, trochę świeżo startego chrzanu i miód. Pijemy ten napój trzy razy dziennie. Rewelacyjnie wzmacnia, odkaża (niegroźne nam katary), łagodzi też stany przejedzenia po proszonym obiedzie. I na dodatek świetnie smakuje.

Jolanta Gajda-Zadworna

** trener żywienia; ma własny kanał „Jedz inaczej", a w TVP Kobieta – program „Pięknie przyprawiona"*

PASTA Z FASOLI

Potrzebujemy białej, najlepiej ugotowanej fasoli (może też być z puszki). Cebulę, najlepiej czerwoną, pokrojoną w kostkę (nie za drobno), smażymy z przyprawami (zielem angielskim, liściem laurowym) i pokrojonym w paseczki czosnkiem. Pod koniec wyjmujemy ziele angielskie i liście laurowe (bo ich nie zmiksujemy) i resztę dodajemy do fasoli, dorzucamy świeżo starty w ręku majeranek i leciutko miksujemy. Jeśli lubimy to połączenie, to do cebuli możemy też dorzucić jabłko (najlepiej pokrojoną w kostkę szarą renetę). Dodajemy ją – jak kto woli – na etapie smażenia lub na sam koniec, na surowo. Potem tylko króciutkie miksowanie, dosłownie jeden obrót, sól, pieprz i jest pysznie.

Fot. TVP program Pięknie przyprawiona, Shutterstock

eprasa.pl 1b410a6e1a

SŁODKO-SŁONY

Nie tylko faszerowane

ANNA MONICKA

Jajek jadło się u nas zawsze dużo, i to nie tylko w czasie postów. Na miękko, po wiedeńsku, w koglu-moglu, omletach, koszulkach, szakszukach i najróżniejszych wariantach jajecznicy: zielonej (ze szpinakiem i groszkiem), czerwonej (z pomidorami i papryką), pomarańczowej (z kurkami lub rydzami – specjalnie na takie okazje były podsmażane i zalewane gorącym masłem, a potem zamrażane).

Ulubiona sałatka? Oczywiście z jajkiem, ogórkiem i cebulką. Wiosenna kanapka? Jajko i szczypior. Wydawać by się mogło, że na rodzinnych imprezach odmówimy sobie jajek, ale nie. Danie, o które zawsze prosi moja córka, to jajka faszerowane. Nikt nie robi tak pysznych jak moja mama. Nadzienie jest oczywiście jajeczne – ugotowane na twardo, posiekane, z dużą ilością zieleniny: koperku, natki pietruszki i szczypiorku. Masę jajeczną miesza się z jajkiem surowym i przekłada do równiutko przekrojonych nożem na połówki skorupek. Układa się je na tartej bułce, a potem smaży kilkanaście minut na maśle klarowanym, żeby białko się dobrze ścięło. Liczba surowych jajek zależy od tego, ile mamy gotowanych. Nadzienie nie powinno się sypać.

U nas w domu traktujemy to danie obiadowo, bo jest bardzo sycące, ale następnego dnia jest też pysznym śniadaniem – dobrze smakuje i na ciepło, i na zimno.

Taki farsz nadaje się na kotleciki, można go też zapiec w małej foremce i mieć wegetariański pasztet. Albo zrobić zapiekanki z wydrążonych bagietek.

Czym doprawiać? Albo tradycyjnie, po prostu solą i pieprzem, albo na modłę orientalną – pachnącą przyprawą curry, wędzoną papryką, gałką muszkatołową. Świetnie smakują z plastrem wędzonego łososia, sosem chrzanowym, grzybkiem marynowanym, wszelkimi zielonymi sałatami. Warto sobie o tym daniu przypomnieć przed świętami wielkanocnymi. Na pewno urozmaici jadłospis.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Ichtiofauna jeziora Genezaret

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Mało który aspekt pojawia się w Piśmie Świętym tak często jak przyroda – zarówno w księgach starotestamentowych, jak i w Ewangeliach. Tak często, że czytanie Biblii jest niczym lektura przyrodniczej monografii Ziemi Świętej, obejmującej przyrodę nieożywioną i wszystkie grupy organizmów żywych.

To zadziwiające, ale rzeczywiście co chwila czytamy a to o przepiórkach, a to o wróblach, o wielbłądach, sykomorach, gorczycy, morwach (przy czym zwraca uwagę wielka liczba wymienianych gatunków) i oczywiście o rybach. Jezus łowił ryby, apostołowie byli rybakami – ryby są więc ważne.

Przypominając sobie chwilę, kiedy Jezus staje nad brzegiem jeziora Genezaret, zwanego również Tyberiadzkim lub Galilejskim, i zadaje pytanie swoim przyszłym uczniom, ile ryb złowili, postawmy jednocześnie pytanie, jakie gatunki ryb poławiane były dwa tysiące lat temu, stanowiąc wówczas jeden z podstawowych elementów diety.

Pytanie to jest interesujące nie tylko dla przyrodnika, było wówczas istotne również dla ludzi tamtych czasów i miejsc. Na przykład bowiem suma afrykańskiego *Clarias gariepinus*, największej ryby Palestyny, dorastającej do 1,5 m długości i kilkunastu kilogramów masy ciała, nazywanej też tawada, Żydzi nie jedli, uważając ryby bezłuskie za nieczyste.

Spośród blisko 25 gatunków ryb występujących w tym dużym jeziorze łowiono kilkanaście gatunków, przy czym największe znaczenie miało kilka z nich.

Najważniejszym, masowo odławianym gatunkiem, była niewielka, kilkunastocentymetrowa, żyjąca w ławicach ryba *Acanthobrama terraesanctae*, nazywana słodkowodną sardynką, w rzeczywistości należąca do karpiowatych (sardynki należą do śledziowatych). Ryby te poławiane są w wielkich ilościach również i dziś.

Natomiast jeżeli czytamy o „stu pięćdziesięciu trzech" dużych rybach, które na polecenie Jezusa wyciągnął siecią Piotr, możemy zakładać, że były to tilapie złote *Oreochromis aureus* (nadal masowo poławiane), nazywane „rybami świętego Piotra". Ponieważ największe okazy dorastają do 50 cm długości i 2 kg masy ciała – a ryby wyciągnięte przez Piotra były wyjątkowo duże – możemy założyć, że połów, o którym pisze święty Jan, przekraczał 300 kg ryb.

eprasa.pl 1b410a6e1a

János Esterházy: arystokrata, patriota, polityk... uczeń Chrystusa

Esterházy mógłby być patronem polityków. Traktuje on politykę jako misję służby wspólnocie

JAN POSPIESZALSKI

„Jestem wdzięczny Polsce za matkę naszego wspólnego bohatera" – mówi dyplomata węgierski Imre Molnár w nagraniu dla programu „Warto rozmawiać".

Dokładnie 120 lat temu, 14 marca 1901 r., urodził się János Esterházy. Był potomkiem arystokratycznego rodu Galantha, jego ojciec, oficer Austro-Węgier, służąc w Krakowie, poznał hrabinę Elżbietę Tarnowską (córkę rektora UJ). Młoda para zamieszkała w majątku Esterházych niedaleko Nitry, w rejonie zamieszkanym przez Słowaków. Tam przyszedł na świat János. Ten kontekst jest bardzo istotny, ponieważ w osobie Esterházego dostrzegamy złożoną przynależność: węgierską, polską i słowacką. Ojciec osierocił Jánosa, gdy chłopiec miał zaledwie cztery lata. Umierając, pożegnał się z synem słowami: „Pamiętaj, abyś był zawsze dobrym Węgrem". János Esterházy życiem zaświadczył, że matka, Elżbieta Tarnowska, Polka, wzorowo wypełniała ten testament. Na czym polega fenomen Esterházego? Co w tym człowieku było tak niezwykłego, że rozpoczęto starania o jego beatyfikację?

Był rówieśnikiem naszego prymasa Wyszyńskiego. To pokolenie było doświadczone dwiema wojnami, demontażem imperialnej Europy, tworzeniem narodowych państw, ze wszystkimi szaleństwami nacjonalizmów, autorytaryzmów i piekłem obu totalitarnych systemów. Esterházy mógłby być patronem polityków. Istotnie większość zna go jako polityka, ale jego wkroczenie w świat polityki inne jest od tego, z czym dziś kojarzy się ten termin. On traktuje politykę jako misję służby wspólnocie. W sytuacji, gdy w powstającej Czechosłowacji ludność węgierska staje wobec poważnych problemów, Esterházy przyłącza się do Krajowej Partii Chrześcijańsko-Socjalistycznej (jakkolwiek dziwacznie to dziś brzmi), by w parlamencie reprezentować katolików i upominać się o prawa madziarskiej mniejszości. Nadrzędną ideą jest troska o wspólne dobro i służba bliźnim w duchu encykliki „Rerum novarum" Leona XII.

Patrzę też na Jánosa jako arystokratę i widzę rys naszych pozytywistów. Hrabia, właściciel sporego majątku, wszystko, czym dysponuje – kapitał społeczny, zdolność poruszania się wśród możnych tego świata, wykształcenie, kompetencje – traktuje jako zobowiązanie, by służyć ojczyźnie, narodowi, ludziom, wśród których został postawiony. W dobie rodzących się nacjonalizmów, państwowego autorytaryzmu pozostaje obrońcą przyrodzonych ludzkich praw, wolności i godności. Gdy powstaje satelickie wobec III Rzeszy państwo słowackie, jako jedyny poseł protestuje wobec ustaw antyżydowskich. W świecie pogańskich i totalitarnych ideologii pozostaje niezłomnym przedstawicielem cywilizacji łacińskiej – chrześcijańskiej i europejskiej. W czasie wojny pomaga Polakom, swoim samochodem ewakuuje na Zachód gen. Kazimierza Sosnkowskiego, przez co naraża się władzom i od tego czasu podlega ścisłej inwigilacji. Angażuje się w ratowanie Żydów, setkom z nich pomógł uciec na Węgry. Po wkroczeniu Sowietów majątek Esterházych zostaje splądrowany i skonfiskowany. Rodzinę ocaliła Słowaczka Veronika Moravickowa, ona też ratuje siostrę Jánosa – Marię, jej męża Franciszka Mycielskiego i dzieci. Widząc, co wyprawia nowa władza, Esterházy protestuje osobiście u Gustáva Husáka, ten natychmiast go aresztuje i wysyła do Moskwy. Przesłuchiwany i torturowany na Łubiance, po procesie trafia do łagru. W akcie oskarżenia widnieje m.in. zarzut rozpowszechniania „kłamstwa katyńskiego".

Po 12 latach obozów i ciężkich więzień 8 marca 1957 r. wskutek chorób i skrajnego wycieńczenia János Esterházy umiera. Zeznania współwięźniów ukazują nam człowieka ofiarowującego cierpienia i modlitwy za naród, za bliskich, za oprawców. Zachowało się świadectwo Łotysza, za którego modlił się János – ten nagle odzyskał zdrowie w sposób medycznie niewytłumaczalny.

Integralne chrześcijaństwo Esterházego pozwoliło mu jako politykowi uniknąć pułapki przyporządkowania do skonfliktowanych narodowych tożsamości, jego pierwszą tożsamością było bowiem naśladowanie Jezusa Chrystusa. Słowa wtedy wypowiedziane: „Naszym znakiem jest krzyż", w latach więzień, łagrów i w chwili męczeńskiej śmierci nabrały dosłownego znaczenia.

eprasa.pl 1b410a6e1a

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Tęczowa doktryna Breżniewa

Trudno nie patrzeć w przyszłość z niepokojem. Unia Europejska stała się organizacją wrogą Polsce, państwom narodowym, chrześcijaństwu, katolicyzmowi, tradycyjnym wartościom. Propaguje wartości, odgrzewając komunistyczne czy socjalistyczne w sumie utopijne, ale bardzo niebezpieczne wzorce. Dlatego tak potrzebne były przywódcom Unii pierwszej prędkości (Niemcom, Francji, Włochom) osoba i dorobek Altiera Spinellego, włoskiego komunisty i trockisty, „ojca Unii Europejskiej". To Altiero Spinelli domagał się federacyjnej integracji europejskiej, wspólnej polityki zagranicznej, wojskowej, sądów itd.

Ostatnia rezolucja Parlamentu Europejskiego ogłaszająca Unię Europejską „strefą wolności LGBTIQ" to twór godny rezolucji Światowego Kongresu Pokoju, który odbył się w 1948 r. we Wrocławiu. Wówczas 400 delegatów aż z 46 państw przekonywało świat, jak bardzo kraje komunistyczne pragną pokoju i jak jest on zagrożony polityką krajów kapitalistycznych. Dzisiaj nie trzeba się aż tak napinać. Wystarczył jeden człowiek, który pozawieszał na znakach drogowych w polskich miejscowościach tablice „Strefa wolna od LGBT", aby wywołać w Unii odruch słusznego sprzeciwu, który zaowocował szybkim uchwaleniem wspomnianej rezolucji. Trzeba tu jednak dodać, że Bart Staszewski, bo o tym bohaterskim aktywiście LGBT piszę, nie jest byle kim. Facet oczerniający Polskę został wybrany razem z panią Zuzanną Rudzińską-Bluszcz (niedoszłą kandydatką na RPO) stypendystą programu The Obama Foundation Leaders, finansowanego przez George'a Sorosa. Jakby tego było mało, fundację Obamy zasila fundacja Billa i Melindy Gatesów oraz europejska fundacja Spiegel Family Fund. Tak więc kolega Bart wie, co robi, za ile i dla kogo. Poza tym czerpie wzorce z tuzów UE: trockisty Spinellego, Joschki Fischera walczącego z policją niemiecką na barykadach Berlina czy Daniela Cohna-Bendita, organizatora band rozbijających pokojowe demonstracje, i wielu innych, do których dołącza teraz rewolucjonistka z Polski Marta Lempart. Jak zapowiedziała, będzie „walczyć o wszystko".

Rezolucja Parlamentu UE przypomina też słynną doktrynę Breżniewa, bo choć system komunistyczny upadł, nie upadły nieśmiertelne idee Marksa, Engelsa i Lenina. Spadkobiercy tych idei walczą dzisiaj z nacjonalizmem, faszyzmem, antysemityzmem, katolicyzmem, ksenofobią, ale żeby walka była zwycięska, trzeba zlikwidować suwerenne państwa narodowe z ich śmiesznymi własnymi konstytucjami i zastąpić je obowiązkowym prawem Unii Europejskiej. Dlatego doktryna Breżniewa o ograniczeniu suwerenności państw socjalistycznych będzie kontynuowana, szczególnie jeden jej dogmat, najważniejszy, że „wspólnota socjalistyczna" ma prawo i obowiązek bronić swoich zdobyczy w każdym kraju wspólnoty. Dlatego małżeństwo homoseksualistów w jednym kraju europejskim musi być uznane za takie samo małżeństwo w innym kraju wspólnoty, a poza tym „w Unii Europejskiej nie ma miejsca na strefy wolne od LGBT" – ogłosiła pani Ursula von der Leyen, szefowa Komisji Europejskiej. Jest za to miejsce, dodała, na budowę „Unii równości, w której wszyscy mogą być tym, kim naprawdę są". Nie wiem, czy to złe tłumaczenie, czy pani przewodnicząca się przejęzyczyła, mówiąc, „naprawdę są".

Chociaż obserwując szybki postęp w USA, gdzie właśnie uchwalono Equality Act, czyli ustawę o równości, szkoły i kluby sportowe nie będą mogły zakazać wstępu do damskich toalet, szatni i łaźni mężczyznom, którzy czują się kobietami. Nie będę podawać dalszych idiotyzmów z tej amerykańskiej ustawy o równości. Każdy może sobie sam poczytać, aby zobaczyć, co stało się z Ameryką i jak szybko po przegranej Donalda Trumpa. Wkrótce ktoś, kto powie, że płeć jest uwarunkowana genetycznie, biologicznie, zostanie uznany za siewcę nienawiści i skazany przez sąd za jawną dyskryminację.

Dlatego gdy słyszę o polskim Nowym Ładzie, Planie Odbudowy, pomysłach rządu na czas po pandemii, mam nadzieję, że koalicji rządowej nie zabraknie siły, aby w drodze ustawy zagwarantować Polakom wolność słowa w sieci, w internecie. Przypomnę, że zwrócili się o to do premiera Mateusza Morawieckiego przedstawiciele SDP, Ordo Iuris i Jolanta Hajdasz, szefowa CMWP przy SDP. Musimy mieć gwarancję, że przekaz medialny czy choćby jedno słowo może być usunięte, ocenzurowane, ale tylko wtedy, gdy naruszone zostają przepisy polskiego prawa. Zasada powinna być dla wszystkich jedna i oczywista – co nie jest w Polsce zabronione, jest dozwolone.

Jeżeli taki przepis zostanie uchwalony, Polska będzie oazą wolności skutecznie broniącą się przed zalewem kulturowego neomarksizmu z Zachodu, jak kiedyś za czasów komunizmu, kiedy próbowano zrobić z nas Sowietów. I trzeba coś koniecznie zrobić z antypolską działalnością wielu organizacji, fundacji, stowarzyszeń. Niech przynajmniej ich finanse będą w pełni jawne.

www.wojciechreszczynski.pl

Polscy wynalazcy

Alina Czerniakowska

W ostatnim roku pracowałam nad krótkimi filmowymi sylwetkami polskich wynalazców z czasu II RP. Mimo że już wcześniej wiele się o nich dowiedziałam z rozmów z prof. Bolesławem Orłowskim, największym znawcą tej tematyki, oraz z pięciotomowego dzieła właśnie pod redakcją profesora, to jednak ci giganci nauki nadal zaskakują, budzą podziw i prawdziwą dumę. Tym bardziej że często nasza wiedza o nich jest niewielka albo żadna.

Znamy Ignacego Mościckiego jako prezydenta Rzeczypospolitej, ale mało wiemy o tym, że był autorem ponad 40 patentów, naukowcem, profesorem wielu znakomitych uczelni, autorem nowatorskiej metody pozyskiwania kwasu azotowego z powietrza, budowniczym polskiego przemysłu chemicznego. Cały swój majątek, wszystkie prawa do patentów, przekazał Polsce, a umierając w 1946 r. w Szwajcarii, prosił, aby jego grób był usypany z piasku, opleciony drutem kolczastym, z tablicą tylko z inicjałami bez nazwiska. To wszystko na znak żałoby, bo ojczyzna w niewoli. Wydawałoby się, że koniec wojny, więc radość, ale ten wielki Polak wiedział już wtedy, co znaczy wolność przyniesiona na sowieckich bagnetach.

W biografii prezydenta, autorstwa Henryka Cepnika, można przeczytać: „Uczony światowej sławy, znany daleko poza granicami Ojczyzny ze znakomitych prac naukowych i wynalazków; entuzjastyczny miłośnik swego kraju, pragnący dlań najświetniejszej przyszłości; troskliwy i zapobiegliwy gospodarz Państwa [...] przy tym człowiek o charakterze nieskazitelnym i jak łza czystym [...] – Prezydent Mościcki, demokrata w najistotniejszym i najpiękniejszym tego wyrazu pojęciu i zrozumieniu, jest jakby spełnieniem idealnego postulatu filozofów starożytnych, którzy marzyli o tym, aby na czele państw stali wielcy myśliciele i uczeni".

Dzięki inicjatywie podjętej przez Instytut Pamięci Narodowej, prezesa Jarosława Szarka i dyrektor Dorotę Koczwańską-Kalitę, przygotowaliśmy 12 krótkich filmowych biografii polskich wynalazców II RP, które można oglądać właśnie na stronie IPN.

Jan Czochralski, polski chemik, metaloznawca, wynalazca powszechnie stosowanej do dzisiaj metody otrzymywania monokryształów krzemu, nazwanej później metodą Czochralskiego (podstawy procesu produkcji układów scalonych), był ósmym z dziesięciorga rodzeństwa. Ojciec nie akceptował ryzykownych chemicznych eksperymentów syna, dlatego posłał go do seminarium nauczycielskiego. Janek, chcąc zaprotestować przeciwko niesprawiedliwie niskim ocenom, podarł na oczach swojego profesora świadectwo maturalne, stwierdzając: „Proszę przyjąć do wiadomości, że nigdy nie wydano bardziej krzywdzących ocen".

Postanowił wyjechać, ale obiecał swoim rodzicom, że wróci, gdy zdobędzie sławę. I dotrzymał słowa, jego osiągnięcia trudno przecenić, dokonał odkryć, które zmieniły świat: opracował m.in. metodę pomiaru szybkości krystalizacji metali. Podobno przez przypadek zamiast w kałamarzu zanurzył stalówkę pióra w tyglu z roztopioną cyną, wyciągnął pióro, uzyskał pręcik metalu. Jako wnikliwy obserwator rzeczywistości nadał temu spostrzeżeniu dosłownie wiekopomne znaczenie naukowe. Wytwarzanie monokryształów poprzez wyciąganie jest obecnie metodą powszechnie stosowaną, zwłaszcza materiałów półprzewodnikowych, które są budulcem tranzystorów używanych w całej elektronice.

Jan Czochralski był postacią niezwykłą. Oprócz prac naukowych pisał wiersze, interesował się sztuką, zarobionymi pieniędzmi wspierał polski przemysł, poszukiwania złóż ropy naftowej, przeznaczał znaczne środki na finansowanie stypendiów dla pisarzy, malarzy, naukowców, finansował także prace archeologiczne w Biskupinie czy odbudowę dworku Chopina.

Przerwała to II wojna światowa. Pod koniec 1939 r. prof. Czochralski starał się uratować pracowników naukowych zlikwidowanej politechniki: zorganizował Zakład Badań Materiałów. Placówka powstała w okolicznościach bardzo trudnych dla samego Czochralskiego. Był mężem Niemki, w kontakcie z Niemcami uchodził za postać, która mogła pośredniczyć w relacjach z okupantem. Profesor uniknął współpracy, ale jednocześnie chciał wykorzystać znajomości do zalegalizowania pracy i bezpieczeństwa naukowców, przyjmując zlecenia od polskich i niemieckich firm. Zakład potajemnie wykonywał elementy uzbrojenia zamówione przez AK. Czochralski wydobywał z obozów osoby zatrzymane przez Niemców. Dzięki jego staraniom oswobodzono m.in. późniejszych profesorów Politechniki Warszawskiej – Mariana Świderka z obozu w Buchenwaldzie i Stanisława Porejkę z obozu w Gusen. Do ratowania artystów i uczonych przed represjami zaangażował także swoją najbliższą rodzinę. Organizował pomoc dla warszawskiego getta, po powstaniu warszawskim ratował wyposażenie politechniki.

Na Czochralskiego donoszono do AK głównie za sprawą stworzonych przez niego pozorów współpracy z Niemcami. Ale aresztowano go dopiero w kwietniu 1945 r. pod zarzutem współpracy z władzami okupacyjnymi. W więzieniu spędził cztery miesiące. Później specjalny sąd uniewinnił go od stawianych zarzutów. Jednak Senat Politechniki Warszawskiej w grudniu 1945 r. odmówił przyjęcia go do pracy. Wtedy Czochralski wrócił do rodzinnej Kcyni. Zmarł w kwietni 1953 r. po ataku serca spowodowanym rewizją UB.

Gdyby nie okrutne tryby historii, niesprawiedliwość i zawiść, Polska mogłaby mieć drugiego noblistę w dziedzinie nauk ścisłych. Pięknie o nim pisała córka: „Ojczyzna ponad wszystko – była to myśl przewodnia Ojca. O Niej myślał, dla Niej pracował, dla Niej zdobył sławę i dla Niej tyle cierpiał".

Zaledwie próbowałam zachęcić do czytania książek prof. Orłowskiego i oglądania na stronach IPN filmowych opowieści o ludziach, którzy winni być dzisiaj naszą wielką siłą.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 1b410a6e1a

Koszmar pozytywny: jaka Polska mogła być i jaka jest

Nie lubię mówić o rzeczach osobistych, chyba że ma to wymiar ogólny i pozwoli nam zrozumieć, jak wyjątkowe są osiągnięcia, które zbyt często traktujemy jako oczywiste i naturalne. Tak też się stało ostatnio, gdy mój koszmarny sen stał się czymś w rodzaju politycznego retro science fiction.

Był rok 2015 i – z przyczyn, których mój sen nie podpowiadał – nie żył już Jarosław Kaczyński. Niepodległość była iluzoryczna, skoro 80 proc. banków i mediów było w rękach kapitału zagranicznego, głównie niemieckiego. Wszystko, co było wartościowe w przemyśle, zostało wyprzedane, często za półdarmo, ale z wielkimi korzyściami dla tych w Polsce, którzy to załatwiali. Zagraniczni mocodawcy często wybierali polskich dyrektorów i kadry zarządzające swoimi przedsiębiorstwami na miejscu, wynagradzając ich sowicie. Robotnicy zaś dostali nadal mizerne wynagrodzenie, bo zagraniczne inwestycje miały być jak najbardziej rentowne. Z jednej strony mieliśmy klientów kapitału zagranicznego, którzy mogli się szybko wzbogacić, a z drugiej miliony rodzin, które ledwo mogły związać koniec z końcem.

I tak było dobrze, bo należało walczyć ze wszystkim, co było podporą polskości, czyli z rodziną właśnie, ale też z wiarą katolicką, patriotyzmem, historią, dumą, iż jest się Polakiem. Polskość stała się grzechem, obrzydzeniem. Tak jak przyznał ongiś były premier. Wspaniała historia była powodem do wstydu, zresztą był plan zredukowania nauczania jej w szkołach do minimum. Lepiej było być pod-Niemcem niż Polakiem. Oczywiście w tej sytuacji Polska była krajem daleko idącej korupcji, ucieczki kapitału do rajów fiskalnych, licznych afer. Mafie zaczęły królować. Byli jeszcze prokuratorzy, którzy chcieli ścigać nadużycia. Na nic to się jednak zdało, bo skorumpowana część aparatu sprawiedliwości stała się tarczą kasty.

I tu mój sen wykonał spory „jump ahead". Znalazłem się już w 2021 r. Co się stało w międzyczasie? Jak było na początku snu, Jarosława Kaczyńskiego już nie było wśród nas. Nie desygnował więc Andrzeja Dudy jako kandydata na prezydenta w 2015 r. Stało się to, co przewidywał naczelny pewnej gazety (pamiętamy historię o zakonnicy): ówczesny prezydent został wybrany na nowo i PO nadal rządziła i rządzi do dzisiejszych czasów.

I tu zacząłem się pocić. Koszmar przybrał na sile. Patrzę. Jaką Polskę mamy? Właściwie Polski już nie ma. Wszystko jest w rękach kapitału zagranicznego i często pod kontrolą różnych mafii. Ci, którzy rządzą, wykonują potulnie polecenia Brukseli, a zwłaszcza Berlina. Polska stała się główną częścią Europy B. Zwykła kolonia. Europejski plan niektórych zachodnich mocarzy zrealizowany! Polska jest źródłem taniej i dobrej siły roboczej. Eldorado inwestycyjne. Z drugiej strony marzenie Bismarcka się zrealizowało. Kulturkampf wygrany, i to pokojowo, dzięki aktywnej targowicy. Polskość zapomniana. O niej się już nie mówi. W ogóle historia Polski zniknęła nie tylko ze szkół, ale i z pamięci. Sytuacja rodzin jest coraz trudniejsza. Wartości rodzinne są zadeptane, tak jak wszystko co w dziejach gwarantowało wielkość Polski, a więc wiara chrześcijańska i patriotyzm. Za to homoseksualiści nie tylko mogą się kochać, jak chcą, ale zawiązali śluby małżeńskie i nie chcąc stanowić 3 proc. społeczeństwa, żądają, aby inni wzmocnili ich szeregi. Kościoły są splądrowane i bezczeszczone. W wielu wypadkach trzeba było je zamknąć albo sprzedać. Za to bogaci na usługach wzbogacili się na potęgę. Bezprawie króluje nad Wisłą. Tym bardziej że aparat sprawiedliwości został do końca opanowany i skorumpowany przez kastę i broni jej działania. Koniec Polski!

Ale w tym momencie się obudziłem. Wstaję i się rozglądam. Dzięki Bogu to wszystko było tylko złym snem! Jeszcze Polska jest Polską! Nie jest kolonią na kolanach. Każdy musi się z tą Polską jak najbardziej liczyć, nawet kiedy jej polityka się nie podoba. Polska jest dumna i broni autentycznych wartości europejskich, o których inni chcieli zapomnieć, czyli wartości rodzinnych i chrześcijańskich oraz patriotyzmu połączonego z szacunkiem dla innych. Materialnie, rodzinom się żyje dużo lepiej. Polska umiała związać, najlepiej w UE, rozwój gospodarczy ze sprawiedliwością społeczną. Pomogła w tym ciągle trwająca walka z korupcją i nadużyciami. Dochód narodowy Polski na mieszkańca stanowi już 75 proc. średniej europejskiej i niebawem z nią się zrówna.

I w tym momencie, dzięki mojemu koszmarowi, uprzytamniam sobie, że to wszystko stało się możliwe dlatego, iż Opatrzność chciała, aby był z nami właściwy człowiek, Jarosław Kaczyński. Nie uprawiam tu kultu jednostki. Nawet wydaje mi się, że pan prezes dość często błądzi, czy to przez katastrofalne czasem wybory ludzi (jaskrawym przypadkiem był w roku 2005 nieszczęsny wybór premiera), czy to angażując się w niepotrzebne lub drugorzędne bitwy, czy wreszcie wybierając za sojuszników ludzi niegodziwych.

Ale w rzeczy samej bez niego Polska już nie byłaby Polską. Nie byłaby suwerenna i wolna. Musimy jednak pamiętać, że ta wolność nie jest dana na zawsze. Tak jak mawiał św. Jan Paweł II, trzeba o nią walczyć. Codziennie.

Bernard Margueritte

eprasa.pl 1b410a6e1a

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Medialność i niemedialność

Czytam doniesienia o okrutnym mobbingu w TVN, słyszę o nieludzkim traktowaniu pracowników, zaległych honorariach, zmuszaniu do samozatrudnienia, zwalnianiu, władzy „lepszych" nad „gorszymi". I nie mogę wyjść ze zdumienia, że ja – było nie było pedagog – nic a nic im wszystkim nie współczuję, nie znajduję w sobie żadnej empatii ani litości. Po prostu skała, bezduszny kamień, kostka lodu. A moja wrażliwość i humanizm – gdzie!? I chyba wiem, dlaczego to wszystko.

Ci wszyscy dzisiaj łkający pracowali w diabelskim miejscu, na diabelskich zasadach, robili diabelską robotę, kumali się i kłaniali diabłom, to i diabelskim prawem zostali tak, a nie inaczej potraktowani. Nawet jeśli ktoś był tylko portierem, to pracował dla diabła. A tym diabłem są manipulacja i kłamstwo, które codziennie z wszystkich mutacji TVN się wylewają, sączą do głów biernych widzów. Bo nawet jeśli skaleczysz się w najmniejszy palec, to cały organizm to odczuwa. Chciałeś pracować w wolnych mediach? To teraz ci te media pokazały, że droga wolna. To tak samo uczciwe jak sztuczki z preparowaniem informacji, w których uczestniczyłeś, tak samo bezwzględne jak fałsz, który produkowałeś i tak samo zgodne z prawem jak manipulacja, z której uczyniłeś swój fach. Nawet jeśli ci nieszczęśnicy zrobili błąd, zatrudniając się w tym diabelskim młynie postprawdy, to bodaj przy całkiem średniej inteligencji zorientowaliby się po pół roku i wialiby stamtąd jak najdalej. Ale oni woleli w tym tkwić, to był ich wybór, pecunia non olet. Dopiero jak diabeł zachował się wobec nich, jak na diabła przystało, i gdy w grę weszła mamona, podnieśli larum. Krakali razem z wronami, to te wrony ich zadziobały. Dlatego nie ma we mnie współczucia.

Ale jest i inna sprawa medialna. Otóż w polskim medium państwowym, wyjaśnię – w naszym medium, bo w TVP – pojawił się półkownik (od słowa półka). To film Ewy Stankiewicz „Stan zagrożenia", dokument o Smoleńsku. Kilkakrotnie odkładano jego emisję, ostatni termin to miała być bodaj końcówka stycznia. A teraz cisza. Filmu nie ma (nie było i nie będzie?) i nikt, poza cenzorami z TVP, go nie zobaczył. Film leży na półce w jakimś magazynie.

Aleksander Nalaskowski

W polskim medium państwowym pojawił się półkownik. Kilkakrotnie odkładano jego emisję. A teraz cisza

Przyznam, że mnie to otrzeźwiło. W końcu znosiłem dzielnie przez kilka lat z rzędu infantylnego Zenka Martyniuka, znosiłem zapomnianych emerytów zachodniego show-biznesu w stylu Thomasa Andersa i Limahla, ale cenzury nie zniosę! I będę o tym głośno mówił. Bo chcę zobaczyć film pani Stankiewicz, gdyż tak się składa, że kręci ona najlepsze filmy dokumentalne, a jej odwaga nie ma sobie równych. Zwłaszcza że sprawa Smoleńska i wyjaśnienia przyczyn katastrofy została jakby wyciszona. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby jeszcze do niedawna nie było miesiąca, w którym nie odsłaniano by tablicy czy pomnika (niektóre z nich to prawdziwe koszmarki) ku czci śp. Lecha Kaczyńskiego i jego małżonki. Dodam – prezydenta Rzeczypospolitej, który zginął w trakcie wykonywania obowiązków głowy państwa, który jak żaden inny miał swoją wizję Polski.

Co takiego się stało, że o Smoleńsku już się nie mówi? Odnotowuję ten ewidentny fakt, ale go nie oceniam. Dziwnie jednak łączy mi się z tym zatrzymanie emisji wspomnianego filmu i coraz częściej zadaję sobie pytanie o to, co się tam gdzieś dzieje?

Od dawna nie ufam mediom. Jestem już wyczulony nie tylko na treść informacji, lecz i na kolejność ich przedstawiania, kadrowanie rozmówców, podkłady głosowe, interpretację zdarzeń, sposób mówienia prezenterów, ilustrowanie obrazem i filmem. Ale także i na to, czego tam nie ma. I tę pustkę właśnie zauważyłem. I o nią pytam. Tak jak o film Ewy Stankiewicz, której kunszt od zawsze podziwiam. Czy takich przypadków jest więcej? Czy prezesi z Woronicza chcą wymusić powstanie drugiego obiegu filmowego?

I jeszcze jedna sprawa medialna. To „afera Obajtka". Wprawdzie niemal nikt się nie orientuje, na czym ona miała polegać i co takiego złego Daniel Obajtek zrobił, że sąd go oczyścił z zarzutów, ale kto ma chociażby kroplę oleju w głowie, ten bez problemu skojarzy to z faktem odkupienia przez Orlen kilkunastu polskich gazet lokalnych od Polska Press, czyli... właścicieli zagranicznych. Ta nazwa to tylko wszak kamuflaż. Nie można bowiem dopuścić, aby Polacy czytali coś, co napiszą Polacy! Polskie gazety są passé. Ta afera to zwykła wendeta, akt prymitywnej, godnej troglodyty zemsty. Finezja godna Platformy.

Reklama | 13/0121/F

eprasa.pl 1b410a6e1a

PRZEZ ŚWIETLIK

Przelotne burze

Wiktor Świetlik

To, że dzisiejsi lewicowcy spod znaku gender i nowego wspaniałego świata wierzą, iż uda im się trwale przebudować społeczeństwo, nawet na poziomie biologii zmieniając definicję kobiety i mężczyzny, to mnie nie dziwi. Gdyby fanatycy nie wierzyli albo choć przekonująco nie udawali, że wierzą w to, co robią, przestawaliby być fanatykami. Trochę bardziej mnie dziwi, że spora część konserwatystów uważa, iż wszystko jest stracone na zawsze i tylko kwestia czasu, kiedy fala szaleństwa trwale zmiecie resztki nadwiślańskiej normalności.

Owszem, miłośnicy nowego światowego walca mają dziś za sobą nowy rząd największego mocarstwa, niemal całą Unię Europejską, światowe media, cały wielki biznes. Ten, kto choć nieśmiało zaprotestuje, zamieniany jest przez lewicową maszynkę do mielenia ludzi w faszystę, rasistę, a w najlepszym razie psychopatę lub skrajnego zacofańca, co spotkało choćby – lewicową w końcu – autorkę przygód Harry'ego Pottera, J.K. Rowling. Z drugiej strony jednak coś podobnego już było. Myślę, że w zbyt małym stopniu uświadamiamy sobie, jak bardzo komunizm opanował nie tylko wschód, ale i zachód świata.

Pewien obraz dają wydane właśnie dzienniki Iwana Majskiego, wieloletniego sowieckiego ambasadora w Wielkiej Brytanii, u nas znanego przede wszystkim z układu z gen. Sikorskim z 1941 r. Majski był w Wielkiej Brytanii przez wiele lat – także wtedy gdy Sowieci rozjeżdżali z Hitlerem Polskę, a potem zaatakowali Finlandię – kimś w rodzaju celebryty. Ulubieńcem salonów. Działalność propagandową mógł prowadzić niemal jawnie, może co najwyżej niekiedy spotkał go drobny afront ze strony kogoś z arystokracji brytyjskiej, ostatecznie bliskimi krewnymi panującego domu była rozstrzelana rodzina Mikołaja II. Ale za to intelektualiści, artyści, większa część polityki, w tym tej rzekomo konserwatywnej, w końcu biznes – tu Majski był pączkiem w maśle. Przyjaźnili się z nim pisarze Bernard Shaw i Herbert George Wells. Wielki malarz Oskar Kokoschka malował portrety Majskiego, a rzeźbiarz Jacob Epstein rzeźbił jego popiersie. Dlaczego? Bo był dla nich osiągalnym substytutem Stalina, którego ubóstwiali.

Po 20 kolejnych latach komunizm kochało Hollywood, a antykomuniści byli na amerykańskich uczelniach niszczeni przez zawsze konformistycznie „zbuntowane" otoczenie, co pięknie opisał Richard Pipes w swoich wspomnieniach. I co? Nie udało się. Nie dało rady, bo nie mogło dać. Komunizm na dłuższą metę jest po prostu niemożliwy, bo ludzie w naturalny sposób mają potrzebę posiadania, dziedziczenia, budowania rodzin, religii. Tak samo tylko przez jakiś czas można udawać, że płci jest pięćdziesiąt kilka, a kobiecie będzie wygodniej korzystać z pisuaru tylko dlatego, że chwilowo uważa, iż jest mężczyzną. To po prostu musi wreszcie runąć i z dużą dozą prawdopodobieństwa runie gwałtownie. Czego sobie i państwu życzę.

Wielkanocna

OBNIŻKA PROWIZJI

- do **200 000 zł** na dowolny cel
- możliwość odroczenia spłaty pierwszej raty nawet o **60** dni!
- wniosek złożysz także bez wychodzenia z domu - zadzwoń

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

kasastefczyka.pl
801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)

Rzeczywista roczna stopa oprocentowania Pożyczki Gotówkowej wynosi 17,18%.

Wysokość obniżki prowizji ustalana będzie indywidualnie. Oferta ważna w okresie od 1.03.2021 r. do 3.04.2021 r. Pożyczka Gotówkowa bez wychodzenia z domu dostępna jedynie dla Klientów Kasy Stefczyka. Maksymalna kwota Pożyczki Gotówkowej bez wychodzenia z domu to 100 000 zł. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Buksowanie ostentacyjne

„Żeby plusy nie przesłoniły nam minusów" – Ryszard Ochódzki

Do krytykowania dobrej zmiany jest taki tłum, że w czasach kiedy należy zachować dystans społeczny, lepiej się w sam środek nie pchać, ale czasami się zwyczajnie nie da. Coraz to mamy jakiś bulwersujący wyrok sądu. W gronie zbulwersowanych są politycy ekipy rządzącej, w tym minister sprawiedliwości. Publikuje on czasem wyroki, którymi jest szczególnie poruszony, i zapowiada, że ho, ho, co to będzie, jak on się tym zajmie.

Ryszard Makowski

Niby dobrze, że minister osobiście chce naprawiać. Ale jak się oprzeć natręctwu: gdzie jest reforma wymiaru sprawiedliwości? Ten punkt to była ozdoba programu wyborczego PiS. Pięć lat to mało? Kasta kpi sobie z obywateli, a politycy Zjednoczonej Prawicy oburzają się razem z nami. Uprzejmie z ich strony.

CBA przypuszcza, że zamek w Stobnicy w Puszczy Noteckiej to może być pralnia pieniędzy albo jest finansowany mamoną z przestępstwa. No, no, no... A tu człowiek myślał, że to jakiś emerytowany nauczyciel przyrody miał nadwyżki finansowe i wszedł z budową w terenie. Nie ma jednak takiej możliwości, by wyjaśnić, co i kto, więc niezidentyfikowany obiekt nielatający obrasta w mury.

Umowa na łupienie ludzi na A2 jest tajna, obowiązuje do 2037 r. i to jest święte. Ktoś w imieniu państwa polskiego podpisał papiery, które są tajne dla fundatorów fortuny im. doktora Jana. I to jest taki top secret, że nawet nie wiadomo kto? Podobnie z aneksem do raportu o WSI. „Nie mamy pana płaszcza i co pan nam zrobi". To już nie Ryszard Ochódzki.

eprasa.pl 1b410a6e1a

Michał Korsun prezentuje:
Nowa fucha europosła Roberta Biedronia

Wycinki z przeszłości

„Płomyk" z marca 1929 r. przypominał sylwetkę druha Andrzeja Małkowskiego, który „pierwszy począł organizować drużyny harcerskie we Lwowie, a także zachęcać innych do zakładania drużyn". W 1911 r. wyjechał do Anglii, „ażeby na miejscu zobaczyć, jak należy drużyny prowadzić". Po powrocie „zakłada pismo SKAUT i wszystek swój wysiłek poświęca tylko harcerstwu. W latach 1912 i 1913 urządza kursy instruktorskie dla drużynowych". Do legendy przechodzi organizacja, mimo przeciwności, reprezentacji polskiej na pierwszy zlot międzynarodowy w Birmingham w Anglii. „Licząca 41 chłopców i 11 instruktorów drużyna już 2 lipca była w Anglii, gdzie budziła podziw dla swej dziarskiej postawy. Drużyna otrzymała dyplom za prace stolarskie. Wysuwano ich wszędzie na pierwsze miejsce. Baden Powell zasalutował powiewającego na ziemi angielskiej orła białego i przypiął sobie do piersi małego srebrnego orzełka".

A przecież to był dopiero początek pięknego życia. Następnie była służba w Legionach Piłsudskiego. W Ameryce zakłada oddziały ochotnicze, z którymi wyjeżdża do Francji, gdzie przenosi się do wojsk gen. Hallera. I tu następuje tragedia: „W końcu w roku 1918 wysyła go gen. Haller z misją do gen. Żeligowskiego, będącego wówczas na Ukrainie. Z Marsylii wyrusza okrętem do Odessy. Niestety, na Morzu Czarnym natknął się okręt na zabłąkaną minę i wyleciał w powietrze".

(mk)

DRUH ANDRZEJ MAŁKOWSKI Z ŻONĄ.

Sonet marcowy

Leszek Długosz

Mijają lecia i stulecia i jest na świecie, jak w marcu być powinno. No, trochę się pochowały dawne formy fleksyjne. – Wyprostowały się plecy, zastąpiły anachroniczne plecyma. Koniugacyjnie też stąpamy szerzej – nie idziem, a idziemy. I zapewne nie nosimy trzewików, a obuwie takiej czy owakiej marki. I może szkoda, lecz nie opisujemy już marca w regularnym (zwracam uwagę) sonecie. W ogóle nie opisujemy, jeśli już to komórkami pstrykamy fotki.

Leopold Staff (1878–1957)

MARZEC

Marzec. Wracamy z parku.
Wreszcie przeszła zima.
Spod stopniałego śniegu
wyjrzały murawy.
Drzewa nagie,
lecz pierwsze kiełkują
już trawy,
Choć na stawie zielony
cienki lód się trzyma.

Z upojonymi wiosną
wracamy oczyma,
Krokiem lekkim, jak
podczas tanecznej zabawy.
Ulicą po słonecznej stronie
idziem prawej,
Za sobą ciepło słońca
czujemy plecyma.

W rozpiętych płaszczach
śpieszą ochoczo
przechodnie,
Jacyś świeżsi, wesoło
patrzą i pogodnie;
Niańki z dziećmi wychodzą
z ciemnych domów sieni.

A my, pierwszą
przechadzką dumnie
upojeni,
Idziem w miasto po płytach
suchych już chodników,
Z grudką pulchnej ziemi na
piętach trzewików.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 1b410a6e1a

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Z jaskini do... jaskini

Dawno, dawno temu gość o ksywce Platon skonstruował opowieść, która do historii przeszła jako „Alegoria jaskini platońskiej". Gość ów, żyjący w V i IV w. przed Chrystusem, posiadając najwyraźniej niezłą wyobraźnię, zafascynował współżyjących i wiele kolejnych pokoleń filozofów przypuszczeniem, że być może nie żyjemy w świecie *prawdziwym*, ale w jakiejś ułudzie. Że wcale nie mamy kontaktu z tym, co oryginalne, ale że przed oczami ciągle przesuwają się nam jakieś podróby, fejki, czy – jak sam mówił – kopie.

Osobom mniej od siebie dociekliwym, wyposażonym w słabszą wyobraźnię (dziś powiemy: gorsze procesory mózgowe) wyniki swoich odkryć w prostszy sposób przedstawił mniej więcej tak: ludzie żyją uwięzieni w ciemnościach jaskini. Siedzą odwróceni tyłem do wejścia, skuci kajdanami w taki sposób, *że nie mogą odwrócić głowy*, patrzą jedynie na ścianę jaskini, na której widać cienie w ruchu. Źródłem światła jest ognisko płonące gdzieś z tyłu. Nasi „jaskniowcy" słyszą też zniekształcone głosy niewidzianych przez siebie innych ludzi, którzy przenoszą rzeźby różnych przedmiotów rzucające cienie. Ponieważ mieszkańcy jaskini są od zawsze w niej przykuci, biorą widziane przez siebie cienie za jedyną istniejącą rzeczywistość, a odbijające się echo niewidzianych przez siebie osób przenoszących owe rzeźby za prawdziwe głosy wydawane przez cienie, czyli kopie.

FAST FORWARD

Pięcioletni Albert Einstein (żył znacznie później niż Platon, gdyż w wieku XIX i XX), gdy po raz pierwszy pokazano mu kompas, którego igła niezależnie od tego, jak obracał obudową, przemieszczała się tak, iż zawsze wskazywała północ, miał powiedzieć: za rzeczami jest wiele spraw głęboko ukrytych. Można powiedzieć, iż chłopczyk uznał kompas i igłę jedynie za kopie wskazujące na istnienie czegoś zupełnie innego, zmysłami niedającego się dostrzec. Wiemy, że chodzi o pole magnetyczne.

Po długim okresie zrywania kajdan ludzkość założyła sobie elektroniczne smycze, jednocześnie pławiąc się w iluzji wolności

Po drodze między Platonem i Einsteinem mamy niemało wybitnych i upartych umysłów ludzi, którzy nie wierzyli swoim zmysłom. Siłą wyobraźni, uporu, hipotez, eksperymentów i technik inżynieryjnych wydobywali siebie – a przy okazji resztę ludzkości – z jaskini. Z ciemności jaskini ku światłu. Np. Mikołaj Kopernik: nie uwierzył, że świat jest zbudowany tak, jak go widzimy. Podważył świadectwo naszych oczu, mówiących że Słońce wędruje wokół Ziemi.

NOWE KAJDANY

Możemy powiedzieć, że Platon wytyczył dla ludzkości szlak ku oświeceniu. Gdy dopuścimy już myśl, że poza tym światem, którego bezpośrednio doświadczamy, znajduje się jeszcze jakiś inna, prawdziwsza, jaśniejsza (sprawiedliwsza?) rzeczywistość, to znajdą się tacy, którzy wbrew innym podejmą ryzyko zerwania kajdan i wyjścia na zewnątrz, ku słońcu.

Na dzieje odkryć astronomicznych, matematycznych, fizycznych, psychologicznych dokonywanych przez dwa tysiąclecia można patrzeć jako na mozolny proces zrywania kajdan, odwracania głowy od cieni oraz... zmagania się z konsekwencjami uświadomienia sobie nowych prawd o świecie.

Gdy przyszedł kapitalizm, postęp nauki i techniki znacząco przyspieszył. Niekoniecznie lepiej zrozumiano naturę człowieka, ale na pewno rozkodowano wiele praw rządzących przyrodą.

Skokową zmianę przyniosło wynalezienie komputera, a jeszcze głębszą – upowszechnienie się internetu. I, zdaje się, gdzieś w tym czasie, dzięki wynalezieniu mediów zwanych społecznościowymi oraz szerokiej dostępności smartfonów, pozwalających na stałe podczepienie się do bodźców biegnących z sieci, wróciliśmy do... jaskini.

Tak, chodzi o Matrix. Młode pokolenia, tzw. cyfrowi tubylcy, niczym starożytni jaskiniowcy coraz częściej już nie potrafią odwrócić głowy od ekranów swoich urządzeń – komórek, tabletów, laptopów. Po długim okresie zrywania kajdan ludzkość założyła sobie elektroniczne smycze, jednocześnie pławiąc się w iluzji wolności.

ŁATWIEJ OSZUKAĆ NIŻ…

Tym, których powyższa opowieść nie przekonuje, dedykujemy spostrzeżenie: *łatwiej jest kogoś oszukać, aniżeli przekonać go, że został oszukany*.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 56/0221/F

eprasa.pl 1b410a6e1a

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

TechnoBiznes 2021

Konkursy **Technologiczne**

HIT ROKU 2021

HIT ROKU 2021 MIESIĘCZNIKA GAZETA BANKOWA

oraz

LIDER 2020

LIDER 2020 MIESIĘCZNIKA GAZETA BANKOWA

w kategoriach:

Bankowość | **Ubezpieczenia i inne usługi finansowe** | **Przemysł 4.0**

Zgłoszenia przyjmujemy do **31 marca 2021 r.**

Szczegóły na:

gb.pl/konkursy

Patronat Honorowy:

MINISTERSTWO INFRASTRUKTURY

Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii

Narodowe Centrum Badań i Rozwoju

eprasa.pl 1b410a6e1a

DRAP

KASA WPADA

Zdrapki

LOTTO

18+

eprasa.pl 1b410a6e1a